

MAREK NOWAKOWSKI

DWA DNI Z ANIOŁEM

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1984

DWA DNI Z ANIOŁEM

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 397

ISBN 2-7168-0058-8

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poisy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE**

MAREK NOWAKOWSKI

DWA DNI Z ANIOŁEM

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1984

TEGOŻ AUTORA
W BIBLIOTECIE « KULTURY »

Raport o stanie wojennym I, 1982 (wyczerpane)

Raport o stanie wojennym II, 1983 (wyczerpane)

Notatki z codzienności (grudzień 1982 - lipiec 1983), 1983

JEDEN DZIEŃ W EUROPIE

Ten waluciarz wyglądał jak cygański książę. Taki był wystrojony, kolorowy i złotem obwieszony. Coś wyciągnął z podręcznej torebki zwanej pederastką. Ona wsunęła pod kontuar.

— Pasuje? — zapytał.

Kiwnęła głową. Odszedł, stukocząc wysokimi na wzór kowbojski butami. Książę Igor. Tak był nazywany. A ona, barmanka z dzisiejszej zmiany, modelowa wprost, duży cyc, twarz obrzmiała ze szramą na policzku i puste, niebieskie oczy lalki.

Syczy ekspres. Poszła na zaplecze. Zadem opiętym, zwierzęcym miotnęła. Został jej obraz w oczach. Falowała zasłona oddzielająca zaplecze od baru.

Opuściłem oczy.

Wróciła z zaplecza. Cicho nastawiła radio. Senna muzyka przedpołudniowa. Znieruchomiała nad kontuarem, cyce wypychały sukienkę, szklany wzrok w ścianę przed sobą wlepiła.

Poza nami nie było tutaj nikogo. Kurwy się jeszcze nie pobudziły, a hotelowi goście wolą hall.

Kaletmistrz pogrzyżył się w lekturze sportowej strony *Trybuny Ludu*. Był kiedyś płotkarzem, siatkarzem, kimś takim, i atawizm studiowania sportowych wyników pozostał mu dotąd.

Malarz odsunął firankę i spoglądał w okno. Za oknem wielki plac wyłożony betonem. Z lewej strony połyskliwy blok drugiego hotelu. W głębi grób Nieznanego Żołnierza z zastygłą przed nim wartą.

Był jeszcze przy naszym stoliku trzeci. Tego nie znałem. Cekał na Pośrednika. Tłustawy. Miękką, skórkową marynarka i szeroki krawat związany w grubą gułę pod obwisłym podgardlem. Spoglądał na zegarek, a zegarek miał elektroniczny, ciemna, pusta tarcza i czerwone cyferki na niej wyskakiwały.

— Wygrał! — ucieszył się Kaletmistrz. — Trzeci rezultat w tym roku...

— Kto? — zapytał Malarz. Ciągłe wpatrywał się w okno.

Kaletmistrz pytania nie usłyszał. Wsunął posiwiałą głowę w gazetę. Spojrzał na tę szeleszczącą, zadrukowaną płachtę od spodu. Na pierwszej stronie zdjęcie Przywódecy. Ścisła dłoń drugiemu Przywódecy.

Zaterkotał telefon. Barmanka ocknęła się. Piersi jak taran. Falowanie zadu. Zniknęła za kotarą. Wspaniałe, choć nieco zużyte mięso. Tak mówił Kiciuś.

— Kiciuś... — powiedziałem — smutno bez niego.

Kaletmistrz zakrztusił się śmiechem, połączonym z bronchitem.

— On tych dziwek przepuścił!

Ożywienie było krótkie. Jeden ziew, drugi ziew. Barmanka wróciła z zaplecza. Też ziewa.

Przychodzą tu od dawna i nudą wiać zaczyna. Wypycha. Gdzie już nie łąziłem? Do „Parany” dawno temu. Zbierali się tam wyścigowi gracze i drobni kombinatorzy, wieczorem zaś stare ulicznice i piwni pijaczkowie. Przestałem. Potem do takiej kawiarni, co jeszcze przedwojenne czasy pamiętała. Złotone poręcze krzesełek i blaty stolików, emerycy przy wodnistej kawie, mrok i dużo wspomniania. Czułem jakąś omszałość, która oblaźić zaczynała i przychodzić przestałem. Bywałem też u Literatów. W końcu mojej branży to ostoja. Nie dałem długo rady. Zamroczony jałowym gadulstwem, obrzmiały od artystycznych jadów, próżności, kłamliwych słów i poczucia wazjemnego spętania. Kac bywał wtedy gorszy od wódeczanego. Traciłem swoje miejsca po kolei i jak szczur przemykałem się pod murami. Wreszcie tu znalazłem przystań. Też licha. Wyganiać powoli zaczyna.

— Żeby coś takiego jak klub... — rozważa często Kiciuś, jeden z tutejszych bywalców. — Ci mądrale Anglicy te kluby wymyślili... Wszędzie na świecie... — ciągnie. Kiciuś Rasputinek, kosi dziewczyny długimi seriami... — są bary, bistra, puby, tabaki, kafejki. A tu?! W barze mlecznym szukać miejsca albo w samoobsługowej wyżymacze...

Zaszyłem się więc w tym komfortowym przytulisku. Chociaż ta kipiela cudzoziemców, te dziwy wokół nich, waluciarze, rajfury i pośrednicy... Taki sztuczny świat drogich trunków, dolarowej elegancji, tandetnych snobizmów i pieniążchów, brudnych pieniążchów, które stały się najwyższą miarą.

W tym mozolnym poszukiwaniu ziemskiej przystani bywają też knajpy. Z ostatniego pobytu zapamiętałem bywalca, tytułowanego Inżynierem, który spadł z wysokiego stołka pijąc kolejną wódkę i w ten sposób żywot zakończył. Nie każdemu taki szybki finał pisany. Długie, gnilne umieranie. To jest najgorsze. Ludzie wypaleni. Tak mówił mój przyjaciel Leszek. Śmialiśmy się z tych żalosnych, żywych trupów, co pustkę swego wnętrza pozorami osłaniają. Oczy wygasłe i mętne, głos drewniany klekotem pobrzmiwa, rozpaczliwe ruchy szmacianych kukieł. Młodzi byliśmy. Łatwo ten śmiech przychodził.

Barmanka położyła mięsistą, szeroką dłoń na kontuarze. Uniosła palce. Pilnikiem zaczęła szlifować paznokcie. Leciutki chrzęst. Paznokcie powleczone fioletowym, jadowitym lakierem.

— Kiedy on przyjdzie? — odezwał się ten trzeci, którego nie znałem.

Malarz oderwał wzrok od okna.

— Może wcale nie przyjdzie — mruknął.

— Przecież zawsze tu przychodzi — zdziwił się ten trzeci.

— Ostatnio unika — odparł Malarz.

Usadowił się wygodniej i opowiedział to śmieszne zdarzenie.

Pies Wojny tak wystraszył Pośrednika. Od lat we Francji mieszkła. Żeby tu przyjechał wstawić. Taniej. Popił wtedy i Pośrednika z serdecznego uścisku swych niedźwiedziich łap nie puszczał.

— Mam dla ciebie biznes — powiedział.

— Jaki? — zainteresował się tamten.

— Związany z wojskowością.

Począł snuć karkołomną transakcję handlu bronią. Stąd, z Polski, gdzieś do dzikich w Afryce.

— Mam w tym doświadczenie — powtarzał i te piękne, sztuczne zęby w uśmiechu odsłaniał.

Może i miał. Podobno na ciemnych aferach jego zamożność stoi.

— Ty mi pasujesz! — wykrzykiwał z zapałem. — Masz swoje kontakty, posmarować będzie trzeba, zielonymi sypnąc...

Pośrednik, kombatanat zarazem, pułkownik w stanie spoczynku, wystraszył się nie na żarty. Różni tu przecież przychodzą. Mogli podsłuchać.

Gonił go gromki głos Psa Wojny.

Świetnie opowiedział Malarz. Żadbał o humorystyczne efekty. Raz był Psem Wojny, to znów jego wystraszonym kontrahentem.

— Poważnie? — zdziwił się Kaletmistrz. — Tak było?

Ten trzeci pokiwał z pobłażaniem głową.

— Czego tu się bać? Pijackich bredni?

— No wiesz! — żywo zareagował Kaletmistrz. Rozejrzał się i dodał szeptem: — Podobno są tu detektywi hotelowi.

Ten trzeci wymownie skrzyżował lewą rękę na przedramieniu prawej i buńczucznie potrząsnął tym symbolem palanta.

Znać musiał barmankę. Uśmiechnęła się do niego.

Pies Wojny. Tamtego tak Kiciuś nazwał. Posiada dar nadawania trafnych przezwisk. W jego nomenklaturze nazywam się Inżynier Pisarski. Celny straż. Ten mój krawacik, marynarka w jodełkę, niekiedy aktówka pod pachą. Taka standardowa zwyczajność. Zostałem tym Inżynierem.

— Hotele, burdele — niespodzianie bąknął Malarz.

Szarą dziś miał twarz i apatyczne, zgaszone oczy. Może popił wczoraj? Maluje. Płótna kolorami pokrywa. Cenią go i kupują. Zawsze jednakowy. Spokojny i pogodny. Chłopski syn. Może to te wsiowe korzenie właśnie. Dają równowagę i odporność. Gobeliny też tka. Cierpliwość długiego ślęczenia przy tkackim warsztacie. Jednak to rzemiosło w końcu, fizyczne prace, surowiec. Pewność i spokój z tego mogą wynikać. A ja? Tym pisaniem przeżarty. Niepewny i rozdygotany. Jakby wrzód wzbierał. Coraz rytmiczna fala wyrzuca mnie tutaj. Nie zawsze przecież dłoń, uzbrojona w ołówek, sunąć ze skutkiem po papierze potrafi. Nieruchomieje. Wstręt chwytą. Paraliż. Męczy ta gęstwa niewypowiedzianych słów.

— Gdzie robisz? — pyta dawny przyjaciel z przedmieścia, Sewek Studniarz.

— Zajmuję się pisaniem — bełkocę z udręką. — Wiesz, prywatnie, w domu sobie siedzę.

Kiwa głową. Ale nic nie rozumie. Żegnamy się. Sewek pędzi do roboty, może z roboty. Zostaję sam i myślę: gdzie by tu iść?...

Tak było i tym razem. Wgnany z domu jałową niewolą za papierem, tutaj pożeglowałem. Czas jakiś miotalem się po ulicach. Ale nie było innego wyboru.

Ten gmach z gruzów powstał, niewysoki, masywny, odbudowany z pietyzmem dla przeszłości, zaprasza do swego wnętrza wejściami z czterech stron. Dobry ma rodowód. Książę był jego właścicielem, a Tetmajer, obłąkany i zamknięty już do końca poeta, tu na najwyższym piętrze miał dożywotni pokój.

Portier o nienasyconej twarzy szakala otworzył przede mną niedbale drzwi. Pozdrowiliśmy się w przelocie. Zastygł w wy-

czekującej do skoku pozie. Na cudzoziemców czyha, gotowy do usług rozmaitych. Korytarzem wyłożonym marmurami dotarłem do szatni. Szatniarz twarz miał znajomą. Starą, wypętlą, z małym wąsikiem, pod którym błąkał się nieokreślony uśmieszek. Kogoś przypominał z dalekich lat. Patrzyłem z wysiłkiem. Nie mogłem sobie przypomnieć. Tyle tych twarzy. Gąszcz. Odważemnił się również intensywnym spojrzeniem. Wziąłem numerek.

W narożnym barze powitał mnie gromki głos Kaletmistrza:
— Witamy Inżynierze!

I tak oto jestem tutaj. W naszym klubie, jak powiada Kiciuś. Patrzę ukradkiem na barmankę. Jej ciało leniwe, fachowe. Wyobrażam sobie niemało. Banalne to. Jak niewola. Z tego patrzenia nic nie wynika. W czasach, kiedy pisałem *Robaki*, było inaczej. Osadzony tą samą żądzą, ruszałem jednak na podbój. Więc nie tą samą... Młodą, aktywną. Przecież spełniałem swoje zachcianki. Teraz już rzadko. Lepkie macki chowają się bezsilnie. Tylko jałowe pulsowanie pozostaje. Slepia Onana. Opuszczałem powieki. Podnosiłem wstydliwie.

W głowie się roi, a dół już nie taki — powiedział kiedyś pewien stary, zużyty łajdak. Święte słowa. Głowę przepoić niemocą dołu.

Barmanka wysunęła się zza kontuaru i zmieniła nam popielniczkę. Nakopciliśmy. Cały stos niedopałków.

— Za dużo panowie palą — powiedziała. Głos miała niski, dzwięczny. — Ja rzuciłam od trzech miesięcy. Znacznie lepiej.

— To widać — rzekł ten trzeci.

— Czyżbym przytyła? — zaniepokoiła się i zatrzepotała długimi rękami. Były chyba sztuczne.

Ale ten trzeci już nie odpowiedział.

Nadszedł wreszcie Pośrednik. Dziś elegancki nad wyraz: garnitur miękkiej, angielskiej, krawat o dyskretnym desenie, kłapę ozdabiały mu miniatury odznaczeń.

— To medale! — roześmiał się Malarz.

— Ruska skłonność — zamruczał Kaletmistrz.

— Pomaga w interesach — rzekł z powagą Pośrednik.

Przywitał się z nami w roztargnieniu. Pogrążył się zaraz w szeptach z tym trzecim. Obaj wyjęli notesiki, coś w nich sprawdzili, schowali równocześnie i kiwnęli głowami. Opuścili bar.

— Pies Wojny był tu przed chwilą — rzucił na odchodne Malarz.

Pośrednik skrzywił się z niesmakiem.

— Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

Zaśmieliśmy się. Kaletmistrz odprowadził uważnym spojrzeniem tego trzeciego.

— Łeb... — powiedział — pieniądze lizą do niego jak świnie.

Zabrzmiało to melancholijnie i nieco zawistnie. Sam szczęście do interesów ma niewielkie. Plajtował dwa razy. Domiarami go cisną. Starą Skodą dotąd jeździ.

— I niezły mecenas — wtrącił Malarz. — Dwa obrazy kupił.

Zaczynał się już hotelowy ruch. Znajome twarze. Kombinatorzy. Piosenkarze. Filmowcy. Plejboje. Zaglądają. Odchodzi. Czerwona krwista twarz profesora od moralności socjalistycznej. Też tu bywa. Wymienił ukłon z Malarzem.

— Sąsiad... Ma daczę obok mojej — wyjaśnił Malarz. — Ze starego wiatraka sobie przebudował.

— Widziałem go wczoraj w telewizji — rzekł Kaletmistrz. — Bredził. Areopag kłamców... — aż prychnął.

Dacza Malarza. Byłem tam. Siedział wtedy nad stołem. Taki jak dziś. Szary, zgaszony. Był po pijackiej, szaleńczej eskapadzie do Zamku. Jest taki Zamek daleko stąd, a w nim pani kustosz, luba jego wybranka. I niekiedy pragnienie tego Zamku ogarnia go przemożnie. Potrzeba ucieczki w gotyckie, wysoko sklepione komnaty, pełne zbroi, obrazów i ciężkich mebli. Wybiega wtedy w noc. Zatrzymuje taksówkę i gna tam.

— Wróciłem rano — uśmiechnął się wstydliwie.

Snuł się wśród książek, płócien i gobelinów. Wzdychał. Co go tam gna? Gotycki archetyp. Rycerska legenda. Do swojej wybranki na wysokiej górze podjeżdża średniowieczny kochanek. I tę jego gruboskórną chłopskość, ciężką i bez uniesień, diabli wtedy biorą.

— Wariactwo — powtarzał. Sam się sobie dziwił. — Dwieście kilometrów stąd — stwierdził rzeczowo.

Takie wariactwo to jest coś. Duża rzecz.

— Wiatrak — warknął Kaletmistrz. — Budują się świnie.

Lubię Kaletmistrza. Rubaszny, szczery i tak przez życie przemaglowany. Dużo w nim goryczy. Często powtarza zawzięcie:

— Syna uczę angielskiego. Od pierwszej klasy. Musi umieć perfekt.

A niedawno tak mi znów powiedział:

— Czytałem ten twój *Hades*... — Zastanowił się. — To piwniczne życie w knajpie. Znaczy polski Hades w ogóle. Tak to rozumiałem.

Ucieszyłem się. Doskonale zrozumiał.

— Wiatrak — powtórzył Malarz. — Kiciuś mówił, że jest taka figura erotyczna, wieloosobowa, ciekawe jak to wygląda?

Z głębin hotelowego matecznika wynurzył się Wiesio Milicjant. Przysiadł się do nas. W objęciach trzymał swego pudelka. Mały, śmieszny psiak ostrzyżony na lwa, czerwona wstążeczka opasywała mu szyję.

— Sliczny — powiedziała barmanka — laleczka. — Jej biust zafalował uczuciem do pieska. Pudelek ziewnął, odsłonił świeżą czerwień w pyszczku.

— Miniatura — wyjaśnił Wiesio — dwa medale załapał w swojej konkurencji.

Opuścił go na podłogę i służyć kazał. Pudelek zastygł na dwóch łapkach niby posążek. Pogłodził go po nastroszonym, lwim łebku i z powrotem umieścił na kolanach.

— Od przyszłego miesiąca pewien sympatyczny lokalik bio-rę w ajencję — Wiesio Milicjant rozmięczał słowa jak smakowite kąski. — Wódeczka, krótkie dania, zapraszam gorąco... — zacierał pulchne dłonie o krótkich palcach, złoty sygnet pobły-skiwał na jednym, pierścioneł ze szlachetnym kamieniem na drugim; różowa koszula obszyta na przodzie czymś w rodzaju falbany rozpięta na wydatnym brzuchu, przelewającym się nad szerokim pasem.

Milicyjny rencista, dwa lata minęło jak czynną służbę zakończył. Czasem nazywano go po prostu Tłusty. I zawsze kipiał taką żywotnością i optymizmem.

Nagle i bezsensownie pozazdrościłem mu wszystkiego. Pudelka, sygnetów, ajencji, córki, która żyje, jak powiada, z pewnym dygnitarzem. Być tutejszym konkwistadorem. Iść jak taran przez życie. Jeszcze jeden taki tu przychodzi. Lepszy od Wiesia. Małpoludem go nazywamy. Szkła optyczne wyrabia. Ostatnio BMW nabył. Pieści ten samochód jak kochanicę najśłodszą. Ten to dopiero... Podobno był w wojnę ukraińskim policjantem i jego fortuna zaczęła się od słoika złota zrabowanego Żydom gdzieś tam w Żółkwi, Kamieńcu czy Krzemieńcu. Tak żartuje Malarz. Na pewno śpią oni wspaniale. Zdrowo i twardo. Taki sen. Samo zdrowie. Pozazdrościłem im tego snu. Coraz częściej rozmaite pastylki łykam. Barbituraty. Dostojne słowo. Był taki pisarz mojej generacji. Idol pedałów i pań w średnim wieku. Lubił alkohol i barbituraty. Gryzły się ze sobą te upodobania. Aż wałnął w kalendarz. Nie ma go już. Barbituraty... Najczęściej przyjmuje nitrozezan.

Barmanka głośniej nastawiła radio. Zadzwieczał sygnał z wieży Kościoła Mariackiego.

Wtedy pojawił się ten drugi waluciarz. Już nie kolorowy jak pierwszy. Pośpny raczej. Ubrany w ciemną, zamszową bluzę i ciemne buty, też czarne, wysokie z metalowymi ostrogami.

Wrzucił dwuzłotową monetę do pyska szafy grającej i „*Feeling today*” nastawił.

— Współpracownik organów — szepnął Wiesio, który wiedzę w tym zakresie posiada wiarygodną.

Zahuczało muzyką. Szczelnie wypełniła niewielką klatkę narożnego baru. Zawibrował szklany blat naszego stolika. *Feeling today* — ryczało ochryple.

Waluciarz drugi raz nastawił tę melodię. Kuliliśmy się pod kanonadą dźwięków. Tylko Wiesio przytupywał obcasami w takt i coś opowiadał, czego w żaden sposób nie mogliśmy usłyszeć. Nawet biały pudełek zbudził się i zaszczeakał. Dopiero interwencja Kiciusia wyzwoliła nas z udręki.

Zaczynał swój spacerowy dzień. Wkroczył skrzypiąc butami. Też były kowbojskie, spiczaste, ozdobione ostrogami i na wysokich obcasach. Z początku Kiciuś zdradzał pewną życzliwość dla tej melodii. Jednak przy trzeciej powtórcie stracił cierpliwość i rozciął dokuczliwy wrzód wrasku. Zbliżył się do szafy i jednym szarpnięciem wyrwał sznur z kontaktu. Zaciechło raptownie. Ulga. Czarny waluciarz spojrzał na niego z wściekłością. Zderzyli się spojrzeniami. Niezłomne oczy Kiciusia. Barmanka z zainteresowaniem popatrzyła na zmagających się w milczeniu mężczyzn. Pojedynek wygrał Kiciuś. Czarny waluciarz postął jeszcze chwilę w tym cichym nagle barze i wyszedł nie dopijając koniaku.

— *Feeling today* — zachichotał Malarz.

— Wziął go za kogoś z tej branży — ocenił zdarzenie Wiesio Milicjant — tylko wyższego rangą.

— Bał się po prostu — sprzeciwił się Kiciuś. Ramiona masywne, cały jak kłoc, ciężki, zwarty i to oko zimne, jasne. — Nie chciał się łomotać — dodał i powiódł po nas czupurnym spojrzeniem.

Pokiwaliśmy głowami.

— Więc rozumiecie... — tłusty Wiesio usadowił się wygodniej; brzuch wylażł mu jak cięża na kolana, pogładził pudełka po lwim łebku; cała jego postać kipiała żarłocznym nienasyceciem. — Jeden mój koleś, ja go nauczyłem, ma w swoim Fiacie zamontowany magnetofon z odpowiednią taśmą, ja mu nagrałem, zatrzymują go ci z drogówki, przekroczył szybkość,

ostro jeździ, nerwus taki, a on pstryk!, włącza magnetofon, dopiero wtedy opuszcza szybkę i pyta: o co chodzi, sierżancie? a z tego magnetofonu: tu Warta, tu Warta, S-53, słyszysz mnie?, słyszysz?, przekazuję komunikat, obiekt obecnie..., to starczyło w zupełności, ten z drogowej kopytami stuknął, przepraszam, zaraz odszedł, tylko kierowca musi się odpowiednio zachować, służbowo, że tak powiem... — czy Wiesia, chytne iskierki utopione w tłustej twarzy. — Sam też mam na nich swój sposób, skromny — zachichotał i zatarł dłonie. — Prawo jazdy trzymał w plastikowej oprawce, wiecie, a do tego włożyłem jeszcze wizytówkę, zrobiłem sobie przed odejściem na rentę, kapitan taki a taki, telefon taki a taki, wtedy jeszcze służbowy, zobaczą, bardzo pomaga... — Jego głos zacichał, to znów nasilał się w moich uszach.

Zamówiłem drugą kawę i mieszając cukier w filiżance pogrzyżyłem się w swoich bebechach. Ten ciągły boks. Ze sobą i z pisaniem. Lat przybywa. Po czterdziestce. Książek kilkanaście. Obca łapa nigdy moim pisaniem nie sterowała. A mimo to, ile spętania, niemożności. Krok coraz cięższy, niewola przyzwyczajęń, drobne, coraz częstsze ustępstwa. Gorączka uszła. Płaskie, rozdeptane te moje dni, noce.

Wynurzyłem się na powierzchnię. Głos Malarza.

— Dwa pieski wyskoczyły na jezdnię — mówił — musiałem ostro skręcić w prawo, przyhamować już nie mogłem, śliska nawierzchnia, murowany poślizg, zresztą o mały włos rąbnąłbym o słupek, aż się spościłem, a te kundle pobiegły w krzaki...

— Czy twoja dacza już wykończona? — przerwał Kiciuś.

Też dynamiczny, pazerny na życie. Pewno budować chce coś. Budują się wszyscy. Urządzają. Taki czas.

Odwrociłem głowę. Widok za oknem. Czyściciele samochodów na parkingu. Zza węgła wojskowego budynku po drugiej stronie wynurzyła się wataha Cyganek. A w głębi na tle czarnych i bezlistnych drzew Grób Nieznanego Żołnierza.

— Czy wiecie, kto jest tam pochowany? — zapytałem.

— Orlątko lwowskie — odpowiedział Malarz.

— Nocą pedały wartowników nagabują — odezwał się Kiciuś. — Za wgląd do rozporka jest taryfa.

— Do rozporka! — zaniósł się bronchitowym śmiechem Kaletmistrz.

Korytarzem miękko jak zjawa przepłynął ten elegancki człowiek z Libanu. Michel, maronita. Twarz miał oliwkową i marzycielskie oczy. Z rozpiętej koszuli wysunął się złoty łańcuch z krzyżem.

— Może kupi coś — zamruczał Malarz.

— Zapłaci w dolcach czy złotychkach? — zainteresował się Wiesio Milicjant.

— Kto to wie — Malarz wzruszył ramionami.

— Nadziany raczej — stwierdził Kiciuś.

Za szklanymi drzwiami pokazały się dewizowe dziewczyny. Popatrzyły chłodnym, taksującym wzrokiem. Zmierzały do hallu. Piękne, okazałe samice. Jedna zatrzymała się. Kiciuś przesłał jej dłonią całusa. Uśmiechnęła się.

— Niezła — uznał Kaletmistrz.

— Dymałem ją — pochwalił się Kiciuś. — Dwa szampany, kolacja, motel, koniak... — referował niedbale. Poprawił golfowy kołnierz swetra na muskularnej szyi. — Bezpłatnie.

Tłusty Wiesio popatrzył na niego podejrzliwie.

— Bezpłatnie — powtórzył.

— Ja też z taką jedną — powiedział Kaletmistrz — ale płatnie. Przyjechała z prowincji. Miała trzy marzenia... — zmarszczył czoło — ważna jest tu kolejność. A więc tak: rozeń, samochód i mieszkanie. Tam u niej w miasteczku jeden ma rozeń, kurczaki i frytki sprzedaje, ogonek przez cały dzień. Tylko o tym mówiła. Słabe dymanie — splunął.

— Do końca życia będzie śmierdzieć fryturą — rzekł Kiciuś.

Za szklanymi drzwiami następna grupa dziewczyn. Wciągnął brzuch. Wyglądał jak samiec wiecznie gotowy.

— Dlaczego? — zapytał Malarz.

— Przy różnie to nieusuwalne — Kiciuś rozluźnił się. Dziewczyn już nie było. Smród frytury wlaży w ubranie, włosy, wszędzie. Nieusuwalne — podkreślił z naciskiem.

— Bardzo ciężko usunąć — przyznał Wiesio Milicjant.

Smród frytury. Obłąający, nachalny. Na całe życie. Całe życie. Ścieka tłuszcz. Śmierdzi. Pobrudzone tłuszczem pieniądze.

— Coraz mniej, panie, idejowych ludzi — tak powiedział kiedyś starszy człowiek w piwiarni.

Staliśmy naprzeciw siebie. Wpierw patrzył. Potem pochylił się i tak powiedział.

— Czasy takie — dodał jeszcze.

Dalej piliśmy piwo w milczeniu. Wyszedł pierwszy. Twarz miał ogorzałą, wąsatą. Wylał z piany obwisłe wąsy. Był w dżim, granatowym szynelu.

— Ile?! — zdumiał się Kaletmistrz.

— Tak stoi na giełdzie — odparł Wiesio Milicjant. — Spytaj kogo chcesz!

Moi towarzysze rozmawiali o interesach. Nie słuchałem. Nie chciało mi się. Ciągłe byłem zajęty sobą. Taka potrzeba. Od rana to męczyło i w nocy też. Wspominanie. Dużo wspomniania. Na przykład Krzywy. Mój przyjaciel. Jeden z najbliższych. Też ciągle na coś liczył. Te jego dłonie od tokarki pościerane, twarde. Nie bał się żadnej roboty. Przerzuty miał ostre, od urzędniczej posady do harówki na budowach. Budowy socjalizmu. Błoto, rozbebeszona koparkami ziemia. Zwiedzają literaci. Żeby opisać. Wśród nich i ja. Ryczą motory. Dźwig podnosi swoją łapę. W kabinie Krzywy. Niespodziewane były nasze spotkania. I pił do zatury, alkoholem podlewał swoje zmagania. Ulubionym jego pisarzem był Faulkner i rozumiał go jak mało kto. Cenił w tych książkach posępnych, upartych mężczyzn. Sartorisów, Sutpenów i ich walkę z przeznaczeniem. Wiecznie czegoś szukał.

Wierzył w sens poszukiwań. Ostatnio miał zamiar żaglówkę budować. Już gromadził materiał. Poszedłem zaprosić go na swój wieczór autorski. Piąty listopada, trzy lata temu. Pukam. Cisza. Walę coraz mocniej. Uchyliły się sąsiednie drzwi. Wyjrzał rozczochrany facet w piżamie.

— Nie ma tego pana. Umarł.

Umarł Krzywy. Nos miał złamany, krzywy właśnie. Od kolby niemieckiego pistoletu podczas okupacji. Dla mnie to był człowiek „idejowy”. Pisałem o nim. Dawno temu był Bródką w *Silnej gorączce*. Właściwie nigdy w swoim pisaniu z nim się nie rozstawałem. Potrzebna to była świadomość. Jest ktoś taki. Silny, niepokonany.

Coraz więcej tych pustych miejsc. Ostatnio ulubiony wujek Marian. Ze wsi. Brat matki. Jeździłem tam po wojnie podpaść się, nabrać sił na świeżym powietrzu. Pokochałem milkliwego wujka. Chodziłem za nim jak psiak. W pole, do stajni, na łąkę. Wszędzie. A kiedy zeszli się sąsiedzi, wujek mówił do mnie:

— Powiedz „Beresteczko”.

Mówiłem. Śmiali się sąsiedzi. Niektóre słowa wymawiałem szybko jak karabin maszynowy. Do nich należało „Beresteczko”. Wieczorem zaś niezmiennie:

— Marcin! — wołał wujek — podaj pieska!

Biegłem po drewniany przyrząd do ściągania butów z cholewami.

I umarł wujek Marian. Zobaczyłem w otwartej trumnie wyschniętą, kościaną twarz. Obcą, martwą. Zatrzasnęli wieko. Rozglądałem się po chałupie. Szerokie łóżko przykryte pasiastą kapą. Lubił na nim odpoczywać wujek Marian. Jego gruba,

podbita futrem kurtka wisiała na gwoździu w sionce. Wojłkowe buciory stały pod ławą. Ostatnie ślady. Niebawem znikną. Nikt nie będzie też wiedział, że we wczesnym dzieciństwie byłem nazywany Marcinem. I mało kto już wie, co to jest drewniany piesek i do czego służy.

— Jadę za nią wolno, wolniutko — monotonny głos Kiciusia — ogląda się... Maszyna! Te piersi, ten świński ryj...

— No i co? — nie wytrzymał Wiesio Milicjant.

— Udało się — wycedził po efektownej pauzie Kiciuś — pełny serwis usług.

Zajęć się tymi maszynami tak jak Kiciuś. Dymaczem być, a nie Inżynierem Pisarskim. Albo biznes robić. Tak jak Wiesio, Pośrednik, inni. Oto perspektywa. Gęste, nabite zajęciami dni. Roześmiałem się z tych bredni. Śmieszna naiwność.

Przyjaciele spojrzeli na mnie ze zdziwieniem.

— Bogate życie wewnętrzne — wyjaśniłem, błazeńsko krzywiąc twarz.

— I nie dzielisz się z nami? — powiedział Malarz.

— Niewyrażalne — odparłem.

— W lutym będę bił nutrie — tłusty Wiesio poprawił na kolanie pudelka, który pochrapywał leciutko. — Zakręcił młynka palcami. — Wiecie, jakie to dobre mięso? Niektórzy kiełbasy robią. Wybredne, one byle czego nie zezrą, a jakie czyste! myją się co chwila, czystsze niż twoje baby — zarechotał i popatrzył na Kiciusia.

Ten skrzywił się z obrzydzeniem.

Naraz tłusty Wiesio przestraszył się czegoś. Skulił się i małymi oczkami w korytarz za oszklonymi drzwiami tupał. Może ktoś przechodził. Chwilę tak przeczekał za plecami Malarza.

— Takie tam — wybąknął niechętnie. Nic bliżej nie wyjaśnił.

— Takie tam — powtórzył Malarz.

— Gańdziary — powiedziałem przeciągle.

Pośrednik tak pieniądze nazywa. W jego wykonaniu kresowym, śpiewnym akcentem słowo to bardzo smacznie brzmi. A powiedziałem tak, żeby coś powiedzieć. Następnie pomyślałem o Pośredniku. Od rana w biegu, krzątania, kawiarnie, warsztaty, urzędy, spotkania, kawki, koniaki. Żywiół niezmordowany. Zahartowany frontowiec.

— Może potrzeba ci szmalu? — Kiciuś już sięgał do kieszeni.

— Nie. Tylko tak sobie obracam. Smaczne słowo. Gańdziary. Grandziary.

— Pisarski szlif — domyślił się Kiciuś.

— Żebyś tak wziął się za mój życiorys, dopiero byś napisał — tłusty Wiesio klepnął mnie po ramieniu. — Na Woli był początek, rozumiesz, tam się urodziłem, stary robił u Lilpopa, komunizował, ja też od maleńkości przy naszej władzy, zaczynałem od gońca w urzędzie bezpieczeństwa.

— Wiesiek zawsze z władzą — przytaknął Malarz. — Ale ludzki, parę złotych mu dać, nie odmówił, przyjął, pomógł...

— A jak! — potwierdził Wiesio. — Trzeba życiowo.

— Niecenzuralne to wszystko — odezwałem się — nie przejdzie.

— E tam! Dać odpowiedni retusz i przejdzie — podjudzał Malarz z fałszywą powagą.

— Mój życiorys — przytaknął Wiesio Milicjant — gotowy *bestseller*.

— Nasz Cichy Don — wtrącił Kiciuś — walka z reakcyjnym podziemiem, strzały zza węgła, zapluty karzeł reakcji — rozgrzał się całkiem autentycznie i gestykulować zaczął — lasy, referendum, jak to chłopów do głosowania pędzili, jak to akowców za dupę i do pudła, te przesłuchania, jaja w szufladę i: mów sukinsynu!

Tłusty Wiesio potakiwał gorliwie. Nostalgia powlekła mu małe, głęboko schowane oczy.

— Młodość — westchnął.

Malarz zaśmiewał się. Usta zasłaniał dłonią i rechotał.

— Co za kraj! Selekcja negatywna — Kiciuś sędzią stał się surowym, gromowładnym — bo gdyby tu stosowano normalne kryteria, to wielu z nas za łopatę musiałyby się złapać, no nie?! — twarz miał chmurną, ściągniętą. — Brak kwalifikacji, żadnych indywidualności. Selekcja negatywna i zdewaluowany system wartości — powiedział z naciskiem. Wpatrzył się nieżyczliwie w naszego milicyjnego rencistę.

— Niby dlaczego? — zdziwił się Wiesio.

— Zdewaluowany system wartości — potwierdził Kaletmistrz. — Złotówka leci na łeb, sto złotych dwa lata temu, a teraz...

Tłusty Wiesio pokiwał głową.

— Tak można godzinami — ziewnął Malarz — i co z tego wynika?

— Trzeba się nie dawać — rzekł Wiesio i jego oczy zakiptały energią. — Głowę kręcić, kombinować... Ty na przykład — zwrócił się do Malarza — mógłbyś się wziąć za nutrie. Plac masz... Pobudować klatki... Futerka idą jak woda... Te nutrie,

jak one ładnie jedzą, łapki palczaste jak ludzkie, tak trzymają i chrupią, jabłka lubią, a te zęby długie takie mają i koloru pomarańczowego.

— Pomarańczowego? — zdziwił się Kaletmistrz.

Wojenne szambo. Takie zdarzenie mi się przypomniało. Było to podczas okupacji i uczyliśmy się w drewnianym domu nad glinianką. Wraz z dzwonkiem zapowiadającym dużą pauzę wybiegliśmy z budynku i ustawiliśmy się w kolejce do klozetu. Obok niego szambo. Odkryte. Czekając na wejście przepychaliśmy się z nudów i nadmiaru energii. Dziewczyny popiskiwały. Aż popchnęliśmy mocniej. Z kolejki wypadła koleżanka Zielińska. Stała najbliżej klozetu. Wypchnięta jak z katapulty, wpadła do odkrytego dołu z odchodami. Jak ona się tam taplała! Zrazu śmieliśmy się do łez, ale powoli śmiech zamierał na naszych twarzach. Zaczęliśmy odwracać głowy od widoku dziewczyny miotającej się w mazi ludzkich odchodów. Wreszcie pojawił się nauczyciel i podał jej tyczkę. Wydostała się stamtąd. Pokryta tą gęstą mazią z szamba i tak śmierzdząca. Wstrząsał nią konwulsyjny płacz. Nie do zapomnienia.

Spoglądałem w okno.

Cyganki osaczyły jakąś kobietę. Wróżyć chcą. Przekładają karty. Kobieta opędza się. Cygańskie bachory wyciągają ręce. Zebrzą. Waluciarze wsiadają do swoich Fiatów mirafiori. Spieszą się gdzieś. Drapieżne ptaki miasta. Na usługach chłopcy. Tak powiada Wiesio. Kopki topniejącego śniegu pod wojskowym budynkiem. Kałuże na jezdni. Wcześniej spadł śnieg w tym roku.

Od tego okupacyjnego szamba uciekłem w krainę sztuki. Czysta, orzeźwiająca krynica. Czy rzeczywiście? Wszystko układa się dziś w złą odpychającą mozaikę.

Kiedyś, przed laty, pojechaliśmy z Klubu Autora, takiej mordowni, gdzie zbierają się twórcy rozmaitych profesji, do pracowni pewnego rzeźbiarza. Był to artysta znakomity. Uznanie cieszył się powszechnym i szacunkiem. W jego ogromnej pracowni na ostatnim piętrze wieżowca snuliśmy się wśród skończonych i zaczętych rzeźb. Łodygowate, eteryczne konstelacje roślin, pnączy, lian i wężowych splotów. Świat abstrakcyjnej, tajemniczej płataniny.

Rzeźbiarz twarz miał ascetyczną i udzielał skąpych wyjaśnień.

— Tu inspiracją były *Sklepy cynamonowe* Brunona Schulza — mówił — tu Pietà, a tam pewne treści metafizyczne... moje lektury w tym czasie.

Poruszaliśmy się w półmroku pośród gipsowych szkiców, gotowych już odlewów, nagich drutów. Szumiało alkoholem i sztuką. Zwróciłem uwagę na kilka kształtów, okrytych szczelnie ceratową folią i obwiązanych sznurami. Stałem przy nich długi czas. Aż powodowany niejasną ciekawością nie wytrzymałem i zerwałem osłony z kilku tych brył, słoczonych w kącie wśród nieużytecznych rupieci. Były to popiersia. Wykonane z realistyczną dokładnością. Po mongolsku szeroka, z wąskimi oczyma i trójkątną bródką głowa Lenina. Stalin. Była też scena zbiorowa: zastygła w ekspresyjnym rozbiegu grupa czerwonarmistów, jeden z nich trzymał ponad głowami drzewce z łopoczącą płachtą sztandaru. Kontrast był uderzający. Rzeźby-agitki, a wokół nich las łodygowatych pnączy, lian i kikutów, wypełniający całą przestrzeń. Rzeźbiarz spurpurowiał i też zastygł jak rzeźba. Po długiej chwili wrzasnął cienkim, wibrującym głosem:

— Precz!!

W ciszy pełnej kłopotliwego zawstydzienia opuszczaliśmy tę pracownię na ostatnim piętrze jednego z pierwszych wieżowców wzniesionych w naszym mieście.

— Może drinka? — troskliwy Kiciuś trącił mnie w ramię.

Odmówiłem gwałtownie. Gorzały chwilami bałem się jak ognia. Malarz również pokręcił przecząco głową. Nikt nie miał dziś ochoty na picie.

— Interesy — powiedział Kaletmistrz.

— Jestem wozem — dorzucił Wiesio Miliejant.

Wozy moich przyjaciół! Każdy z nich zmotoryzowany. Kiciuś gustuje w zagranicznych markach. Inni Fiatami przeważnie jeżdżą.

— Lepiej się nie wyróżniać — powiada Pośrednik. Ekstra auto w oczy kłuje.

Tylko ja jeden piechur. Łachmyta.

— Mogę ci załatwić prawko — Wiesio już kilka razy ofiarowywał się z przysługą.

Tego też nie chcę. Niech już tak pozostanie.

Ponownie uciekłem oczyma za okno.

Chłop w baraniej czapie i długim surducie człapał ukosem przez plac. Na plecach dźwigał kosz z pękami jakiegoś ziela. Może bagno na mole sprzedaje? Czyściciele otoczyli samochód, który podjechał pod hotel. Krążownik szos z zagraniczną rejestracją. Kłaniali się i gestykulowali. Zmiana warty dążyła pod Grób Nieznanego Żołnierza. Trzej. Defiladowy, sztywny krok. Prowadził ich oficer. Groteskowo wyglądali.

Tu na tym placu stała niegdyś rosyjska cerkiew. Pośrodku. Soborowa cerkiew. Tak mówi historia. Opowiadał mi ojciec. Bizancjum. Ciemno. Duszno. Kopuła przygniata. Od światła daleko. Połamane grzbiety. Na czworakach wszyscy. Twarze obłudne, pokorne a oczy wileczo świecą. Kastraci. Dużo kastratów. Kto temu winien? Kto tym basileusem?

— Wschodem cuchnie — powiedziałem przeciągle. — Coraz mocniej. A cerkwi już dawno nie ma. Rozebrana po pierwszej wojnie.

— Stała — potwierdził Malarz. — Ratusz też był.

— Sowietyzacja — ziewnął Kiciuś. Coś miał z tym golfem. Ciągłe poprawiał pod szyją.

— Kiedyś mówiło się Sowdepia — roześmiał się Malarz.

Dziś do niego nie czułem sympatii. Jakiś obcy. Pogodzony i obojętny. Wszystko żartem kwituje. Zresztą może ma rację. Patrzeć chłodno i z dystansu. W nic się nie wdawać.

— Ja, panie, myję się trzy razy dziennie, gorącą wodą i zimną, na przemian, podkoszulkę zmieniam co dwa dni, koszulkę co dzień, a kalessy co trzy... — zwierzał się tak kiedyś pewien schludny samotnik. Cały był taki wymyty i oczy też czyste, przejrzyste jak woda.

— Mój szwagier był na wycieczce w Związku Radzieckim — odezwał się Wiesio.

— Po co tam jeździć? — Kaletmistrz zakończył wreszcie obrządek studiowania sportu w *Trybunie Ludu*. Wsadził gazetę za kaloryfer.

— Nie miał krzywdy — odezwał się Wiesio. — Zwróciły mu się kosza i jeszcze zarobił. Tam kamyki można kupić. Taki jeden i już pięć dych najmniej. „Pociągiem Przyjaźni” pojechał. Celnicy mniej rewidują.

— *A propos...* — rzekł Malarz — czy wiecie, co to jest kibitka?

Czekaliśmy w milczeniu.

— Prototyp „Pociągu Przyjaźni”.

Śmiech. Kaletmistrz najgłośniej. Do łez.

— Pociągiem też długo się jedzie — powiedział Wiesio. — Raz tam jechałem... Tylko te pola i pola. Białe. Zimą to było... Piliśmy cały czas.

Zimowa jazda do Garwolina. Samochodem. Ciemność. Śnieżna przestrzeń. Białe pola zakończone czarnym szlakiem lasu. W tej pustce światelka nieliczne. Z rzadka człowiek zamajaczył. Idzie gdzieś. Czarny punkt na białym tle. Zanika. Naraz feeria

świecił jak wybuch. Pałac z bajki. Zespół szkół rolniczych. Tam miałem spotkanie autorskie.

— Nowoczesny obiekt — powiedział nauczyciel w baranim kozuchu — XXI wiek.

Oprowadzał długimi korytarzami, otwierał drzwi ogromnych sal. Szliśmy oszklonymi galeryjkami łączącymi pawilony. Mijaliśmy patia zavalone śniegiem. Jarzeniowe światło odbijało się od podłóg wyłożonych żółtymi klepkami.

— Inicjatywa premiera — ciągnął nauczyciel — w tych stronach był nauczycielem przed wojną.

Spojrzałem przez uchylone okno. Było białe, pustynnie i te rzadkie światełka w oddali. Skrzypiał śnieg pod stopami. Naszczekiwały psy. Dzwonek. Sanki.

— Czasem zastanawiamy się... — odezwał się nauczyciel w baranim kozuchu, twarz miał młodą, rzetelną — czy był tu sens tej budowy? No, ale może... w przyszłości... Znaczą futurologia — cień uśmiechu pojawił się na jego twarzy. Zaraz stał się powściągliwy, oficjalny.

Dlaczego premier ten pałac zbudował? Coś ludzkiego? Ślad po sobie chce zostawić? A może pycha tylko? Ślad. Syn premiera. Hulaka, niepoń i rajdowiec. Lud mówi o nim ze wstrętem i oburzeniem. Carewiczem nazywany. W *Paris Matchu* księciem Polski go nazwali. Bawił w Paryżu. Kupę forsy dewizowej tam wydał. Jak szejka z Zatoki Perskiej. Skąd miał tę forszę? Jego pałac też widziałem. Wspaniałą willę na Mokotowie. I samochody najdroższych marek. I dziwki. I jego twarz. Cwaną, bezczelną, z bródką...

— Podobno tam peruki idą jak woda — powiedział Kaletmistrz.

Powoli wynurzałem się na powierzchnię. Syn premiera. Zbochenie pamięci. Zaprzętać sobie tym głowę!

— Wszystko tam idzie — tłumaczył Wiesio Miliejant. — Tyle narodu... Jak w Leningradzie z metra oni wychodzą, mówię wam, to idą i idą...

Drzwi trzasnęły energicznie. Odwróciliśmy głowy. Wytrzeszczyłem oczy. Weszła Dzidzia.

— Dzidziu! — zawołał Malarz. Wstał i wyciągnął ręce. Wycałowali się serdecznie.

— Witajcie kochani! — powiedziała Dzidzia.

Ucieszyliśmy się bardzo. Bardzo ją lubiliśmy. Już pachniała leciutko.

— W samolocie z takim Szwedem po koniaku... Nudziarz... I z lotniska prosto do was — wyjaśniała.

Rozgrzały ją te koniaki podróżne. Wesołej kompanii zaprażyła. Gotowa. To rzucało się w oczy. Ruch nogi gwałtowny, kiedy zakładała ją na drugą nogę. Torebka niedbale rozpięta. Wystaje zwitek banknotów. Nasze i obce. Franki. Wiesio Milicjant żurawia tam zapuścił. Barmanka bacznie lustrowała Dzidzię. Jak to kobieta kobietę. Od stóp do głowy. Ten płaszczyk z futrzanym kołnierzem. Bluzkę. Spódnice. Buty. Paryski szyk. Patrzyła barmanka.

— Więc!... — Dzidzia pstryknęła palcami. Charakterystyczny jej sposób. Zamówić chce kolejkę. Ledwo ją Malarz powstrzymał. Na razie.

Ożywiło się w narożnym barze. Zaszumiało szerokim, otwartym światem. Z Paryża do nas przybyła Dzidzia.

— Jak mówi Goethe: „Więcej światła” — powiedział Malarz. — Od razu!

Dzidzia już opowiadać zaczyna.

— Wyobraźcie sobie, matka złożyła mi wizytę, nobliwa, stara dama, dobre urodzenie i te maniere, przedwojenny szyk, siedzimy sobie w Café de la Paix, matka patrzy z tarasu, Paryż swojej młodości wspomina, dużo czarnych — mówi — czy to jakaś wycieczka?, tak, na dłużej przyjechali, widocznie lepiej im się powodzi — zauważyła matka — za moich czasów biedna była ta Afryka, potem przysiadł się mój znajomy, mulat z Martyniki, dziennikarz, matka z nim konwersuje, taką francuszczyzną sprzed kilkadziesiątu lat, śmieszną, sztywną, poszedł sobie, jakiej nacji ten młodzieniec? — pyta matka, z Martyniki — mówię. A to dobrze — z ulgą matka — myślałam, że to Żyd...

— Znaczy kot — wtrącił Wiesio Milicjant.

— Słucham? — nie zrozumiała Dzidzia.

— U nas koty na nich się mówi.

— Albo co było z matką w tym klubie! — zaniosła się śmiechem Dzidzia. — Same pedały! To był spektakl!

Zmalał dzięki niej świat. Franki w torbie, bilet i paszport. Czasem przyjeżdżają do nas z zagranicy. Pies Wojny. Inni. Ale Dzidzia tym łącznikiem najważniejszym. Nic w niej z obcości i paryskiego oddalenia.

Oto serwuje następną historyjkę o eskapadzie do Marsylii z Amerykaninem, który miał ze sobą walizę wyładowaną butelkami whisky.

— Wina nie znosił. *Terrible* — powtarzał. — *I don't like it, I am fucking...* Śmieszny typ — pomagała sobie żywą gestykulacją, na przegubie dłoni połykiwała wschodnia, srebrna bransoletka nabijana zielonymi kamieniami i pierścioneł na

palcu też jakiś orientalny. — I w Marsylii wszystkie travellers-
czeki zgubił. A może mu ukradli...

Z Marsylii wróciliśmy do Paryża. Znaleźliśmy się w Halach,
zupa cebulowa, jakaś awantura z Arabami.

— Też byliśmy w Halach — rozmarzył się Malarz. West-
chnął. — Pamiętasz? Zupa cebulowa, wino, do białego rana...

— Film ci się wtedy urwał — Dzidzia kaskadą śmiechu
wypełniła cały bar — myślałeś, że jesteśmy w Europie.

— Ta Europa nasza — westchnął Kiciuś — gówno w torbie
z Pewexu. — Ruszył gwałtownie nogą. Trącił pudelka. Piesek
zapiszczał cieniutko. Wiesio pochylił się nad nim z troską.

— Dlaczego tak? — zdziwiła się Dzidzia. — Przyjemnie
tu się pije.

Kocica. Przeciaga się. Rumieńce zakwitły na policzkach.
Mruży oczy. Patrzy na półki z butelkami.

— Dobrze ci zmieniać — powiedział Kiciuś — jak rajski
ptaszek sobie fruwasz.

Kaletmistrz przytaknął energicznie.

— Nie każdy może — powiedział.

Już od miesiąca niepokoi się, czy dadzą mu paszport. Grecję
sobie zaplanował wczesną wiosną i ta wyprawa sen mu z oczu
spędza.

— Dadzą czy nie dadzą? — tępo tak powtarza. W zeszłym
roku miał odmowę.

— U nas za ostro ludzie piją — zauważył Wiesio Milicjant
— przerywać nie lubię.

— Po co przerywać! — Dzidzia wyglądała jak głodny ptak
z tym swoim wydatnym, garbatym nosem.

Pozazdrościłem jej. Każdemu dziś czegoś zazdroszczę. Może
nawet nie tego rajskiego fruwania tu i tam, co niefrasobliwej
natury i niezmordowanej ochoty do zabawy w wesołej kompanii.
Ten czas, tasiemiec nużący, jak to wspaniale wtedy się skraca.
Zdrowie też musi mieć żelazne. Żywotna, sprężysta taka.

— A jak małżonek? — zapytał Malarz.

— Jak to mąż. Nudny, gruby Katan.

— Dlaczego z nim nigdy nie przyjedziesz? — zadał pytanie
Kiciuś.

— Po co? — odpowiedziała Dzidzia. — Tylko kłopot.

Barmanka ustawiła na stoliku tackę z kieliszkami czystej.
To Dzidzia niezauważalnie zamówiła kolejkę.

— Czyn, czyn! — wzniosła kieliszek.

— Ależ ja dzisiaj... — zaprotestował Malarz.

Jego wahanie krótko trwało. Wychylił ostrym haustem. Czy

można Dzidzi odmówić? Też wypilem. Niech dokuczliwy ciężar tego dnia zelżeje jakoś. Tak pomyślałem. Taką miałem nadzieję. Z sympatią patrzyłem na naszą Muzę. Jej oczy żywe i wesołe.

— Z mamą wczoraj telefonicznie rozmawiałam, tylko nie pij za dużo, pamiętaj... — śmieje się zaraźliwie — twój ojciec też... Ojciec rzeczywiście, jeśli chodzi o rozrywki, niezmordowany.

Ten jej śmiech. To się udziela. Śmiejemy się wszyscy.

— Adam przyjaźnił się z twoim ojcem — powiedziałem — jednak ostatnio skreślił go ze swojej listy, twierdzi, że merkantylną ma mentalność. Tak to określił, Adam jak Diogenes nie znosi takiego systemu wartości.

Mój przyjaciel, Adam Mauersberger, dawny birbant i jeden z największych kracjonistów słowa mówionego, nieraz wspominał jej ojca. Sugestywnie też namalował atmosferę tego domu na skarpie, wypełnionego antykami, starymi obrazami i cenną porcelaną.

— Niestety — przyznała Dzidzia z pogardą — w mojej rodzinie na szmalu całość stoi, fundament naszej swobody i sposób oceny wyłączny. Przykre — pokiwała głową bez smutku.

Co za rozkosz taka kobieta! W odróżnieniu od tych samiec, mulistych, ciężkich i bez polotu. Sama steruje, zna cel i pewnie do niego podąża. Ponadto nie kusiła żadną erotyką.

I na barmankę popatrzyłem chłodniejszym okiem. Jej ciało nie gniotło już takim ciężarem. Obwisłe, wysłużone. Mniejsze uroki kryły się pod sukienką.

— Sylwester był u mnie latem — mówiła Dzidzia — ze swoją nową narzeczoną, znacznie obniżył standard, żadnego w niej wdzięku, prostactwo z gładkim jedynie polorem na wierzchu, coraz chamski, wulgarny wyłazi z tej cieniutkiej skorupy, te jej ślepią jak zatrute strzały tylko do złota, kamieni, precjozów wszelkich, oczywiście urody tych rzeczy docenić nie potrafi, jedynie przelicza na zwykłą, brudną mamonę... Martwię się o Sylwestra, tak bardzo obniżył loty, może to tylko kaprys przelotny?

Tłusty Wiesio słuchał z baranym okiem. Wiercił się pod naporem swego brzucha. Brzuch pod rozpiętą koszulą był różowy jak ciało noworodka.

Pudelek obwąchiwał paryskie buciki Dzidzi.

Ona dopiła skrzętnie ze swego kieliszka. Uczyniła to tak smacznie, ani cienia obrzydzenia na twarzy. Po prostu wódkę przyjęła jak nektar.

— O, wspaniała królowo beztroski! — Malarz złożył dłonie jak do modlitwy.

Dzidzia przytaknęła z powagą.

— Tym mnie Bóg hojnie obdarzył. Naprawdę.

— Beztroska — powtórzył Kaletmistrz.

Tłusty Wiesio zapiął na brzuchu koszulę, odchrząknął i zapytał:

— A jak tam w salonach samochodowych na Zachodzie, są jakieś nowe modele?

— Nie wiem — odpowiedziała Dzidzia — nigdy się tym nie interesowałam.

Malarz pozwolił sobie na małą złośliwość wobec Kiciusia.

— Jego się zapytaj.

Kicius poczerwieniał. Taką ma słabość. Trzyma rękę na pulsie giełdy samochodowej świata. Zna wszystkie nowinki.

— A jaki paszport pani posiada? — zadał drugie pytanie Wiesio. — Wielokrotny czy konsularny?

Malarz tym razem z niego zażartował.

— Cóż za ciekawość? Profesjonalna jeszcze?

— Skąd! — Wiesio zaprzeczył ze szczerym oburzeniem.

Obaj z Kaletmistrzem wstali równocześnie. Z galanterią pożegnali Dzidzię. Wiesio wsunął za pazuchę swego pudelka. Opuścili nasze grono.

— Mili — zauważyła mimochodem Dzidzia. I zdała nam relację z kolejnej zabawnej przygody. Tym razem Londyn. Była tam z Psem Wojny. Draka w nocnym lokalu. — Umie się znaleźć w awanturze — pochwaliła go Dzidzia.

— Krzepkie bydlę — przyznał Kicius.

Przez chwilę pomyślałem o następnej kolejce wódki. Ale nie zamówiłem. Ten pałacy trunek smakować należy powoli i metodycznie. Nie zalewać się bez opamiętania.

— Przenieśmy się — zaproponowała Dzidzia. — Tu za ciasno.

Ruszyliśmy więc do hotelowego hallu. Dzidzia tym swoim zamaszystym krokiem amazonki na czele. Przechodząc koło szatni znowu popatrzyłem na tę wypętlą twarz mężczyzny z wąsikami za ladą. Nie zdołałem jednak nigdzie jej umiejscowić. Szatniarz też na mnie popatrzył. Odkoczyłem oczyma w inną stronę. Na lewo był widok na kawiarnię. Na prawo toalety. Pośrodku drzwi do hallu.

Ten hotelowy hall, ozdobiony palmami i wyłożony zielonym dywanem, ważną jest oazą na szlaku tutejszych wędrowców.

Przestronny i klimatyzowany, latem daje błogi chłód, zimą ciepłem otula.

Usadowiliśmy się na miękkich, obrotowych fotelach. Stąd już widoku na plac nie było. Od świata zewnętrznego oddzielały nas grube kotary w oknach. Gabloty na ścianach ozdobione były dyplomami i pucharami dla hotelowej służby oraz reklamami zagranicznych trunków, wśród których wyróżniał się ten z sylwetką Napoleona w wielkim kapeluszu.

Przy barze szalał już Rymokleta. Tym swoim płaskim dowcipem szermował.

— Woda minetalna! — wołał do siwego barmana o wyglądzie dyplomaty.

Był jak zwykle w asyście, składającej się z jakiegoś faceta tytułowanego dyrektorkiem, śpiewaka operetkowego i potężnego młodzieńca o wyglądzie ciężarowca. Dowcipy Rymoklety największą uciechę sprawiały dyrektorkowi. Był to napuszony kurdupel o trunkowej twarzy. Zapewne wydawało mu się, że jest przyjacielem sztuki, a Rymokleta jej wybitnym koryfeuszem. W rzeczywistości jednak Rymokleta to płodny jak królik grafoman, który kopami sadzi wiersze opiewające walczący Wietnam, Hutę Katowice, armię, sport, wszystko. Na widok Dzidzi zarżał końskim śmiechem, zsunął się z wysokiego stołka i podbiegł. Wyciął nas po kolei. Poczułem na policzku jego grube, mokre wargi.

— *Paris sur glace* — powiedział bez sensu. Jego asysta zaśmiała się gromko. Zaraz do nich wrócił.

Siwy, dystygowany barman skłonił się z szacunkiem.

— Witamy panią w kraju — powiedział głębokim basem. — Tęskniliśmy już.

Osobiście podał do stołu tacę z kieliszkami.

— Kiedy zdążyłaś zamówić?! — zdziwił się Malarz. — Szatan nie kobieta!

Tętniło hotelowe życie. Schodami zbiegali cudzoziemcy, pobrzękując kluczami swoich numerów. Przy sąsiednim stole dwaj piwosze krzepili się piwem. Jeden chudy, zasuszony. Drugi czerwony, tęgi. Przed nimi bateria opróżnionych butelek. Żywa reklama browaru. Chyba Niemcy.

Przy barze zasiadł brodaty reżyser filmów fabularnych. Ubrany w amerykański, wojskowy strój z demobilu. Z nim rozpoczął hałaśliwą rozmowę Rymokleta.

Do Murzyna w kraciastym wdzianku przyczepił się zabłąkana pijaczek z teczka.

— Dobrze jesteście chłopaki — powtarzał. — Ładnie do góry się dźwignęliście, tylko więcej kultury, rozumiesz?

— *I don't understand* — Murzyn wytrzeszczył żółte białka.

W dłoniach trzymał paczkę Kentów. Pijaczek wyłuskał z niej papierosa.

— Ognia! — zażądał.

Kierownik recepcji wyrzucił ze swego kantoru. Wkrótce pijaczka wyprowadzono. Zajął się nim portier z bokserskim, złamanym nosem.

— Swojsko — powiedziała Dzidzia.

Między stolikami przeszedł mężczyzna w przydymionych okularach. Detektyw hotelowy. Tak mówią o nim. Wiesio Mili-cjant obiecał sprawdzić przy najbliższej okazji. Przechodzili inni. Znajomi. Nieznajomi.

— Mój prorektor — Malarz wskazał wysokiego mężczyznę, którego również obcałowywał Rymokleta.

— Też malarz? — zapytałem.

— Gdzie tam! Działacz partyjny.

— Poznałem jednego partyjnego — odezwał się Kiciuś. — Pochłamałem z nim i wyznał, dlaczego w partii, niby Wallenrod, żeby ratować, tam u nich drugi partyjny, ale świnia, więc żeby tę świnie wykończyć...

Nasze grono powiększyło się. Powrócił Pośrednik. Z nim Karol. Karola przedstawiać nie warto. Znają go wszyscy.

Pośrednik wyciął Dzidzię.

— Dama — powtarzał.

— *Grande dame* — poprawił Kiciuś.

Dzidzia wyraźnie lubi Pośrednika. Ciepłym, kobiecym wzrokiem spoglądała na tego szczupłego, posiwiałego mężczyznę o ostrej, zdecydowanej twarzy. Pośrednik bowiem, w odróżnieniu od biznesmenów tutejszych, przeważnie brzuchatych i niekształtnych, prezentuje dobrą, estetyczną formę. Oko cieszy. Jeszcze ta kresowa galanteria, z jaką całował Dzidzię w rękę. Dawny szwoleżer wprost. Dać mu tylko damski trzewik wypełniony szampanem, a przykleknie i wypije zdrowie pięknych pań.

— Świetnie wyglądasz — obdarzył Dzidzię komplementem — tak nobliwie i z seksem zarazem.

Karol, nieduży, wyłysiały, z niby dziecinną twarzą, taką buzią pucułowatego aniołka z landszaftów, oczy miał błękitne, martwe jakieś. Patrzył na nas uważnie. Każdego tak zmierzył. Na mnie zatrzymał spojrzenie. Pokręcił z dezaprobatą głową.

— Słabo wyglądasz. Marniejesz. Balet by ci się przydał.

— Ty też kiepsko — odciąłem się nieudolnie. — Za dużo baletów.

Karol dalej, jakby nie słyszał:

— Tak, balet konieczny, oczywiście, spienić twoją pisarską, zleniwiąłą krew... To potrzebne artystom — kpiąco zmruczył oczy. Szatanek taki. Oczy intensywne, wesołe, a jednak... — Pewien sławny reżyser przychodzi do mnie na terapię seksualną. Na razie patrzył sobie z boku, później sam się wziął do akcji, tylko światło każe gasić, nie lubi jasności, pruderyjny...

— Który to? — Kicius słuchał chciwie.

Karol dyskretnie wskazał tego brodatego w amerykańskim, wojskowym stroju przy barze.

— No i są efekty — zakończył. — Jego najnowsza twórczość filmowa znacznie lepsza, jurna, sugestywna... Ci intelektualści... — westchnął — tego fiuta przeważnie mają do wewnątrz. Sami siebie pierdolą.

Zaśmieliśmy się.

Balety Karola! Kicius jego uczeń. Parę pokoleń wyuczył. Słynny parowóz. Bardzo wymyślna figura erotyczna. Trzy partnerki, dwóch partnerów.

— Jak wygląda parowóz? — zadałem żartobliwe pytanie. — Może najlepszy dla mnie parowóz właśnie?

Karol chętnie, wyrazistymi gestami odtworzył tę zawiłą konfigurację erotyczną. Mimiką pomagał sobie świetnie.

— Oto kompozycja — objaśniał — wszystko w tym jest sztuką i harmonią, pięknem i wyrafinowaniem.

Ni to błazen, ni mędrzec. Może zwyczajny erotoman? Patrzył na nas swoimi cynicznymi oczyma, rzęsy miał długie, dziewczęce.

Filozofia Karola!

— Sperma i pieniądze. Oto cały bank. Nic więcej nie ma — recytowałem jego słowa.

Pokiwał głową.

— Doskonale pamiętasz. Czyli z teorią w porządku. Potrzebna tylko praktyka. — Następnie otaksował spojrzeniem Kiciusia. — Tyjesz. Ociężały filister.

Kicius mimowoli wciągnął brzuch.

— Za mało baletowania — taką diagnozę dał Karol.

Dzidzia zaśmiewała się do łez. Nie znała go jeszcze.

— Wspaniały! — wykrzyknęła z entuzjazmem.

Karol wzruszył ramionami. Zmierzył ją wzrokiem handlarza żywym towarem.

— Ze starymi babami gorzałą żłopiecie?!

— Karol! — skarcił go Pośrednik. — Licz się ze słowami.

— Ona jest jedyna, niepowtarzalna — powiedziałem — jako kompan.

— Kompan! — Karol parsknął pogardą. — Kobieta jako kompan!

Siedział przy nas w roztargnieniu. Rozglądał się i kręcił. Nie lubi siedzieć beczynnie. Wódki też nie lubi.

Niebawem poszedł sobie. Do takiego starego ze znaczkami RAF-u w klapie. Ostatnio razem baletują. Ten lotnik rentę dostaje z Anglii. Tutaj bogacz. Karol uczy rozkoszy tego dziada, wdowca, na starość lubieżnego jak kocur. Uczy go zbiorowej zabawy z dziewczynami.

Razem poszli do telefonu. Karol kartkował swój słynny notes-archiwum z dziesiątkami nazwisk i adresów dziewcząt.

— Harem wydzwanianą na wieczór — zauważył Kiciuś z zadumą. Ale dalej trzymał się naszej kompanii.

— Nieży miałem dzionek — rzekł Pośrednik. Zamówił kieliszek wiśniówki. — Łagodna. Niezbyt ostro wchodzi do organizmu.

Zaczynało mi się podobać. Dużo lepsze samopoczucie. Chciałem niczym się nie przejmować i żyć beztrosko. Takie sugestywne wzorce. Karol, który odszedł przed chwilą. Pośrednik. Dynamiczni, pełni energii i wesołości. Zamówiłem trzecią kolejkę.

Kiciuś popatrzył na mnie życzliwie.

— Rozkręca się Inżynier Pisarski.

— Pomału — przyznałem skromnie.

— A potem szalonym konikiem poleci kolega.

Była to przejrzysta aluzja do mojej energii po gorzale. Ile już razy ta woda, oszustka największa, występuje! Ile już razy bywałem w tej sztucznej euforii! Twarz płonąć zaczyna rozgrzaną krwią, oczy dostają połysku. Młodość znów wraca. Tyle można zmienić, przeżyć i doświadczyć! Takie to lekkie, proste. Wolny człowiek.

— Był kiedyś w moim życiu pewien idol. Księżę Nocy. Wolny człowiek. Tak on siebie nazywał.

— Znałem tego farmazona — brutalnie zabrzmiął głos Kiciusia. — Umarł niedawno. Skretyniały nędzarz i alkoholik. Z ulicy zabrali go do szpitala i tam się rozsypał.

— Ci wolni ludzie... — Malarz drobnymi łyżkami wysączył wódkę — mitomani pogrążeni w fikcji.

Dzisiaj przytaknęła gorliwie. Komu? Jemu? Mnie? Zostać człowiekiem sukcesu. Realistą. Pisarzem wielonakładowych wydań, pokazywanym w telewizji i chwalonym w całej prasie. Tak

żyć w pełnej glorii. Gładko poleciałem tą niewyżytą potrzebą, głęboko schowanym smrodem próżności. I zaraz Pisarza o opasłej, obłudnej twarzy zobaczyłem. Często wygłasza on w telewizji kazania. Głosem namaszczone, z miną zatroskanego humanisty. I wyobraziłem go sobie też na polowaniu (choć może nie poluje), w komfortowej willi przy kominku, pykającego fajkę i zapatrzonego w ogień, w sejmie wśród kolegów posłów i na bankietach w gronie dygnitarzy najwyższego sortu. A za nim rzędem stały jego dzieła, puste, kłamliwe, pisane potoczystym, bogato zdobionym językiem, z których ziało banałem, nudą, martwością. Już nie było w tym dla mnie żadnej elektryczności. W jego sukcesie, legendzie, bogactwie. Pozostała tylko obłuda tej twarzy, ulepionej z serwilizmu i nieprawdy.

— Chuj! — powiedziałem nadspodziewanie głośno.

— Kto? — zapytał Pośrednik.

— Jeden z moich kolegów po fachu. Znakomity pisarz.

— Też znam jednego pisarza — powiedział Pośrednik. — Kolega z wojska, batalistyczne książki pisze, rozwodzi się właśnie i ma kłopoty mieszkaniowe — uśmiechnął się do broduśznie. — Trzeba będzie pomóc staremu druhowi.

„Piszcie dalej, towarzyszu” — pouczał mnie kiedyś pewien partyjny specjalista od literatury — „tylko potrzebne większe wyważenie, selekcja, rozsądek, z latami tego nabierzecie”. Oto przestroga. Ci więzienni strażnicy od kultury! Pouczające. Nie daj Boże...

Z recepcji wybiegł boy z tabliczką, na której był wypisany kredą numer 223. Poszukiwał gościa z tego pokoju.

Szwed w zielonym kombinezonie powoli opróżnił szklanicę z piwem. Poszedł za boyem.

Pod palmą w drewnianej donicy siedział stary człowiek o ciężkiej, twardo ciosanej twarzy i oczach schowanych w napuchniętych, sinych torbach. Ubrany był w jaskrawy, fioletowy welwet i tego samego koloru muszkę miał pod szyją. Przy nim chłopak jasnowłosy, smukły i dziewczęcy, taki efeb. Milczeli i grzechocząc lodem sęczyli swoje trunki w szerokich kielichach.

— Pedały zapewne — uznała Dzidzia.

— Kartofle gubią — strzelił koszarowym żartem Pośrednik.

Wśród podążających hotelowym traktem do stoiska Pewexu zobaczyłem zgrabną damę o twarzy intelektualistki i grubych, nabrzmiałych wargach. Była to kompozytorka muzyki rozrywkowej, wdowa po Dariuszu. Dariusz przez wiele lat przy jej boku. Niegdyś cyniczny uwodziciel. Przy kompozytorce ustatkował się. Był syty i godny. Bardzo jej oddany. Nawet operację

plastyczną nosa sobie zrobił. Z orlego na prosty. Orli nie podo-
bał się damie jego serca. Aż zakończył się idylli czas. Kompo-
zytorka zapłonęła afektem do kontrolera NIK-u. Znajomość
zaczęła się od kontroli jej dochodów. Przerodziła się w uczucie.
Dariusz opuścił dom. Odtrącony kochanek. Snuł się żałosny i
przeegrany. Mieszkał w samochodzie. Czekał. Pewnego jesienne-
go wieczora wróciła do domu kompozytorka i zobaczyła w sy-
pialni nad ich szerokim, wspólnym łóżem Dariusza. Powiesił
się na żyrandolu. Z racji tej pointy Kiciuś nazwał go Wisior-
kiem. Przyjęło się.

— Wisiorkowa — powiedział teraz ze smakiem i otaksował
jej zgrabną, ponętą figurę. — Nie ma co prognozować — dodał
po chwili — ale z tym kontrolerem już nie może jej być dobrze.
Nieboszczyk ciąży nad nimi.

Pośrednik zamówił następną kolejkę. Dla nas czystą, sam
nadał rozgrzewał się wiśniakiem. Miał jeszcze dzisiaj zajęcia.
Wieczorem kombatanek spotkanie. Będzie generał.

— Z okazji bitwy pod Tobrukiem — wyjaśnił. — Muszę
utrzymać się do wieczora.

— Wiśniak! — Dzidzia wykrzywiła usta. — Od razu pa-
wiem mi podchodzi.

— Słusznie — przytaknął perfidnie Malarz — wiśniak
znacznie łagodniejszy.

Tak się mówi. Oszukiwać się można rozmaitymi sposobami.
Ale i tak podłączył się do nas Pośrednik ochoczo. Podłączenie.
Udział lub brak udziału w wesołej kompanii oznacza. Lingwis-
tyczny wynalazek Kiciusia.

Popatrzyłem na Dzidzię. Uśmiech zagasł jej na twarzy.
Wlepiła wzrok w ścianę. Ściana ozdobiona była jaskrawym,
ziarnistym malowidłem. Sztuka abstrakcyjna. Oczy Dzidzi wy-
dawały się znużone. Też jej smutno? Stary, francuski mąż. Być
może samotność kołaczy się w niej jak w pustej studni. Zabawą,
zmiennością wrażeń zagłusza ten studzienny smutek. Heroiczne
godziny, dni, miesiące jej życia.

— Dzidziu! — powiedziałem żarliwie — pijmy! — Stuk-
nęliśmy się kieliszkami.

Malarz taki rozbawiony. Właściwie jaki jest? Chwilami ani
śladu pogody w nim. Śmiertelnie zmęczony. Pomięty, przepusz-
czony przez magiel. Ale nigdy nie powie nic. Ile trzeba wysiłku,
żeby zachować taką równowagę? Ostrożnie kluczyć i szukać
neutralnych rewirów. W ludziach, sztuce, życiu. Czy takie re-
wiry istnieją? Jakim prawem oceniam tak pochopnie?! Kto

mi dał to cholerne prawo? Pisarska megalomania. Nisko pochyliłem głowę. Rumieniec wstydu oblaży policzki.

— Podpatrywaczu! — Kiciuś pogroził mi palcem. Trudny do określenia uśmiezek błąkał się po jego twarzy. Czujny i bystry. Czy tylko tak rzucił na ślepo? Kiciuś. Taki czołg. Posuwa się wolno, wolniutko. Gruby pancerz. Chyba tak.

Pośrednik opowiadał o zagadkowym Jankesie polskiego pochodzenia, który kiedyś pojawił się w tym hotelu i werbował nasze dziewczyny do burdeli Ameryki i Azji. Działał pod szyldem agencji artystycznej.

— Znam takie zagubione Słowianki w Paryżu — powiedział Dwidzia. — Żałosne zdziury.

— Niektóre wybić się potrafią — rzekł Pośrednik.

Karol, erotyczny filozof, tak powiada do uczniów:

— Kobieta to materac dla mężczyzny, wspaniały sposób na samopoczucie, daje spokój, siłę, radość, tylko żadnej miłości, wystrzegać się tej złudy jak ognia, z tego nieuchronnie koszmara, niewola, ohyda, kobieta to drapieżna bestia, pożreć chce samca, trzeba ją ujarzmić, pojąć i koniec, przecież kobieta zabiera mężczyźnie dwie najważniejsze rzeczy; spermę i pieniądze. Bo co więcej zostaje?

Odezwał się Kiciuś, głos miał monotony, znudzony:

— Posiadałem kiedyś damę, modelka z Mody Polskiej, seans erotyczny bez specjalnych oporów, wszystko gładko, łatwo, lubieżna kocica, leżymy i ona nagle: słuchaj, dlaczego twój wóz jest koloru granatowego, czerwony znacznie ładniejszy; tyle miała do powiedzenia.

— Baba w interesie to dopiero nieszczyćcie — podsumował Pośrednik i pociągnął łyce swojego rubinowego trunku.

Kiciuś. Aktywny w tej swojej specjalności. Czyli w dymaczu. Widziałem go w akcji. Jechał wozem luksusowym, granatowym do hotelu-motelu George. Dziewczyna obok niego. Kiciuś niedbale silną ręką trzymał kierownicę, drugą obejmował dziewczynę. Filmowy obrazek.

Lampa w tym hotelowym hallu ozdobiona napisem „An Elegant Way of Relaxing”. Taki napis na abażurze. Niezłe to. Kiciuś umie korzystać.

Erotyka, samice! To jeszcze szanse. Ekspedientka Ewa z Domów Centrum. Poznałem ją niedawno. Banalna, nudna, samo tylko ciało, nogi kształtne o pełnych, miękkich kolanach, biodra ciasno opięte spódnicą. Tyle to obiecywało. Samo ciało. Żadnego innego związku, śladu uczucia, nic. Pełny relaks. Patrzyłem na nią i rozgrzewałem się powoli. Głodna chęć wysy-

chała jednak szybko. Przytłoczona przewidywaniem, powtarzalnością wszystkiego. Nieuchronnie zamieniła się w obojętność. I tylko w bezsenne godziny widziałem tę ekspedientkę Ewę obok siebie w nagości wyuzdanej i świetnej. Karol. Spec od tego relaksu w rozmaitych wariantach. Nieduży, ubrany cudacznie. Głos z miłym, miękkim zaśpiewem. Lwowiak. Może do niego pójść? Do terminu. Zagłuszyć nudę, pustkę, strach.

— Spienić trzeba twoją pisarską, zleniwiałą krew — tak powiedział Karol, ten akwizytor wędrowny, bez domu, w wynajętych mieszkaniach przez tyle lat, z niewielkim dobytkiem, stroje i kosmetyki to jego bogactwo, ciągle samotny, mimo tych setek kobiecych ciał. — Cymesik... — wydał kiedyś pulchne wargi smakosza opowiadając o pewnej gimnazjalistce — interesuje się techniką gry miłosnej, obliczaliśmy ile tysięcy sztosów może mieć kobieta w swoim czynnym życiu, miły wieczór...

Zdobyczą dzieli się chętnie z innymi i ostatnio w jego kręgu pojawił się ten starszy człowiek, lotnik RAF-u z bitwy o Wielką Brytanię, historyczne wspomnienia, dawnego typu szarman i uwodziciel. Z początku tylko patrzył na ten nieustający korowód dziewczyn.

— Oto przerób — błaznował Karol. — Niech się uczą rytmi produkcyjnej, technokraci...

Wreszcie lotnik począł brać czynny udział w tych zabawach. Chwilami chwytala go rozterka.

— Co ja robię, panie Karolu! — mówił oszołomiony nadmiarem swobody.

— Ona w wieku pańskiej córki, wnuczki raczej — niebieskie, zmrużone oczy Karola spoglądały na starego lotnika wyrozumiale.

Zamknięty świat. Szczelnie wyłożony korkiem.

— Polityka, ustrój, sprawiedliwość? — mówi Karol ze szczerym zdziwieniem. — Tracić nerwy w przegranej sprawie? — A raz tak: — ja jestem ze Lwowa. Lwów jeszcze pamiętam. Piękne miasto, śni mi się czasem. I co? Zabrali. Ja jestem przeciwn. Ale czy mój głos się liczy?

Pośrednik ukłonił się komuś. Poderwał się z fotela i pobiegł. Wrócił po chwili. Jeszcze pomachał ręką tamtemu. Tamten też.

— Sekretarz partyjny na dzielnicy — poinformował Pośrednik.

— Dosyć przystojny — uznała Dzidzia.

— Jak na sekretarza — dodał Kiciuś.

— Jego kuzyn ogrodnictwo zaczyna — mówił Pośrednik. — Interesy... Solidni ludzie.

— Korzystne znajomości — zauważył Kiciuś.

— Pewnie — przytaknął Pośrednik — umie się odwzięczyć.

Wyciągnął z kieszeni gazetę. Coś w niej podkreślił. Codziennie stronę ogłoszeń studiuje. Podkreśla, wykreśla, opatruje wykrzyknikami i znakami zapytania. Drobnym maczek ogłoszeń. Lektura pośrednika. Sięgnąłem po gazetę. Zacząłem sprawdzać jego tropy. Bony kupię. Supremę, trak. Wtryskarkę sprzedam. Płyty pilśniowe, końcówki do długopisów kupię. Żnów bony. Kozuchy afgańskie, meble Chippendale sprzedam. Dom do rozbioru też. Poszukuję współnika z gotówką. Mam półciężarówkę i oczekuję propozycji.

Gęsta, nabita informacjami kolumna. Wirowały i zacierały się litery. Trzeba już okulary do czytania.

A Dzidzia opowiadała o francuskich pijakach.

— Wbrew pozorom, moi mili, nie tylko Wschód monopol na alkoholowy prymat posiada, tamci winem się poją przeważnie, nie ryczą też tak jak nasi, dusza im nie skowycze, struga gadulstwa, która z nich płynie, ani żałosna ani wściekła, raczej zaloty, śmiech, dowcip, to oni lubią, a piją przecie uparcie, niektórzy nawet przy antybiotykach nie przestają, w tej mojej rumiarni ciągle wysiaduje taki brzuchaty opój, starszy jegoś, prostak, do niedawna wypijał dziennie 40 Ricardów, wstrętne mieszanka, anyżek i woda, smród okropny, zdrowie mu wysiadło, musiał iść do lekarza, lekarz zakazał mu pić, absolutnie, ani myśli przestać, zmniejszył jedynie dzienną normę i przeklina klimatyzację, zecer zachorował, odkąd u niego w drukarni wprowadzili klimatyzację, w niej widzi przyczynę swego nieszczęścia... — ze swadą ciągnęła Dzidzia ten pouczający monolog.

— Powinien przenieść się do innej drukarni — roześmiał się Kiciuś. — Bez klimatyzacji.

Odłożyłem gazetę. Dżungla ogłoszeń. Połapać się w tym. Zarobić na tym. Kolejno zatrzaskiwały się furtki. Nie dla mnie te rajske ogrody. Dziwki, których nie chcę. Sukces, który brzydzi. Woda, której nie mogę.

— Sztuka! — westchnąłem, zmęczony tym jałowym pojedyńkiem. — Też kurewska sprawa!

Przyjaciele spojrzeli na mnie z zaciekawieniem.

— Wszyscy tak wzniosłe o tym gędzą, a większość tych

głędziarzy... — dokończyłem już mniej pewnie tę kwestię do nikogo — to kapłony.

— Kapłony? — zmarszczył czoło Pośrednik.

— Najżałośniejszy kastrat — wyjaśnił Kiciuś. — Ptasi...

— Francuscy artyści to dopiero barachło — podsumowała Dzidzia. — Tylko węszą za modą i szmal drenują — nogę na nogę narzuciła gwałtownie, po kawalersku wprost. Spadła jej z kolan torebka. Kiciuś najszybszy z dżentelmenów. — Kapłony — dodała Dzidzia — przysmak mojego ojca.

— Kuchnia u nas też bardzo podupadła — stwierdził Pośrednik. — W knajpach unikam zakąsek. Tak się raz strułem...

— Wytrzebili gastronomię — powiedział Kiciuś.

— Skurwysyny — przekląłem ze smakiem.

— Mam pewną propozycję — Pośrednik spojrzał na zegarek. — Zapraszam do klubu oficerskiego. Ugoszczę was w swoich armijnych komyszach.

Dzidzia od razu gotowa. Bankiet jej nieustającym żywiołem.

— Tylko do klubu! — przytaknąłem ochotczo.

Poderwaliśmy się energicznie z foteli. Barman o wyglądzie dyplomaty obdarzył nas ciepłym, ojcowskim spojrzeniem. W szatni barwna grupa górali. Mężczyźni w kapeluszach, guniach i cyfrowanych portkach. Kobiety w kolorowych chustach, wyszywanych kożuszkach i sutych spódnicach. Otaczali grubasa z cygarem i równie grubą kobietę w kapeluszu ozdobionym sztucznymi kwiatami. Pewno też górale, tylko zza oceanu. Szatniarz z wąsikiem giął się w lansadach. Podtykał im papierosy na tacy.

— Polecam Dunhille.

Szatniarz z wąsikiem. Zapadlisko pamięci. Męczy ta twarz znajoma. Dawne sygnały nie przywołują. Kulawy, którego spotkałem wczoraj. Patrzyliśmy na siebie. Dopiero kiedy zniknął w tłumie pod Domem Towarowym, dotarłem do źródła. Bardzo dawny ranek nad Wisłą. Wódka i pieczeń z królika. Piaskarze. Kulawy. Jeden z wielu wspaniałych ranków młodości.

Do klubu podwiezie nas Kiciuś. Nie pił i ofiarował się z tą przysługą.

Na parkingu zabiegła nam drogę Cyganicha. Upatrzyła sobie Dzidię. Chwyciła ją za rękaw płaszcza. Wlepiła w nią pałające oczy starej wiedźmy.

— Powrócę ci za darmo! — wołała. — Tylko połóż pieniądze. Będziesz strasznie długo żyła... Postuchaj...

Dzidzia wetknęła w chciwą, wyschniętą dłoń banknot.

— Odczep się! A co ja bym tak długo robiła!

W wozie, siedząc obok Dzidzi, pogłaskałem ją po dłoni. Przyjacielsko, dziękczynnie. Przecież dzięki niej ten ruch, zabawa, szum. Tak gładząc natrafiłem na pierścionek. Efektownie zdobił palec. Na przegubie dłoni bransoleta, srebrna, nabijana zielonymi kamieniami, z Birmy jak powiedziała, a pierścionek na środkowym palcu. Delikatna, wschodnia robota. Plecionka z czarnego włosia, przetykana złotymi blaszkami.

— Daj mi — zapragnąłem łączywie tego pierścionka. Jak dziecko rwałem się do błyskotki. Dała chętnie. Pasował na ostatni palec. Kobięcy raczej. Ale to mi wcale nie przeszkadzało.

— Ciekawa skłonność — zauważył Kiciuś, który obserwował moje manewry w lusterku.

Dojechalśmy do kasyna. Kiciuś pożegnał się z nami. Twardy dziś. Nie uległ pokusie. Pomachał nam jeszcze ręką.

Zostaliśmy na podjeździe. Przed nami stary pałac z kolumnami. Wyglądał jak ostatni Mohikanin wśród nowej, standardowej architektury. Bloki wszędzie. Setki oświeblonych okien. Ule. Wszystkie jednakowe. A ten pałac wśród nich reliktem dawno umarłej przeszłości. Finezyjne rzeźbienia na frontonie. Moczarze w kamieniu podpierają sklepienia nad wejściem.

Pośrednik ujął Dzidzię pod rękę i ruszył lekkim, posuwistym krokiem. Niby na bal. Tak to wyglądało.

Znaleźliśmy się w starym, książęcym pałacu o długiej historii. Zaczął się czad. Już od początku. Wyłaził z tych murów i gęstniał. Tutaj być może obradowali magnaci i ich totum-facka, szaraczkowa brać w czasach Sejmu Wielkiego, opowiadali się za lub przeciw Majowej Konstytucji, podejmowali Naczelnika Kościuszkę lub Szczęsnego Potockiego, wodza Targowicy, dygotali ze strachu przed rozjuszoną gawiedzią warszawską, która prowadzona przez księdza Konopkę i Mejera wystawiała szubienice i krzycząc złowrogo otoczyła pałac, a pierwsze kamienie rozbijały szyby okienne na parterze; w następnych latach bywali tu napoleońscy bohaterowie, generałowie legii, pułkownicy szwoleżerów, odbywały się tu huczne bale, gdzie piękne polskie damy, dygając i szeleszcząc krynolinami, składały hołd cesarzowi Francuzów, a później Aleksandrowi I; a jeszcze później dochodziły tutaj odgłosy bitwy pod Olszynką Grochowską; po latach, w gorących dniach branki młodych,

panowie z Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego słuchali w skupieniu Andrzeja Zamoyskiego...

Schodami wyłożonymi dywanem wkroczyliśmy do przedsionka o marmurowych ścianach z jarzącym się sopłami światła żyrandolem. I znów szliśmy po schodach. Aż znaleźliśmy się w wielkiej sali, gdzie przy stołach zastawionych jadłem i trunkami biesiadowali oficerowie różnych rang i cywile z odznaczeniami w klapach.

Zajęliśmy niewielki stolik pod filarem. Zaraz znalazł się ugrzeczniony kelner. Stół wkrótce mieliśmy zastawiony.

Rozglądałem się dokoła. Po tych oficerskich twarzach. Były przeważnie tłuste, szerokie jak bochny i poczerwieniałe, osadzone na mocnych, bryłowatych korpusach, rozsadzających mundury. Wszystkie te twarze wydały mi się podobne. Nie widziałem żadnych różnic, właściwie tworzyły jedną, gigantyczną, z cząstek złożoną gębę. Wtedy przypomniałem sobie album powstańczych fotografii, który niegdyś przeglądałem. Stary, ponieważ wierzący się gdzieś na dnie szuflady album i te twarze. Szezupełnie, wyraziste twarze młodzieńców z tamtych lat. I każda z nich była inna, różniła się w zdecydowany sposób od pozostałych. Choć równocześnie wszystkie te twarze łączyła gorączka narodowego, desperackiego uniesienia. Albumowe wizerunki wyraziście ożywały w moich oczach. I tak oto twarze stąd, z kasyna, zdezerzać się zaczęły z tamtymi, z martwych kart albumu.

— Namalować to wszystko — posłyszałem głos Malarza.

— Co?

Powiodł szerokim gestem ręki po sali. Mrużył oczy i patrzył. Czyżby widział tak samo jak ja?

Pograżyłem się w intensywnym patrzeniu. Twarze stąd brzydły z sekundy na sekundę, stawały się wręcz nie do zniesienia. Ogarniały mnie duszne fale nienawiści. Słysy jedna za drugą, gwałtownie jak podczas sztormu. Krwiożercze wprost pragnienie: szarpać, kasać, dusić te cielska nie ludzkie a bydlęce, tych facetów nieruchawych, przysadzistych i brzuchatych, gładzących martwym językiem gazet, zebrzań, telewizji, przetykanym przekleństwami z klozetów, tą gnilną, smrodliwą mową naszych czasów, która dławi i zamula rzeczywiste myśli i uczucia. To człapanie zębami, ten ruch warg odsłaniający otwór gębowy, dźwięki wydobywające się stamtąd. Chwyciła mnie taka chęć przemożna: odkryć ich, obnażyć znienacka w ich sypialniach, piernatach i puchach, spoconych i przetaczających się ze swoimi równie odpychającymi babami, pograżonych w zaśmierzdłym śnie, żarłocznym i bydlęcym, tak dopaść ich tam

w pieleszach intymnych i siec, bykowcem po białych, zniekształconych ciałach, siec bez litości, do utraty tehu. Bo wszystkie twarze stąd stały się dla mnie jedną wielką gębą Dzwona Naszych Czasów, sprośnego i cwanego knura, który z tą przebiegłą miną, pokrzywiony w zmiennych grymasach, to niewolnika, to władcy, uległy i nienasycony, siorbie ohydnie z koryta, gotowy za każdą cenę osiągnąć swój parszywy, egoistyczny cel, za fałszywe szelągi mając bezinteresowność, szlachetność i prawdę. Zgrzytnąłem zębami. Ten nieprzyjemny, mimowolny dźwięk pozwolił mi ocknąć się z tej fanaberii wyobraźni.

Wynurzyłem się na powierzchnię z krwiożerczej bajki jak ze świata braci Grimm.

Dzidzia starannie zdzierała nożykiem skórę z wędzonego węgorka. Pośrednik nalewał wódkę do kieliszków. Gościnny, dobrotniwie uśmiechnięty gospodarz. Łapczywie napiłem się wódki.

Gdzie oglądałem ten album powstańczych zdjęć? Nie wiem. Wódka doskonałym paliwem. Potęgowała temperaturę. Pasja rosla. Wyobraziłem sobie też, że jestem inny, czysty, wspaniały. Ze odróżniam się od tego chłamu. Czułem swoją przynależność do albumowej prehistorii. I swych przyjaciół traktować zacząłem wrogo. Ostрым lancetem dokonywałem wiwisekcji. Ich twarze równie chore, robaczywe jak te wszystkie w biesiadnej sali starego pałacu Lubomirskich. Ten suchy, ostry profil Pośrednika, ile faryzejskiej obłudny w jego oczach, zmienna gra zmarszczek, gotowe na zawołanie uśmiechy, puste, wydrążone wnętrza, sypie się próchno. Zwierzęca twarz Wiesia Milicjanta, nie ma w niej nic z naszego gatunku, *homo sapiens* zanikł tu zupełnie. Zbyt syty i zadowolony z siebie Kiciuś. Malarz. Kim on jest? Artystą, wyrobnikiem, robakiem poszukującym tłustych kasek? Dzidzia — niby mechaniczna, nakręcona lalka.

Oszukańcza pycha sędziego ustąpiła szybko. Siebie również zobaczyłem we właściwym wymiarze. Moja twarz taka sama. Wytarta, znużona, szara. Dusza też. Czy coś w niej jeszcze migo-cze? Może tylko błędny, oszukańczy ognek na bagnie?

Magma wszystko, chłam. My też należymy do tej samej rodziny z kasyna, do tych oficerów i cywilów, ozdobionych orderami, biesiadujących w ogromnej sali z kolumnami, z pięknym kasetonem i rozetą na suficie, w tym pałacu, co niegdyś magnatów był siedzibą, tych wielmożów, którzy patrzą na nas z portretów, panów butnych i nadętych, pysznych i władczych. Czy oni byli inni od nas? Może równie zgnili, prześmierdli, i ta zgnilizna przez pokolenia przenoszona, potęgująca się z biegiem

czasu, po nich jest spuścizna? Wszyscy więc byliśmy jedną, gnijącą rodziną, w której tylko z rzadka zdarzały się wspaniałe pokolenia tych naj-najlepszych, co szli na zagładę. Zawisza, Ponury, Śmiały, Bystry, Hetman, Zagończyk, oto ich wojenne, szumne pseudonimy, oraz ci ostatni, którzy podpisują nekrologi poświęcone ich pamięci, towarzysze broni ze zgrupowania Sosna, Gozdawa, Żmija, Madagaskar, Gaskuch, ci pozostali przy życiu druhowie, jacy oni teraz?, czy są wśród tego tłumu biesiadującego w kasynie?, tacy sami jak wszyscy?, tą drogą do dołu osuwający się nieuchronnie?, dlaczego tak jest, co zostało z tamtego pokolenia czystych, wspaniałych, którzy szli do walki bez cienia wątpliwości i wyrachowania, rzucając swe życie na szalę narodowej wagi? nie w nich wtedy z prywaty, małości, i tę ofiarę w postaci swego życia składali jak pierwsi chrześcijanie.

W takim idealnym, przejrzystym świetle widziałem tamtych sprzed trzydziestu lat, jawili mi się piękni fizyczną i duchową urodą, podnosiłem ich jak hostię na ołtarzu swych marzeń, ogarnęła mnie fala patriotycznego uniesienia, i łączność z tym czymś niewymiernym, niejasnym poczułem, naród, ciągłość narodu, najlepsi z tego narodu...

— Dlaczego tak jest? — zapytałem chwytając Dzidzię za rękę.

Popatrzyła na mnie zdziwiona.

— *Mon cher*, gówno zawsze wypływa na wierzch — odpowiedziała z niezwykłą intuicją.

To pozwoliło mi wrócić do rzeczywistości. Poczułem się znużony tym śmiesznym wizjonerstwem. Czepiam się bez sensu ludzi może niezłych, pocziwych, których wzięła w swój magiel historia, a teraz ich miażdży i zniekształca, i żyją tak jak im czas na to pozwala, ulegle i spokojnie, przeżywając z zadziwiającą wytrwałością kolejne meandry losów tego kraju, po prostu trwając, płodząc dzieci, smucąc się i ciesząc. Pośrednik tak szczerze kiedyś o sobie opowiadał, o swojej wojennej drodze, jak to prosto z łagru dostał się do dywizji kościuszkowskiej. Młody chłopak, harcerz z Wołynia; kiedy tam przyszli Ruscy, dalej w tym harcerstwie, dalej Polską oni byli, kościół, wyspa, denuncjator jakiś oczywiście, aresztowali, NKWD, piwnice więzienia w Mińsku, „ty burżujska swołocz!” tłukli, potem pociągami bydlęcym parę tygodni, Sybir, tam dwa lata, tajga, zimnica, choroby, nagle wywołali podczas apelu na łagiernym placu, do polskiego wojska został powołany, aż do Berlina szedł, a potem z reakcyjnym podziemiem — tak powiada — kazali, musiałem, a w tym podziemiu zdarzali się znajomi z Wołynia,

dawni druhowie, też do nich strzelałem, wojsko, rozkaz, taki czas; mówił wtedy powoli, bez wzburzenia, przepaliła się w nim przez tyle lat tamta bratobójcza sprawa; tak się szło lasami, górami, a oni kropili, zawzięci, my też tak samo, w każdej chałupie mógł być wróg, z każdego okna — ten jego głos dźwięczny, z miłym zaśpiewem słyszę znów — jedni za Londynem, drudzy za Moskwą, pomieszane wsio, pojebane, ciągle tra-ta-ta, seriami parzyli zewsząd...

— Bankietujemy! — wzniosłem kieliszek.

— Podobają ci się tutaj? — zapytał Pośrednik.

Przytaknęliśmy skwapliwie. Bardzo nam się podobało.

— I wódka tania — rzekł Pośrednik — narzut jak w trzeciej kategorii.

Należało pić i bawić się jak Pan Bóg przykazał. Odpoczynek po pracy. Tak to można nazwać. Dużo pracowałem ostatnio. Należy mi się to wytchnienie. Powinienem być zadowolony. Wiedzie mi się jakoś. Piszę. Czytają. A może w tym pisaniu też tak jak w życiu zmordowany, okaleczony niewolnik?

Miałem spotkanie ze studentami i czytałem im swoje opowiadanie *Sprawozdanie z wyjazdu w teren*. Ci młodzi mówili potem. O moim pisaniu. Ostre, drapieżne w obnażaniu rzeczywistości. Tak mówili. Ale bohaterowie w rezultacie przegrywają. Bo przecież widząc całe to sparszywienie i zakłamanie struktury, godzą się jednak i tak żyją w tej mazi cuchnącej. Niektórzy jak ryby w wodzie. Tyle że na boku, nie angażując się czynnie w świństwo. Dlatego właśnie w jakiś sposób z tym pogodzeni. Tak ocenili.

— Jak to? — zachnąłem się wtedy.

Mój bohater ze *Sprawozdania* patrzy w okno. Z zewnątrz dochodzi jakiś hałas. Młodzi rozbijają o słup butelkę. Stoją gromadką na placyku przed domem kultury i piją wino. Na stojaka. Opróżnione butelki rozbijają o słup. „Tak wystają godzinami i czekają, cholera wie na co” — mówi kierownik klubu, pan Miccio. „Wszyscy czekamy” — dodaje mój bohater, prelegent TWP, który przyjechał z odczytem do tego miasteczka. I w tym jego powiedzeniu jeszcze nadzieja. Każda szansa zmiany, każdy błysk jasności będzie dla oczekujących sygnałem. Pójdą, przyłączą się. Taki w tym sens. Więc mój bohater, choć znużony i przegrany, dużo widział, doświadczył, cmentarz nadziei i pragnień, tych jednostkowych i ogólnych, mimo wszystko jednak czeka, wierzy jeszcze. Nie tylko sam żużel, popiół, jeszcze trochę ognia w nim. Tak myślałem o swoim bohaterze. Tak mówiłem studentom.

Pamiętam znajomego, Bogdana O., sceptyka i racjonalistę. Patrzył z dystansu. Żartował szyderczo i bronił się beznamiętną analizą. Raz po dłuższym niewidzeniu poskarżyłem mu się. Miałem drobne, domowe kłopoty. Szukałem akurat jakiegoś urządzenia hydraulicznego, potrzebny do łazienki drobiazg, głupstwo, ale w żaden sposób nie mogłem go kupić.

— Nic pan już nie znajdziesz! — ożywił się naraz Bogdan O. Zgrzytnął zębami, twarz mu się zmieniła, oko pociemniało. — Już nie ma żadnych szans! — wybuchnął. Głos zakipiał wzburzeniem: — Żadnych! To przecież banda skurwysynów!

Wzięło go. Widać było wyraźnie. Jest w potrzasku. Już niewolnik. Złamali mu dumny, prosty grzbiet. Tak go zobaczyłem w tej odsłonie.

Patrzyłem wtedy na młodych uczestników spotkania. Podzielili się. Jedni godzili się z moją interpretacją. Inni dawali temu miotaniu się pesymistyczną diagnozę.

— Życie na boku jest przegrane! — krzyknął zapaleczywie młody w okularach.

Pewno roili mu się czyny niebywałe, walka, zwycięstwo. To dobrze. Tak należy zaczynać. Tylko co z tego zostaje?

Powiodłem nieprzychylnym wzrokiem po bankietującej sali.

— Prawda! Odwaga! Uczciwość! Pisać o tym. Dla kogo to wszystko? Dla tych capów, co chłepczą, żrą i ryją?!

— No wiesz! — oburzył się Pośrednik. — Tu też trafiają się porządni ludzie.

Malarz napełnił kieliszki. Dostał już przyspieszenia.

— Chlustaj moralisto! — ponaglił do picia.

Pośrednik tutaj szanowany. Podszedł oficer na kaczkowatych nogach.

— Jak zdrowko? — zapytał. Uścisnęli sobie prawice. — Czy wszystko w porządku?

Pośrednik pochwalił wszystko.

Komendant klubu. Ruszył w dalszy obchód. Krążył między stolikami. Zatrzymywał się przy niektórych. Dostawał kielicha tu i ówdzie.

— Dobre chłopisko — powiedział Pośrednik i uśmiechnął się ujmująco.

— Chuj na kaczych nogach! — zachichotał Malarz.

Dzisiaj wybuchnęła śmiechem. Taką kanonadą donośną. Pewne ożywienie dokoła. Ten jej śmiech... Ona i Malarz już podchmieleni. Przyjemnie. Na wesoło.

Ta woda właściwie jak ołów. Cięży, jeszcze bardziej gnie-

cie. Mało już frajdy. A tak na to liczyłem! Dawniej same skrzydła i lekkość. Jakie to już odległe czasy! Jeszcze nie byłem spędany. Jeszcze miałem iniejętę.

Pamiętam, wypiliśmy raz cysternę różnych trunków, likier, piwo, wino, wódka, i nie, żadnej ociężałości, ponuractwa, kipieli energii we łbie, wyprowadziła mnie z knajpy dziewczyna, był też przyjaciel, dzień letni, niedziela, samo południe, wyrwałem się swoim opiekunom i ręczo jak jelen pogałem pod Dom Partii, tam na mur szczyć zacząłem, zza węglów tego gmachu wybiegł tajniak i mundurowy, milicjant z pałką wzniesioną do góry, a tajniak ręce mi fachowo wykręcił, miny mieli groźne, od razu zalałem ich potokiem słów, równie obfitym jak strumień moczu z rozporka, taka inwencja alkoholem inspirowana, coś o chorym pęcherzu, zgarbiony naraz, trzymający się za kroczę, wyprowadziłem ich na manowce, nie wiedzieli jak zareagować, iść precz kazali, wolno, dostojnym krokiem powróciłem do dziewczyny i przyjaciela, którzy już widzieli mnie w areszcie, 48 godzin co najmniej, może jeszcze gorzej, niby aktor i zarazem reżyser przedfilowałem wzdłuż Białego Domu, była już gawiedź, widzowie mojego spektaklu.

Pośrednik musiał już iść na dół. Do sali konferencyjnej. Na to kombatanckie zebranie.

— Godzinkę najwyżej — zamówił następną butelkę. Z góry zapłacił. I pobiegł przyczesując sobie śmiesznym ruchem dłoni włosy na skroniach i poprawiając order w kłapie.

— Coś trzeba zrobić! — powiedziałem.

Dzisiaj przytaknęła entuzjastycznie. Wspaniała! Godzi się na wszystko. Byle coś się działo. Nie ocenia niczego. Wakacje paryżanki.

Myślałem intensywnie. Dawną energię przywoływałem na gwałt. Chciałem draki, ale nie byle jakiej. Coś w konwencji militarnego otoczenia trzeba wymyślić.

Namówiłem Malarza do *Pierwszej Brygady*. Zgodził się. Zaspiewaliśmy ... Nasze głosy jednak słabiutkie, słów też nie pamiętaliśmy, pierwszą zwrotkę ledwie w całości. Nikt nie zwrócił na ten śpiew uwagi. Tylko ci przy sąsiednim stoliku odwrócili głowy. Ale obojętnie. Zresztą była konkurencja. W pobliżu też śpiewali. Coś z dawnego repertuaru. I lepiej. Znali słowa do końca.

— „Polesia czar to dzikie knieje, moczary, Polesia czar to wichrów jęk, gdy w ciemną noc z bagien powstają opary...” — niosło się tęsknie, melancholijnie po tej wielkiej sali z kolumnami.

Popiłem wody. Łapczywie. Rozglądałem się wokół. Aż dwóch takich sobie upatrzyłem.

Jeden to był major, średni wiek, w lotniczym mundurze. Drugi — kombatancki cywil, suchy i pomarszczony. Pasowali mi jakoś.

— Zaczynam — szepnąłem do Dzidzi.

Grzecznie zaprosiłem ich do stolika.

— Po co te typy?! — zaprotestował Malarz.

— Moje typy na dziś.

Oni zaś, zdziwieni nieco, podeszli do naszego stolika.

— Siadajcie obywatele — podsunąłem im krzesła. Ociągali się. Przedstawiłem się, stukając po wojskowemu obcasami. — Taki dzień... — powiedziałem podniosłym głosem — rocznica bitwy pod Tobrukiem. Człowiek Ignie do człowieka. Wspomnienia mają to do siebie, taką właściwość.

Cywil popatrzył na mnie badawczo.

— Za młodzi jesteście.

— Byłem synem pułku.

— Mały dobosz — wtrącił Malarz.

Nie wyglądali na przekonanych. Szczególnie cywil.

— O co wam chodzi? — wycedził mrużąc oczy w kose szpary.

— Żarty — roześmiałem się.

— Jeszcze tylko żarty trzymają nas przy życiu — dodał Malarz i wybuchnął pijackim śmiechem, a oczy miał szklane, nieobecne.

— Za naszą znajomość — nalałem do kieliszków.

— Co tak po polsku się zaczyna — znów odezwał się Malarz, źle wypił i zakrztusił się.

— Otóż to! — podchwyciłem. — Wspólna nas łączy sprawa, krew oddawaliście, obywatele, za to, co teraz mamy, czyli ofiara największa...

— Tak było — przytaknął cywil z taką powagą i brzęknęły mu medaliki w klapie. — Walczyłem... Bo on — palcem szturchnął majora w pierś — już z czasów pokoju.

— Tak jest — potwierdził energicznie major. — Ominęła mnie wojna. Młode wojsko człowiek uczy.

— Czyli prawdziwego prochu nie wachał — złośliwie raczej zauważył cywil.

— Jak w sztafecie, jeden drugiemu pałeczkę przekazuje — ciągnąłem uroczyście. — I choć różne bywały tutejsze losy, ja dla przykładu na Zachodzie wiele lat czyli w kapitalistycznym świecie...

— Na Zachodzie? — powtórzył cywil.

— Dla ojczyzny tam pracowałem, takie miałem zadanie. Major skinął głową.

— Rozumiem.

Cywil nadal patrzył na mnie nieufnie.

Ja natomiast — odezwał się Malarz — jestem całkowicie apolityczny. Ale dwa moje płótna wiszą w Komitecie Centralnym czyli... — czknął i nie dokończył. Wódka zmęczyła go już.

— Wy, obywatelu — połaskotałem próżność cywila — musicie mieć niezły staż wojenny.

— Nie zaprzeczę — gładko przełknął pochlebstwo. — Partyzantka, lasy, długi, bojowy szlak... Skąd wiecie? — był zaskoczony.

Uśmiechnąłem się powściągliwie.

— Czyń, czyń! — zawołała Dzidzia.

Przepiła do tych dwóch. Uśmiechnęła się zalotnie. Major topniał jak masło pod tym uśmiechem. Chrząknął, obciągnął pas.

A ja, taki układny, miły i troskliwy dla swoich gości, byłem jednocześnie wściekle zażarty, ten czad nie opuszczał wcale, buzowało we mnie mocnym ogniem, ten najazd chamów na wszystko, chwilami czułem się naprawdę jak dziwoląg ze starego, dawno umarłego świata, te twarze dokoła, świecące, szerokie o chytrych oczach i niskich, fałdzistych czółkach, ten gwar rozmów, co zalewał jak rzeka o nurcie nierwącym, a jednak dosyć ostrym, ci dwaj wyłowieni z tłumu przy naszym stoliku, ten bełkot, duszno, brak powietrza, kojarzyło mi się to wszystko z nijakością byle jaką, co zalała powodzią cały kraj i nie ma żadnej przeciw niej tamy, ta nijakość, co jak obręcz dusi wszelkie prawdziwe wartości, talenty, ta gminna przeciętność, która niszczy i trzebi śmiałych, niezależnych, uczciwych, zarzucając lawiną gróźb i obelg każdy nieśmiały głos podnoszący potrzebę bezinteresownych racji czy ideałów, bo jest ona na tyle przebiegła, żeby widzieć w tym groźne dla siebie niebezpieczeństwo, te puste słowa bez pokrycia, to samochwalstwo bezbrzeżne, czy ktoś jeszcze wierzy w cokolwiek?, tak tkwiłem w tej magmie bydlęcej bez żadnej wiary, idei i pasji, tak bez reszty przepojonej tylko żarłoczną potrzebą władzy, posiadania, kariery, sytości, tym wyłącznie pochłoniętej, za każdą cenę, poddaństwa i kłamstwa, obłudy i bezmyślności, zdrady i okrucieństwa, więc tak nurzałem się masochistycznie w tym błocie, grzebałem w nim zawzięcie patykiem i naprawdę miałem chwilami takie przekonanie, że jedynym jestem arystokratą du-

cha, archaniołem z mieczem gorejącym, co wypalać zacznie zarazę, a przecież z rdzenia i istoty swych genów, to jest najśmieszniejsze, plebejski jestem tak bardzo, w tę tutejszość korzeniami głęboko wrośnięty, z dziada pradziada tu osadzony, nigdy żadne przywileje i łaski nie pieściły moich przodków, pokoleniami jako chłopci harowali na mazowieckiej, lichej ziemi, mój ojciec cudze dzieci uczył, matka też, przeszło pół wieku trwało ich czynne, nauczycielskie życie, z nich jestem, te układanki z liter, wyrazów moją harową, w taki chłopski, pańszczyźniany sposób bez zbyt wielkiego polotu i fantazji latami co rano do stołu zasiadam; przez to jeszcze bardziej obcy byłem tej chamskiej nawałnicy, czułem jak duszą i depczą to wszystko, co dla mnie najdroższe, najważniejsze, te racice w gnoju unurzane już połamały mi grzbiet, raz po raz zalewały mnie gorące fale niewiści, widziałem w naiwnych marzeniach tych chamów jak znów spadają, tak na łeb na szyję lecą w dół, znów pokorni, czapkujący, chłam, próchno, nicość.

I jedynym lekarstwem na tę niewygodę była zgrywa, śmiech, pogarda, ona pozwalała chwilami czuć swoją przewagę.

— Czy możecie, drodzy towarzysze, położyć dłonie na stole — powiedziałem nagle zimnym, przenikliwym głosem.

Popatrzyli na mnie zaskoczeni.

— On wspaniale wróży — pośpieszyła z pomocą Dzidzia — linie życia, śmierci, miłości, sukcesów...

— No, szybciej proszę! — zawołałem niecierpliwie.

Posłusznie położyli dłonie. Obok umieściłem swoją. Chwilę milczałem. Popatrzyłem intensywnie. Co prawda cywil palec miał cienkie, szponiaste, nie pasowały do mojego uogólnienia, ale uznałem to za nieważne.

— Widzicie — zacząłem — rzut oka wystarczy, różnica tu wyraźna, wyrasta jak przepaść, wasze łapy ciężkie, toporne, z kamienia łupanego zgoła, wybaczcie to porównanie, ale nic w nich z delikatności, wrażliwości, w ogóle niewiele czucia, niestety, każdy kruchy, delikatny przedmiot zginie w takim uchwycie, miazga, wandalizm, dewastacja... ta dłoń natomiast — popatrzyłem z błazeńskim upodobaniem na swoją dłoń, niewypracowaną jak mówił przyjaciel z przedmieścia, Sewek Studniarz — sami widzicie, ta dłoń wąska, kształtna, sama czułość, gwarancja właściwego obchodzenia się z pięknem, finezją, do każdej koronkowej roboty ta dłoń idealnie przylega... — orientalny pierścionek, czarne grube włosie z ogona słońia i złote blaszki, efektownie ozdobił ostatni palec —... jedno z drugim tworzą nierozzerwalną całość, tak oto dochodzę do kon-

kluzji — podjąłem ze smakiem — te wasze łapy to symbol czasu, złego czasu, niszczą wszystko, co odwieczne, indywidualne, tolerując jedynie pospolitą nijakość, wandalizm ten z ducha bierze początek, za szybko wyleźliście z czworaków i ogarnęliście salony — wymownym, patetycznym gestem omiotłem ściany tej sali zdobne w portrety magnackich wielmożów, hetmanów, wojewodów i biskupów — czy nie stosowniej byłoby w karczmie na rozstajnych drogach między wsią a dworem?... Tak, moje Mongoły, może i nie ma w tym waszej winy, symbolizujecie niestety... — i taka potrzeba we mnie: podetknąć im dłoń pod głęby i zawołać: całujcie chamy! Z trudem się powstrzymałem. Nie trzeba przeszarżować. — Świnie pożarły pawia! — dodałem tylko.

— Co wy! — wykrztusił cywil. Twarz mu spąsowiła.

— Co on gada? — podniósł głos major.

— *Speech* o ręce — powiedziała Dzidzia. — *Mon ami* — pogłaskała cywila po kostropatym kieliszku — to taki swoisty *esprit*, żadna obelga, słowne igraszki tylko.

Cywil zeszytywniał cały i odsunął się od niej.

— Mongoły — powtórzył major.

Takie miałem przekonanie. Ci ludzie dwulicowi. Cały naród. My wszyscy. Krecie życie. Ten wrzask frazesów, hasła: wzniosłość, sprawiedliwość, socjalizm, same dobrodziejstwa. Taka czapa pokrywa wszystko. Szczelna czapa. I ludzie z tym pogodzeni. Na wierzchu musi być tak. A pod spodem tak. Rуска prawda. Czynownik gniecie szarego człowieka. Szary człowiek czapkuje pokornie. Też ruska prawda. Pogodzony tłum szarych ludzi. Dwa światy. Czynowników i niewolników. I jedynym marzeniem: dźwignąć się z dołu, podskoczyć trochę wyżej, z lepszego koryta ściągnąć kąsek.

— Czyli mongolizacja — podjąłem głośno. — Pewien mądry, nie żyjący już pisarz taką postawił diagnozę: na wschód od Berlina tylko stepy, stepy i Hunowie, Azja.

— E tam! — zachnął się major. Ściszył głos: — My przecież przedmurze chrześcijaństwa, tak mówi historia, teraz też... tego owego...

Cywil sapał.

— Jemu wszystko absolutnie z tym się kojarzy — Dzidzia macierzyńskim ruchem zwichrzyła mi włosy. — Czupurny taki, historyk, specjalista od ludów Środkowej Azji. Dino Buzzati, *Pustynia Tatarów* i tak dalej... Przesadza.

— Oczywiście, że przesadzam — przyznałem. — Bez przesady nie ma pasji.

Dzidzia przepiła do majora.

Major przysunął się do niej i zapytał półszepem:

— Kto to jest?

— Naukowiec — odpowiedziała lakonicznie. — Tęga głowa... Wypił troszeczkę — dodała.

Major przytaknął ze zrozumieniem.

— Za dużo tego czadu. Żeby tak znać miarę — uśmiechnął się szeroko.

Malarz uniósł głowę znad stołu, wzrok miał mętny, szklany.

— Mongoły — zabełkotał. — Racja. Wszystko... — dalej już nieartykułowane dźwięki popłynęły mu z ust. Opadła głowa.

Cywil świdrował mnie uporczywym spojrzeniem.

Umiejętnie udałem mocno podpitego. Zachybotalem się i trąciłem łokciem kieliszek. Rozlała się wódka.

— Wracając do spraw poważnych — odezwałem się bełkotliwym głosem — uczciwie mówię, bardzo was cenię, rodacy, dzięki wam mamy to, co mamy, jednak tu o wiele lżej niż w takiej Bułgarii czy Czechosłowacji.

— Naród nasz nie taki, żeby go za gardło, a on od razu służyć będzie na dwóch łapach — powiedział stanowczo major.

— Mogło być lepiej — ciągnąłem — tyle, że Ruscy nas cisną, musimy tańczyć jak nam zagrają.

— No! — wyrwało się z głębi trzewi temu suchemu cywilowi. Odtajał już, rozłożył ręce i świsnął przez zęby, na przodzie miał złote. — My dla Rusków znaczymy tyle, co brud za paznokciami.

— Ja bym tak nie powiedział — zaprotestował major. — Ostatnio więcej się z nami liczą. Inny układ na świecie.

— Iii tam — skrzywił się cywil. Z wyglądu taki szary żołęd-kowiec.

— I warto było walczyć, tę krew przelewać? — cicho wypowiedziałem te słowa. — Oto jest pytanie.

Cywil zamrugnął powiekami.

— Nie rozumiem.

— Ja też — stwierdziłem.

Major zapatrzył się w głęboki dekolt bluzki Dzidzi. Tam luźno i miękko kolebały się piersi. Spodobał mu się ten widoczek.

— Opowiem wam taki kawał — ocknął się — jedzie Breżniew do Polski i co on widzi?... — urwał spłoszony.

Akurat wrócił Pośrednik. Skończył już swój kombatancki obowiązek. Serdecznie przywitał się z naszymi gośćmi. Zamówiłem następną flaszkę.

— A my tak gadu, gadu — powiedziałem — o życiu, ojczyźnie i widokach na przyszłość.

Pośrednik zerknął na mnie podejrzliwie.

— Chwała Bogu — odezwał się cywil — że tego Stalina już diabli wzięli, żyjemy sobie jako tako, więcej luzu nam dali, znaczy szanse.

— No, niezupełnie... — wypuściłem próbną strzałę. — A te Żydki ile nam narozrabiały? Jeszcze niedawno... Popsuć to, co zbudowaliśmy chcieli, strzała trafiła do celu.

Major lotnictwa zaniósł się hałaśliwym śmiechem.

— Miałem takiego szefa — przytknął dłoń do brody, co symbolizuje wiadome pochodzenie — Icek znaczy, jak on żydłaczyl, uś, giewałt, ale nie do śmiechu z nim, o nie! łobuz, politycznie mocny, ani go ruszyć, aż przyszedł taki czas, podejściowy, wybiła ta godzina i tak go... — wykonał zamaszysty ruch ręką — tak go wtedy upierdoliłem, najmocniej panią przepraszam — ukłonił głowę w stronę Dzidzi — na zebraniu partyjnym wzięliśmy go w obroty, słuchał ze zwieszonym łbem, mały się zrobił, kundel...

— Tu, w naszym kombatanckim gronie — odezwał się cywil — też byli tacy, też zrobiliśmy z nimi porządek.

— Tak było — przytaknął Pośrednik. Z wyraźnym już niepokojem na mnie spoglądał.

Malarz ocknął się. Popatrzył mętnym wzrokiem po sali i naraz zaczął wołać na kogoś.

Zza długiego stołu bankietowego podniósł się oficer marynarki wojennej z kordzikiem na złotych sznurach przy pasie. Odpowiedział entuzjastycznym okrzykiem. Przeciskał się między stolikami.

— Mój klient — oznajmił Malarz. — Komandor.

Tamten dotarł do nas. Długo ścisnął się i całował z Malarzem.

— Twój obraz ciągle wisi — powiedział. — Przychodzą goście i napatrzeć się nie mogą.

— W takim razie kupuj następny — odezwał się Pośrednik.

— Kieszeń nie wydoła — odparł Komandor.

— Jedziemy! — Malarz napał na niego i schwycił za kordzik.

— Gdzie?

Potoczyli się w stronę bufetu.

— Ja ich poznałem — oświadczył Pośrednik. — Teraz cały marwoj nabywa płótna naszego mistrza.

— Jak nie do Zamku dziś będzie eskapada — zauważyłem.

— Żebyś wiedział — przyznał Pośrednik. — Namówi go na pewno.

— A ta jego luba... — zainteresowała się Dzidzia. — Urodziwa?

Nie dostała odpowiedzi. Orkiestra, która niedawno zajęła miejsca na podwyższeniu, zagrała *Czerwone Maki*. Cywil i major poderwali się natychmiast. Przyjęli postawę zasadniczą. My za nimi. Cały tłum biesiadników powstał od stołów.

I tak staliśmy do końca. Potem napiliśmy się wódki.

— I tu i tam walczyli nasi — rzekł major — wszystko się liczy.

— „... zamiast rosy piły polską krew...” — nuciła jeszcze Dzidzia.

— Tak jest! — wyrębał zawziętym głosem suchy cywil. — Wszystko nam psuli, przeszkadzali, w bezpieczeństwie to oni najgorsi byli, potem ten Światło i inni uciekli, we wrogich ośrodkach zaczęli nas sprzedawać, a sami się wybielali.

— Destrukcja syjonistyczna — stwierdził major lotnictwa.

— Cały świat ogarniają te macki — Dzidzia zachichotała.

— Oni komandosów mają niezłych — zauważyłem.

— A my złych?! — zachnął się major. Podniósł głowę znad dłoni Dzidzi. Obcałowywał ją z głośnym cmokiem.

— Niezłych — przyznałem — ale...

Pośrednik kopnął mnie w kostkę. Boleśnie. Spojrzałem na niego ze złością. Twarz miał nieruchomą, pokerową. Oczy majora w głęboki dekolt bluzki Dzidzi zapuściły sondę. Polowały na jej piersi miękko kołyszące się pod bluzką. Pośrednik pośpiesznie napełnił kieliszki.

— Pijmy — zapraszał.

Uniosłem do góry kieliszek.

— Proponuję toast... — zacząłem uroczyście. Uczyniłem pauzę dla większego efektu.

— Wal bracie — ponaglił mnie cywil. — Śmiało!

— Wznoszę toast — głos miałem czysty, donośny — za zdrowie i pomyślność polskiego oficera Menachema Begina!

Był to grom z jasnego nieba. Poszedł po całej sali. Zwróciły się w naszą stronę wszystkie głowy. Skamienienie. I cisza. Moje ofiary: major i cywil osłupieli najśmieszniej, bo ze wzniesionymi do góry kieliszkami. Baranio patrzyli na mnie.

Dlaczego za Begina toast! Obojętny mi ten Begin przecież. Ale ta cholerna jednomyślność we wszystkim obrzydła mi najbardziej. Nie chcę w tym chórze! Dlatego za Begina właśnie.

Powoli wychyliłem swój kieliszek. Cisza i wpatrzeni we mnie ludzie. Dzidzia ukryła twarz w dłoniach, wstrząsał nią śmiech.

Pierwszy ocknął się Pośrednik. Rzucił czujne spojrzenie wokół i zaraz ujął mnie silnie jak szczypcami za ramię.

— Spierdalamy — wycedził przez zęby. — Tylko szybko — pociągnął mnie za sobą.

Opuściliśmy salę. Skamienienie jeszcze trwało. W korytarzu jednak zastąpił nam drogę opasy oficer na kaczkowatych nogach. Bardzo był wzburzony. Komendant Klubu.

— To prowokacja! — zaczął groźnie.

Pośrednik uśmiechnął się do niego promiennie.

— Ależ towarzyszu, zmęczył się po prostu człowiek i pojechało mu się we łbie... — dalej już szeptem mówił tamtemu do ucha.

— Coś wykrzykiwał — powiedział już mniej impetycznie komendant klubu.

— Mało to wykrzykują po pijaku — wzruszył ramionami Pośrednik. Chwycił mnie pod rękę i ruszyliśmy schodami w dół. Bez przeszkód dotarliśmy do szatni. Pośrednik pomógł mi włożyć płaszcz. Rzucił na ladę garść grubego bilonu. Szatniarz z jakimś orderem w klapie skłonił się wdzięcznie i otworzył przed nami drzwi. Wartownik zasalutował z rozpięciem.

Znaleźliśmy się w bezpiecznej ciemności pod pałacem. W samą porę. Drzwi otworzyły się szeroko. Pokazali się oficerowie. Trzech. Smuga jasności na podjeździe.

— Kto to był? Gdzie on jest? — dobiegały ich słowa.

Pośrednik przyciągnął mnie do muru. Przeczekał.

— Komandosi w Warszawie — roześmiał się i szturchnął mnie w bok.

Tyle jeszcze miałem do powiedzenia! Sobie. Innym. Potrzeba wyrzycania wszystkiego. Niekończący się potok słów. Chaos i pośpiech. Już mało czasu. Myśl goniła myśl. I było to niemożliwe do wypowiedzenia. Wypowiedziane, natychmiast stawało się anemiczne, nikłe. Obok. Połamane skrzydła mojej literatury. Przydeptany ptak, co trzepocze po ziemi skrzydłami. Tyle żalu, gniewu, nienawiści. O literaturze wiele. Myślałem też o władzy, co gnoi i depcze literaturę. Widziałem w tym agonię pisanego słowa. Puste słowa rozmnożyły się jak robactwo. Wszystko ziało rozkładem, zatrutą, śmiercią.

— Jestem przegrany — powiedziałem. W tym przegraniu nie chciałem być samotny, więc dodałem: — Wszyscy jesteśmy przegrani.

— Bo ja wiem? — zastanowił się Pośrednik. — Ja jeszcze się nie daję.

— A co z nimi? Z Malarzem, Dzidzią?

— Dadzą sobie radę — odpowiedzieli. — Dzidzia oczaruje z pół kopy pułkowników i będzie królową kasyna.

Szliśmy jezdnią. Po jednej stronie rząd oświetlonych bloków. Po drugiej stronie park. Nocna pustka. Przejechał wolno radiowóz. Z okienka wychylił się milicjant i pogroził nam pięścią. Przeszliśmy na chodnik.

I wtedy wyrósł przed nami ten Andrzej, zwany Milimetrem, dwumetrowy chyba dragal. Wynurzył się z parkowych zarośli. Wyglądał upiornie. Czerwona pręga na policzku i dolna warga rozbita, gruba, pokryta zakrzepłą krwią.

— Cześć Jędrus! — wybełkotał. Nazywa mnie zawsze swoim imieniem po prostu.

— Kto pana tak urządził? — zdumiał się Pośrednik.

— Kto?! — z trudem rozchyłał zmasakrowane usta. — Gliny na mecie. Siedzimy sobie, ja, Lilka, jeszcze jeden taki, a oni wpadli i łubudu, pałowanie, moja żona ich napuściła, bladź, nie może znieść, że ja z Lilką żyję, a Lilka to jej siostrzenica.

Był pod pięćdziesiątkę, więc zgred, a ciągle chłopak, taki Jędrus właśnie, bo i usta, nawet mimo tej masakry, z wykroju dziecinne, naburmuszone, ten kosmyk niesforny opadający na czoło, oko też czupurne. Stary chłopak. Od lat niezmienny. Był w Legii Cudzoziemskiej. Tak mówi. Uciekł stamtąd. Wrócił, bo tęsknił. Potem siedział. Tyle w skrócie. Egzotycznymi realiami operuje niezłe. Kilkanaście słów francuskich. Arabskich też. Na „Gitany” mówi „gitanuasy”. Był czy nie? Nie wiadomo. Może czytał tylko zapomnianą, starą książkę *Dziesięć lat piekła Legii Cudzoziemskiej* sierżanta Białoskórskiego.

— Ta Lilka, mówię ci Jędrus, niezła blacha — pochylał się nad nami, ogromny, dwumetrowy i mówił, to sycząc, to obmacując ostrożnie palcami zniekształconą wargę. — Dobry numer opracowałem z nią na Arabów, ja ich znam, znam tych pustynnych jebusów, łakomi na dupy, zwłaszcza blond, tam Mahomed panuje, ściska ich za jaja...

— Musimy już iść — zniecierpliwiał się Pośrednik i ruszył pierwszy.

Wielkolud powiedział błagalnie:

— Jędrus, nie możesz kopsnąć dychy, na piwo?

Dałem dwie dychy. Chciał całować. Mnie. Pośrednika. Ledwo się wywinęliśmy.

— *Bonne nuit!* — zawołał za nami.

Przez nagie parkowe drzewa widać oświetlony reflektorami Grób Nieznanego Żołnierza i nieruchome sylwetki warty honorowej. Pełzający na wietrze płomień znicza. Zbliżaliśmy się do placu.

Taki to kliniec cholerny, ze sobą, z wszystkimi, z życiem. Ruszyć się nie można. Miotam się w tym płaskim, jałowym wymiarze, nadając temu Bóg wie jaką rangę, kaliber, już tak zmordowany tym poszukiwaniem głębszych znaczeń, błazenada, fikcja, zamiast rzucić ten chłam, zamknąć się i obwarować szczelnie, medytować, uporządkować wreszcie cały ten chaos, osiągnąć wreszcie upragniony spokój i obojętność dla tej brudnej kipieli, trwać już do końca w hermetycznej izolacji, wieży z kości słoniowej, swoistej nirwanie, lodowatej świetlistości.

Albo jak ci chasydzi, miłość, radość, z tą miłością i radością oni do swojego groźnego Jahwe, szatana też się nie bali, rozbrajali go łagodnością i spokojem, Samael, jedno z jego imion, oni, ci chasydzi, biedaczkowie boży, osiągnęli wielką umiejętność, cieszyli się okruszynami, rabi Nachman z Bracławia kochał drzewa, ptaki, trawę, owady, rabi Gerszon z Kut wykupywał na rynku ptaki z klatek i puszczał je na wolność. Tu niedaleko, w sąsiedztwie bóżnicy, mieszka Natan, stary, maleńki jak karzeł Żyd, może do Natana pójść?, czy o tych chasydach wie coś Natan?, pogodny taki i spokojny, sam na cmentarzu pozostał, mieszka w zrujnowanej ruderze, gościnnie, serdecznie, karpiem po żydowsku poczęstuje. Spacer przez cmentarz żydowski, ten las nagrobków, chaszcze, pustka, sami umarli, może z umarłymi Natan rozmawia...

— Może wpadniemy do jednego takiego? — zaproponowałem — pogadać trochę...

— Nie wygadałeś się jeszcze? — zdziwił się Pośrednik. Nie zatrzymał się wcale. Szedłem za nim.

Może zadzwonić do Kiciusia? przyjaciel, taki spokojny, sama równowaga i ład, choć żyje w kipieli nieliczej, ten brud życia, pływa w nim, pogodnie uśmiechnięty, steruje pewną ręką, może skamieniał po prostu? głos kleisty, monotonny, martwica taka, kamienieją ludzie, Karol, kolekcjoner odwłoków, liczą, wspominają, klasyfikują, szklane gabloty eksponatami wypełniają, zaliczać, zdobywać, wszystko jedno co, byle w ruchu, w pędzie, tak jak w starym powiedzeniu: „rachuj, rachuj i tak wszystko na chuj!”

Coś mnie pożerało, takie uczucie, to coś było we mnie i na zewnątrz, niby tonący różnych chwyciłem się linek, pytałem

przyjaciela: może dziecko mieć?, następstwo, ślad, ciągłość?, ja nie chcę — odpowiedział chłodno, dawniej też nie chciałem, wolność, swoboda, bez żadnego balastu, teraz byłem pełen wątpliwości, jestem tylko sierotą — mawiał Fiedka Katorżnik, potwór z Dostojewskiego, tak mówił do Stawrogina i płakał, a mówił po zamordowaniu co najmniej czterech osób, też jak Fiedka czułem się chwilami, to Bernard S. opowiadał mi o Fiedce, z rzadka odwiedza mnie ten dziwny, trochę niesamowity przyjaciel, imiona szefa — mówi o Szatanie — różne przybiera on imiona, Samael, Anioł Światłości, a Mefisto w *Fauście* powiada: „na początku była noc...”, Bernard S. miewa sny niezwykłe i nigdy się nie nudzi, zostać *desperados*, takim straceńcem, co na jedną szalę... można jeszcze zrobić coś nieodwołalnego, ostatecznego, można?, czy nadaję się do tego, chwiej, słaby, setki wątpliwości?, jestem już za stary, mój kardynałik, generalik — mawiał ojciec do mnie, kiedy miałem pięć, sześć lat, ten wiecznie głodny, ciemne, trujące opary z tego bagna ulatują, a ja duszę się i dławię, może po prostu do baby iść?, ta Ewa ekspedientka, ona, inne jeszcze, falowanie wyobraźni, skłębienie ciał, jakaś upiorność i rozkosz, bydlęce nasycenie, tak to powtarzać aż do zupełnej pustki, ta tęsknota za siłą ciągle, siła, opoka, spokój. Kolos, pracownik podziemnego magazynu największej w tym mieście nocnej restauracji, taran atakujący wszystko i wszystkich, wyrywa dębowe drzwi, rozbija umywalki, workiem metrowej wagi rzuca jak piłką, walczy z pięcioma przeciwnikami i gromi ich bez nadmiernego wysiłku, takie łaskotki podstarzałego inteligenta, cherlaka i słabeusza z trzęsionką w środku, Drewnica, wariaci, tam też pewien osiłek, wysiadła mu żarówka we łbie — mówi magazynier Czesiek, ciemność, ludzie w piżamach, bełkot, kwilenie, niewyraźność, on ma rzemiosło perfekt — mówił jakiś krytyk o Malarzu — jeśli znajdzie koncept czyli pomysł kompozycji, to obraz dla niego żadnym problemem, jakże to? — myślałem — taki błyskawiczny?, podejrzana sprawa, Amerykanie wczoraj od niego dwa płótna kupili — dodał jeszcze ten krytyk, wtedy przypominałem sobie: wydawca z Nowego Jorku, Grove Press, list kiedyś przysłał, chcąc drukować moje opowiadania, już widziałem się na liście *bestseller*’ów, nic z tego nie wyszło, pisarskie, zachłanne marzenie, jak przychodzą listy, że wśród nich będzie ten najważniejszy, przeważnie bzdurne listy, dzień po dniu wyczekuję, z tych dni lata całe, tak czekam i z tego czekania spać nie mogę, coraz gorzej z nerwami, kruszy się cielesna powłoka, odsłania ruinę, zużycie, zęby wygubiłem prawie

do szczytu, włosy już nie takie gęste, dwa kaszaki na łbie przeświecają, ta flakowatość ciała, zmarszczki i fałdy...

Pośrednik klepnął mnie zamasyście w plecy.

— Co tak milczysz jak zakłęty?! Głowa do góry! — Silny, dziarski.

Stanęliśmy przy murku oddzielającym park od ulicy.

— Mam niewygodę — wyznałem — ze sobą i z całością. Jedno i drugie nie do przyjęcia.

— Ba! — powiedział tylko Pośrednik.

Kim ja właściwie jestem?, to rozpaczliwe szukanie tożsamości, uczciwy?, oszust?, marzyciel?, realista?, asceta?, Rasputin?, ideał, kawał świni?, wszyscy oni we mnie, wszyscy tłoczą się i przepychają, moja dusza jak worek przyciasny pomieścić ich nie może, żaden w pełni do głosu nie dochodzi, charczą, skowyczą i piszczą, nieznośna kakofonia, dlaczego tak?, zapewne ten mechanizm najważniejszy, ta sprężyna główna, od której całość zależy, popsuta, źle przykręcona, niespójny, rozklekotany mechanizm, taki jestem pozaczynany i źle dopasowany, ta woda, w której tyle lat szukałem ucieczki, leczyłem słabości, zagłuszałem swoje kalectwo, walczyłem z nieśmiałością, tchórzostwem, ohydą, stosowałem na ból, gniew, nienawiść, radość, a nawet na miłość, tyle w niej utopiłem, ona, ta niby sojuszniczka, już chyba zmogła mnie ostatecznie, więc może tylko jedna jeszcze nadzieja, że z tego, co dobre ze mnie zostanie, z tego nawozu, który po mnie będzie, ci następni, młodzi, coś wezmą dla siebie przydatnego, doświadczenie, odkrycie jakieś niewielkie, choćby zapis tej szamotaniny nieustannej, pójdą oni z tym, choćby kawałek drogi, i coś osiągną, jakąś wartość, ład, oczyszczenie, oczekuję na takich, może naprawdę będę dla nich ja, zapisany w swoich książkach, niezłym fermentem, pożywką, rozsądą?...

Szliśmy przez plac. W stronę Europy. Widać było już jej światła. Łuna Europy. Reprezentacyjny gmach. Zaprasza do swego wnętrza wejściami z czterech stron świata. Portierzy w liberiach. Halle i bary. Barmanki uśmiechają się z zawodową grzecznością. Cudzoziemcy snują się jeszcze, sączą drinki i przeglądają obcojęzyczne gazety. Dziwki i cinkciarze. Tajniacy. Pieniądze nasze i obce. Raj dla niektórych. Cmentarz dla innych. Rumowisko.

Ten szatniarz z wąsikiem. Już wiem! Był jeden podobny w dalekiej przeszłości. Klawisz z Gęsiówki. Kroczył korytarzem w granatowym mundurze i okrągłej czapce z zielonym otokiem. Grzechotał pękiem kluczy. Czasem przywalał nimi po grzbiecie.

Gwiazda. Więźniowie wołali na niego Gwiazda. Gwiazda poranna mego życia. Może to on właśnie? Teraz szatniarz.

— Do Europy! — powiedziałem z nagłym ożywieniem.

Pośrednik pokręcił przecząco głową.

— Nie ma mowy — powiedział.

Akurat nadjechała taksówka. Zatrzymał.

Bełkotać zacząłem. Bez słów. Słowa gubiły się i rozpapiały, dławiły wzajemnie, tyle ich było i strugą niemożliwą do artykulacji cisnęły się na usta. A w tym bełkocie była świadomość, że jestem skazany i nie już zmienić nie mogę. Uwięziony do końca wśród tych ludzi obcych, a jednak bliskich, tak będę się tutaj miotać i złorzeczyć, coraz bardziej śmieszny i słaby, skazany bez odwołania. Ogarnęła mnie nienasycona potrzeba miłości, więzi z tym wszystkim, pragnienie, żeby wreszcie ten kamień, co dusi oddech, uwolnił piersi, żebyśmy przestali się szarpać i męczyć nawzajem. Ale zatkało to mnie zupełnie i opadła mi głowa na piersi Pośrednika. Do niego się tuliłem. W nim szukałem oparcia. Gładził mnie po plecach i wzdychał. Dobry chłop. Po chwili dłonie znów miał jak kleszcze, chwycił mnie za ramię i otworzył drzwi auta.

— Jedziemy do domu.

Posłusznie usiadłem na tylnym siedzeniu. Pośrednik obok mnie.

Uszła ze mnie wszelka energia jak z przekłutego pęcherza. Stałem się obwisły, znużony i apatyczny. Nawet wstydu nie czułem.

— Złamać licznik? — zapytał kierowca.

— Nie warto — odparł Pośrednik. — Krótki kurs.

Ruszyliśmy. Kończył się ten długi dzień. Noc.

DWA DNI Z ANIOŁEM

Wszystko rozpada się, środek
nie wytrzymuje naporu, banalna anarchia
opanowuje świat, podnosi się mętna fala
krwi i wszędzie zatopiona zostaje
ceremonia niewinności.

William Butler Yeats: *Powtórne przyście*

— Anioł — powtórzył to osobliwe nazwisko adwokat M.

Tu w mieście wojewódzkim na wschodzie kraju znalazł się z przyczyn zawodowych. Jego klient przebywał w areszcie tymczasowym. Pragnął uzyskać dla niego zmianę środka zapobiegawczego. Dotychczas z prokuratorem prowadzącym dochodzenie nie miał żadnej styczności, dwukrotnie bowiem na widzenie z klientem przybywał jego substytut.

Adwokat M. był obrońcą znanym w całym kraju, znakomitym prawnikiem i zarazem człowiekiem o szerokich horyzontach; ciągle jeszcze zapatrzony w dawne, przedwojenne wzory wybitnych oratorów i jurystów, którzy przeszli do historii polskiej palestry. Wierzył w szansę uratowania i przeniesienia pewnych wartości. Wierzył po prostu chociaż w wątpliwość ciągłości.

Od końca stalinizmu powtarzał sobie: — „No, jednak to niebywała różnica!”

Nabrał przekonania, że życie w tym świecie wschodniego totalitaryzmu (co do istoty systemu nie miał wątpliwości) ułożyło się przecież w pewien sposób. Co prawda ostatnio coraz częściej nachodziło go wątplenie. Czasy obfitowały w ponure niespodzianki, ciągłość historyczna tak brutalnie zerwana. Czy jest więc miejsce dla bujnej, wolnej indywidualności obrońcy

dawnego typu, którego poza kodeksem i godnością zawodową nie kępowały żadne inne względy? Prawo! Teraz tak zmienne, podlegające bezpośrednio politycznym ciśnieniom, każde posiedzenie sejmu przyczyniało się przecież do zmienności obowiązującego prawodawstwa, owocując niezmierną obfitością nowych dzienników ustaw, pełnych ogólnych i szczegółowych regulacji prawnych. Ponadto wyrosła następna generacja adwokatów, która wcale nie odznaczała się znajomością jurysprudenencji. Im nie była ona potrzebna. Sukcesy osiągalni dzięki rozległym stosunkom, a polem ich działań stały się rozmaite kluby, restauracje i kawiarnie. Występowali przed sądem nieprzygotowani do spraw, w zakresie przepisów i procedury popełniali kardynalne błędy, najchętniej poszeptywali z klientami w mroku sądowych korytarzy. Byli to ludzie wulgarni i pospolici, prawo w ich rękach stawało się jedynie elastycznym instrumentem do zarabiania pieniędzy. Stąd wyłączne kryterium wyboru sprawy stanowiła dla nich kieszeń klienta, a wśród ludzi bogatych utarło się mniemanie, że obrońca jest osobą do rozplątywania i załatwiania mętnych interesów.

Adwokat M. nieraz już doznawał poczucia obcości i zagubienia w tym świecie. Do niedawna jeszcze próbował nie ulegać destrukcyjnym wpływom swego środowiska. Zbudował sobie własny, hermetyczny świat. Co roku odwiedzał brata w Londynie. Paszport otrzymywał bez trudności i rozkoszował się atmosferą anglosaskiego życia. Przywoził stamtąd garnitury i krawaty, wzorował się przede wszystkim na modzie londyńskich prawników; całym sercem upodobał sobie wyspiarski styl bycia; powściągliwy, rzeczowy, nacechowany zimną krwią i dystansem.

W kraju starał się przebywać w kręgu ludzi sztuki. To środowisko odpowiadało mu najbardziej ze względu na barwność, różnicowanie i znaczny stopień wolności osobistej. Z ludźmi sztuki grywał w brydża, w ich klubie jadał kolacje, opowiadając sądowe dykteryjki przeważnie z dawnych czasów (nowe jakoś nie powstawały) i miał tam opinię uroczego *causeur*'a. Ze swadą snuł opowieści o aferzystach pełnych rozmachu i energii, których niegdyś bronił przed sądem. Na przykład o niejakim Goldbergu, eks-bokserze z przedwojennego klubu „Makabi”, kombinatorze niebywałym, który wydany przez damę swego serca, mówił o niej sądowi z humorystyczną emfazą: — I świat to nazywa kochanka, tffu!

Albo o tym sławetnym trio starszych panów, posiadających

nazwiska od miast. O Hamburgerze, Dancigerze i Frankfurtrze.

W jego przypadku nie był to antysemityzm ani filosemityzm. Po prostu szczere uznanie dla ludzi ciekawych, pełnych fantazji i talentów, nawet obdarzanych szczyptą poezji, jakby żywcem wyjętych z niezapomnianych stroniec prozy Izaaka Babla.

— Pisz pan pamiętniki! — powiadali wtedy niektórzy z jego przyjaciół, pisarze, poeci, aktorzy.

Milczał skromnie. Z prawdziwą przyjemnością przyjmował te wyrazy uznania.

Jednak w ostatnich latach również artyści posmutnieli znacznie, powypadały ich kolorowe pióra, i anegdota mecenasa M. nie bawiły tak jak przedtem. Rozprawiano już tylko o kolejnych posunięciach władzy i akcjach protestacyjnych podziemia, o represjach i oporze, o wierności i zdradzie, o wolności i niewoli. Przy tym ludzie podzielili się wyrażnie. Jedni drugich nazywali wrogami i zrywali wieloletnie stosunki.

W klubie artystów przestali być ci najbliżsi sercu mecenasa M., na ich miejscu (tak, miewali oni swoje wieloletnie stoliki) pojawili się inni, których nazywano kolaborantami. Pili oni obficie, a upiwszy się przeklinali i złorzeczyli swój podły los. Był to ohydny, wschodni ekshibicjonizm, który zawsze przejmował odrazą adwokata M. Kolaboranci! To dawno nieużywane, okupacyjne słowo znów odzyskało swoje ważne znaczenie w polskim języku. Adwokat M. nie aprobował tak drastycznego określenia. Próbował zachować swój dawny dystans i chłód wobec wezbranych namiętności. Jednakże sam na widok tych sędziów i prokuratorów jednoznacznie usługujących wobec władzy i jej zaleceń, począł negować z emocjonalnym zaangażowaniem. Nawet grymasu obrzydzenia nie mógł opanować na swej twarzy. W ogóle stał się nadmiernie pobudliwy i nastawiając telewizor w porze dziennika, bezwiednie sięgał po papierosa, co powodowało znaczne zakłócenie w jego reżymie antynikotynowym, polegającym na wypaleniu najwyżej ośmiu papierosów dziennie. Można śmiało powiedzieć: te złe czasy również jego dopadły. Przestał być w towarzystwie, najchętniej wysiadywał w mieszkaniu, pełnym stylowych mebli i niezłych obrazów, czytając angielskie powieści kryminalne, wieczorem zaś wychodził na spacer ze swoim psem, okazem wynaturzonej nieco rasy basetów, imieniem Bob. Spostrzegł równocześnie, że jego dawna pasja przygotowywania prawniczych filipik (łączył styl francuskiego krasomównstwa z logiczną argumentacją dowodową i finezyjnym znawstwem procedury, a jego wzo-

rem w tej umiejętności był głośny w latach 20-tych naszego wieku francuski adwokat Henri Robert, którego zbiór mów sądowych posiadał w swojej bibliotece) zmalała znacznie.

Nawet pisanie rewizji czyli umiejętności wykorzystywania luk i słabych miejsc w werdykcie orzekającym o winie i karze — ta jego ulubiona forma wypowiedzi — przestało go pochłaniać tak jak dawniej. Sporządzał notatki do spraw w roztargnieniu i myślami błądził gdzie indziej; zazdrościł bratu, który, rzucany losami wojennymi, wybrał sobie do egzystencji inny świat.

W takim stanie ducha przybył adwokat M. do tego miasta wojewódzkiego na wschodnich rubieżach. Zaparkował samochód na strzeżonym parkingu przed hotelem. Hotel był komfortowy. Zdziwił tym komfortem i estetyką w brzydkim, prowincjonalnym mieście, niegdyś będącym siedzibą guberni.

Architekturą przypominał zachodnioeuropejski motel przy drodze. Lekka, przeszklona budowla, wsparta kolumnami, z pochyłym, fantazyjnym dachem, sięgającym z jednej strony do samej ziemi. Ten widok w miły sposób skojarzył mu się z rozmaitymi wożami po Europie. Niegdyś zwiedzając wspaniałe zamki nad Loarą, zatrzymał się w zajeździe do złudzenia podobnym do tego hotelu.

Obiecował więc sobie tutaj zasłużony odpoczynek po zajęciach zawodowych. W recepcji załatwił niezbędne formalności (pokój zamówiony telefonicznie z Warszawy) i wkrótce rozpakował swój podróżny neseser w jednoosobowym, ale przestronnym numerze, z tapczanem, kanapką, radiem i dyskretnymi ciepłymi światłami dwóch lampek w mlecznych amplach na ścianie, wyposażonym w łazienkę i małą przedpokój. Odświeżył się prysznicem po podróży, zmienił koszulę i skarpetki, zapalił fajkę (walczył w ten sposób z nałogiem palenia papierosów), wypoczął około pół godziny i wolnym krokiem ruszył do centrum miasta. Było ono takie jak wszędzie. Kilka starych kamieniczek z odmalowanymi frontonami, również stary ratusz, kilkupiętrowy dom towarowy, hasła i plakaty o dobrej robocie i pojednaniu narodowym. Na rynku skwer. Na skwerze ławki. Jedne zajęte przez trzech starych mężczyzn, dwaj z laskami, trzeci o kulach. Siedzą, patrzą. Po środku obelisk ku pamięci walk z reakcyjnym podziemiem. Jeszcze okazały kościół. Ale nieciekawym, bezstylowym. Dalej zaś zamykało widok osiedle brzydkich, nieotynkowanych bloków, najeżonych gęsto prętami telewizyjnych anten.

Te prowincjonalne miasta przygnębiały go zawsze martwo-

tą swego powolnego rytmu, szpetotą zabudowy i tępą ospałością mieszkańców. Przyspieszył kroku, starając się nie pogłębiać tej refleksji szczegółowymi studiami z natury.

Sąd i prokuratura mieściły się w trzypiętrowym budynku z czerwonej cegły, pamiętającym zapewne czasy sprzed I wojny światowej. Do tego budynku przylegał pod kątem prostym więzienny gmach, równie stary i ponury. Biura prokuratury zajmowały boczne skrzydło sądowego budynku na trzecim piętrze. W ciemnym korytarzu o ścianach pomalowanych na musztardowy kolor olejną farbą ogarnęła adwokata M. ciężka atmosfera, charakterystyczna dla tych miejsc, gdzie panuje Temida. Przed drzwiami pokoiów opatrzonych numerami gromadzili się interesanci, wezwani jako świadkowie lub podejrzeni. Jedni przechadzali się nerwowo, inni siedzieli na ławach, zwiesiwszy apatycznie głowy. Ożywiali się jedynie tylko na widok przebiegających korytarzem pracowników prokuratury i niektórzy z nich zapalali wtedy ukradkiem papierosy, obowiązywał tu bowiem zakaz palenia. Oto schodami z dołu dwaj milicjanci wprowadzali ogolonego do skóry aresztanta. Przeguby dłoni miał skute kajdankami. Zebrani na korytarzu poruszyli się niespokojnie i odprowadzili zamyślnym spojrzeniem tego człowieka pozbawionego wolności.

Podbiegła do niego młoda, zapłakana kobieta wołając: — Józek! Józek! — Objęła go i zaczęła całować ziemistą, wychudzoną twarz aresztanta. Milicjanci odepchnęli ją dosyć brutalnie.

Adwokat M. stał już przed właściwymi drzwiami. Urzędował tutaj szef wojewódzkiej prokuratury. Więc oskarżycielem w jego sprawie jest zarazem szef prokuratorskiego urzędu.

— Anioł — przeczytał półgłosem to osobliwe nazwisko.

Przycesał włosy i poprawił krawat. Zapukał delikatnie w drzwi. Odczekał kilkanaście sekund, zapukał jeszcze raz i wszedł do wnętrza.

W sekretariacie przedzielonym barierą siedziały dwie dziewczyny pochylone nad stołem. Przeglądały plik kolorowych zdjęć. Dostrzegł na jednym z nich ślubną parę w uroczystym momencie nakładania obrączek.

Dziewczyny były niezwykle zaabsorbowane zdjęciami. Poszeptywały i chichotały.

Dosyć typowe dla takich urzędów panienki. Pewne siebie, nieco wulgarne, przeważnie aroganckie. Te chyba też nie odbiegały od normy.

Jedna, czarnowłosa, zapewne farbowana, o twarzy pokrytej

grubym makijażem, obfita i masywna. Druga, smukła blondynka o delikatnych, ładnych rysach twarzy, może nadto tylko lalkowatej.

Adwokat M. chrząknął raz, drugi i uprzejmym głosem wytłuszczył powód swego przybycia. Dopiero teraz ta ładna o twarzy lalki w roztargnieniu spojrzała na niego, ale ponownie pochyliła się nad stołem. Z kolei ta druga, masywna, czarnowłosa podniosła głowę i przypatrzyła mu się bezceremonialnie. Uważnie i bezosobowo zlustrowała wiek, urodę, ubiór intruza.

Ilu już wyczekiwało przed tą barierą wystraszonych, pokornych i jakże cierpliwych petentów!

Adwokat M. będąc człowiekiem doświadczonego i obeznanym z funkcjonowaniem rozmaitych biur i urzędów, przedstawił się jeszcze raz i poprosił o rozmowę z prokuratorem.

— Zajęty — odpowiedziała bez wahania ta czarnowłosa.

— Przyjechałem w tym celu z Warszawy — dodał z naciskiem.

Czarnowłosa zagarnęła zdjęcia szeroką dłonią o fioletowo lakierowanych paznokciach, na kilku palcach błyszczały złote pierścionki z kolorowymi oczkami, przegub dłoni ozdobiony był wielokrążkową bransoletą, która podzwaniała lekko przy każdym jej ruchu. Wstała, poprawiła w kolanach obcisłe dżinsy, skierowała się do drzwi gabinetu, obitych wypukłą, poduszkowatą dermą. Bez pukania uchyliła drzwi i wchodząc tam, coś powiedziała półgłosem. Adwokat M. stał przy barierce oddzielającej sekretariat od pomieszczenia dla interesantów. Na ścianie za sobą zauważył wyryty czymś ostrym napis. „Huj ci w dupę pierdolony proroku!” — odczytał bez trudności.

Napis musiał być wykonany niedawno, gdyż w takich urzędach bardzo dbają o nieskazitelną czystość ścian. Zapewne jakiś niepokorny petent pozostawił w tej postaci dowód swej nienawiści do urzędu oskarżyciela publicznego.

Drzwi gabinetu pozostały uchylone i dobiegł stamtąd męski, chrypliwy śmiech. Po chwili równie głośny śmiech dziewczyny.

Ta druga urzędniczka wstała raptownie od stołu; była bardzo szczupła, zgrabna w tej wybujałości niby delikatny kwiat na długiej łodydze. Zastygła w pozie pełnej skupionego nadśledzania.

Śmiech nie powtórzył się więcej. Głosy stamtąd przycichły.

Adwokat M. przypomniał sobie niedawną rozmowę z młodszym kolegą. Spotkali się przypadkowo w bufecie sądowym. Młodszy kolega, przedstawiciel tej współczesnej, cynicznej for-

macji adwokatów, dał mu wtedy zwięzłą charakterystykę prokuratora wojewódzkiego, obecnie szefa tego urzędu.

— Nazwisko ma niby kpinę — tak powiedział dosłownie. — W sprawach politycznych trzyma się sztywno poleceń z góry. Jeżeli więc pan kolega broni kogoś z tych ostatnich procesów, to nie ma żadnych szans. Absolutnie! W innych przypadkach wszystko zależy od jego humoru. Wyjątkowo wredna szuja! — zakończył dobitnie.

Oczy zwęziły mu się nieprzyjemnie. Musiał mieć jakieś przykre doświadczenia.

W związku z powyższym zastanowił się nad szansą swojego wniosku. Klient, oskarżony w aferze przemysłowej, przebywał w areszcie śledczym 9 miesięcy, sankcja przedłużona już trzeci raz, nie przyznał się do winy, choroba serca i inne atuty...

Drzwi gabinetu otworzyły się z rozmachem.

— Prosimy! — usłyszał męski głos.

Wchodząc, minął się z tą roślą, czarnowłosą urzędniczką. Naparła na niego swym bujnym ciałem. Usunął się z trudem. Wyszła, kołysząc majestatycznie biodrami. Sprawiała wrażenie bardzo spoufalonej z mężczyzną zajmującym gabinet.

— Kawał maszyny, nie? — powiedział donośnie prokurator Anioł. Niezgrabnie wytaszczył się zza biurka.

Już był przy nim i mocno, do bólu uściśnął mu dłoń. Uchwyt miał żelazny, a ściskając patrzył badawczo w oczy delikwentowi.

Adwokat M. torturę wytrzymał heroicznie, zapanował również nad twarzą.

Prokurator wojewódzki był niedużym, ale masywnym mężczyzną z okrągłą, łysawą głową, okoloną wieńcem rzadkich włosów nieokreślonego koloru; twarz ogorzała, niedogolona na policzkach i brodzie, inkrustowana dwoma brodawkami, jedną u nasady nosa, drugą na czole. Ta na czole wyglądała niby róg. Nosił kraciastą kolorową marynarkę i jadowicie żółty krawat, zawiązany w gruby węzeł pod szyją. Śmiał się szeroko, odsłaniając rzadkie, szerokie zęby, oczy pozostawały uważne i skupione.

Gabinet przesycony był smrodem papierosowego dymu. Na popielniczce tlił się niedopałek. Zapomniiał o nim widocznie, sięgnął po następnego Ekstra-Mocnego.

— Zapali kolega? — takiego użył zwrotu i podsunął paczkę.

Adwokat M., ażeby zadzierzgnąć jakąś pierwszą, choćby nikłą nieć kontaktu z tym osobnikiem, zapalił śmierdzącego

papierosa (palił wyłącznie Marlboro) i czym prędzej wypuścił dym ustami, z trudem powstrzymał kaszel.

Szef prokuratury gościnnie podsunął mu krzesło. Sam przysiadł okrakiem na krawędzi biurka.

— Oczywiście! Oczywiście! Słyszałem o szanownym kole-dze! — tak zaczął. — Gwiazda pierwszej wielkości na firmamencie naszej palestry. Maestria obrony, finezyjna i skuteczna. Szczególnie te głośnie procesy poszlakowe... Tego zabójcy własnej matki, jak on tam... Jako młody, przejęty swą rolą asesor, studiowałem pilnie pańskie sukcesy... Na nich ćwiczyłem swą rolę oponenta obrony, że tak powiem... — Zsunął się z biurka i począł przechadzać się po gabinecie ciężkim, przewalistym krokiem, stopy stawiał do siebie. Z nagłą obdarzał swego gościa uważnym spojrzeniem niebieskich, szklście błyszczących oczu.

— Pańska teza o prawdzie sądowej, jakże odmiennej od prawdy życia, ożywiła niegdyś mój zardzewiały mózg. Myślałem o tym: co to jest prawda? Choćby te podziały na strony i każda ze stron w imię prawdy... Ja bym nawet posunął się dalej: Jedna jedyna prawda jest niemożliwa. To absurd! W ogóle... Doszukiwanie się prawdy też absurd... Czy prawidłowo rozumiuję? — Ale nie pragnął odpowiedzi, kontynuował dalej. — Bardzo interesująca wydała mi się również pańska wypowiedź o tym, że nigdy nie sonduje pan swego klienta w imię poznania obiektywnego stanu faktycznego. Po prostu opiera się pan na jego oświadczeniu i dostępnym materiale dowodowym. Ta cenna myśl z wywiadu udzielonego przed kilkoma laty dla *Polityki*...

Był zaskoczony tym pełnym atencji przyjęciem. Niewątpliwie komplementami przecież obdarzał go szef wojewódzkiej prokuratury. Miał się jednak na baczności. W tym, co mówił tamten, kryła się jakaś dwuznaczność, czymś innym podszyte były jego słowa. Takie odniósł wrażenie.

Prokurator rozkaszał się charkotliwie i dochodząc do okna, wcisnął niedopałek papierosa w doniczkę z jakimś różowym kwiatem. Jedną ręką wsparł się o parapet, drugą bezwstydnie podrapał się w tyłek. Leniwy ruch tej dłoni, bez żadnej natarczywości spowodowanej swędzeniem, nawyk.

— Łaskawy pan pozwoli — zaprosił go uprzejmie. Adwokat M. zbliżył się do okiennej niszy. Stąd roztaczał się widok na więzienne podwórze, przylegające do ściany sądowego budynku. Wysypana żwirem przestrzeń, otoczona wysoką drucianą siatką. Dwaj więźniowie w szarych krymkach dźwigają kocioł.

W dalszym planie ceglany mur i wartownicza wieżyczka z pochyłym dachem, obitym papą.

— Paskudny widok! — rzekł porywczo prokurator wojewódzki. Wyglądał na wzburzonego, oddychał ciężko; coś mu w płucach skrzypiało, klekotało, może chroniczny bronchit. Krótkie, czerwone palce zacisnął na parapecie.

— Czy nie jest to swoista metafora naszego życia — dodał już spokojnie, ściszonego głosem. — Wolni i niewolni. W tej samej jesteśmy sytuacji. — Uporczywie spoglądał na więzienne podwórze pod murem. — Czasem więźniowie widzą mnie z dołu i wykonują nieprzyzwoite gesty, krzyczą... Biedni ludzie...

Adwokat M. odsunął się od okna. Ostatnio w sugestywny sposób utożsamiał się z niedolą ludzi przebywających w odosobnieniu. Zły stan nerwów. Potrzeba wypoczynku. Taką miał w tej kwestii diagnozę.

Staął przy biurku. Szuflada była uchylona i zauważył tam na stosie papierów czarny, lśniący przedmiot. Pistolet! Czyżby przywidzenie?

Pochylił swą długą postać i zajrzał w uchyloną szufladę biurka. Tak. Krótka broń.

W plecy uderzył go nieprzyjemny śmiech prokuratora Anioła. Odskokczył. Gorąco oblało mu policzki. Poczut się przyłapany na kompromitującej ciekawości.

Prokurator wojewódzki powrócił do powolnego przemierzania pokoju, dochodził do biurka, prawie ocierał się o plecy adwokata i z powrotem ruszał w stronę okna.

— Każdy z nas, prawników... — zatrzymał się i westchnął — przeżywał i przeżywa w tych ciężkich czasach niejedną rozterkę moralną. Ten kornik draży sumienie człowieka jak świader...

Dopiero wtedy poczuł świeżą woń alkoholu, którą roztaczał wokół siebie szef prokuratury.

Wreszcie zaprzestał tego denerwującego spaceru i zasiadł za biurkiem.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Czy dobrze mówię? — ni to zapytał, ni stwierdził i starannie zasunął szufladę biurka.

Zapalił kolejnego Ekstra-Mocnego. Dym puszczał prosto w twarz swemu gościowi, siedzącemu naprzeciw. Tym prostackim zachowaniem sprawiał odpychające wrażenie. Przytłaczał w brzydkim gabinecie, ze standardowym biurkiem z jasnego drzewa, metalową szafą oraz regałami, wypełnionymi plikami skoroszytów, akt, dzienników ustaw i oprawionych w sztywne okładki kodeksów. Jedynym akcentem dekoracyjnym tego urzę-

dowego pomieszczenia była reprodukcja obrazu Chełmońskiego, przedstawiająca oracza w sukmanie za pługiem, zaprzężonym w siwe woły.

— Pan mecenas występuje również w procesach politycznych — głos prokuratora miał tym razem brzmienie chłodne, oficjalne. — Czy interes, z którym pan przybywa, dotyczy tego typu sprawy właśnie?

Mecenas M. przycisnął zatrzaski i otworzył czarną, walizkową teczkę z metalowymi okuciami. Z niej wyłożył przygotowane zawczasu dokumenty. Wymienił numer sprawy i nazwisko swego klienta, przebywającego w tutejszym więzieniu.

— Aaaa, to ten cwaniak od pornografii! — prokurator Anioł odtajał wyraźnie. — Uśmiełem się jak mało kiedy! Oni Ruskom w NRD sprzedawali literaturę pornograficzną... Pisma, filmy... Mieli popyt, trzeba przyznać. Całe garnizony waliły do tego miodu — tym razem śmiał się szczerze, aż oczy mu się załzawiły. — Osłabiali siłę militarną radzieckiego oręża. Polityczna sprawa. Dywersja spoistości Układu Warszawskiego...

Postanowił ruszyć do uderzenia w tej sprzyjającej atmosferze żartobliwości.

— Jednak mojemu klientowi te bezceństwa nie zostały udowodnione — zauważył w tej samej, lekkiej konwencji. — To bardzo moralna, wręcz purytańska persona. — I położył na biurku odpowiednie dokumenty, między innymi swój wniosek o uchylenie aresztu, zaświadczenia o stanie zdrowia, opinię z pracy itp.

Prokurator nie spojrzał jednak wcale na te papiery. Odsunął je z niechęcią.

— A widział pan mecenas te pisemka porno? Nawet niezłe, te pozy, figury, kombinacje... Wprost niewyczerpana inwencja... W Szwecji to drukują. Kto by pomyślał! Ci Szwedzi tacy powolni, zimnokrwieści. I jaka technika, psiakrew! Wszystko, każdy szczegółik w naturalnym kolorze... Jak żywe... Ja się tym Ruskim nie dziwię. W nudzie służby wojskowej to przecież raj. Sam sobie jedno zostawiłem — stuknął palcem w biurko. — Czasem dla odprężenia pooglądałem sobie te nagie babeczki. Tak szczerze mówiąc: bezwarunkowo trzeba to życie erotyczne urozmaicać, a nie tak mozolnie heblować jak to czynią wieśniacy ze swymi babami — sapiąc, uśmiechał się lekko, lubieżnie.

Adwokat nie dał się wciągnąć w ten grząski temat, tylko korzystając z widomych oznak dobrego humoru szefa prokuratury poprosił o uzyskanie widzenia ze swoim podopiecznym.

Prokurator Anioł spojrzał na gruby zegarek z kalendarzem

i kompasem, oprawiony w metalową, luźną bransoletę na przegubie silnej, szerokiej dłoni.

— Niestety! Dziś już za późno. Jutro z największą przyjemnością będę do usług pana mecenas... A co tam w stolicy? — raptownie zadał pytanie. — Bardzo ludzie psioczą?

— Różnie ludzie reagują — odparł wymijająco adwokat M. — Jedni snują prognozy pełne pesymizmu, inni żyją tylko dniem dzisiejszym... Ale — pozwolił sobie na szczyptę szczerości — sama władza niezbyt panuje nad sytuacją. Za wiele żąda od społeczeństwa i w zamian za mało daje. Toteż sytuacja przypomina garnek z wrzątkiem. Coraz kipi gwałtownie. Ponadto propaganda po staremu zaczyna być prymitywna i oderwana od rzeczywistości. Zbyt wiele kłamstwa. Przecież policzkowany może oddać z nawiązką! Ludzie dokonują wyboru! — wzburzył się niepotrzebnie i urwał nagle ten wywód. Poczut już ucisk w skroniach zapowiadający początek migreny.

Prokurator Anioł przytaknął w roztargnieniu. Obracał w palcach dawno zagasłego papierosa.

— Wybór... — powiedział powolnie. — Jaki tam wybór! Nie ma takiego luksusu. W tej mojej biednej głowie żadnej możliwości wyboru. — Z nagłym zastanowieniem wpatrzył się w swego gościa.

Mecenas M. poczuł się trochę nieswojo pod tym intensywnym spojrzeniem niebieskich, nieco szklistych oczu. Wydawało mu się, iż jedno oko mruży się porozumiewawczo. Szef prokuratury pochylił się i wsunął głowę pod biurko. Stękając, grzebał wśród szelestu papierów. Coś zagrzecotało. Wyciągnął pękatą butelkę po francuskim koniaku z wizerunkiem Napoleona w charakterystycznym kapeluszu, napełnioną do połowy płynem. Następnie dwa plastikowe kubeczki.

Tutejszy koniak — oznajmił. — Tu na prowincji mamy swoje możliwości.

Napełnił jeden kubeczek. Zapachniało ostro drożdżami. Sięgnął po drugi.

— Niestety, przyjechałem samochodem — skłamał biegle adwokat M. Samochód przecież zaparkował przed hotelem. Na sam widok tego mętnego płynu śmierdzącego drożdżami, doznał silnego skurczu żołądka.

Prokurator nie nalegał. Wychylił zawartość swojego kubka. Znieruchomiał, oczekując na działanie alkoholu. Odetchnął głęboko i niecierpliwym ruchem dłoni poluzował jaskrawo żółty krawat pod szyją.

— Co można robić w takiej parszywej dziurze? No, powiedz

pan?! Tylko balsamować się wodą! W stolicy macie w tym znacznie bogatsze możliwości wyboru.

Adwokat M. podsunął mu swoje Marlboro.

— Niezłe — prokurator Anioł z rozkoszą zaciągnął się dymem. — U nas też jest Pewex.

Obite dermą drzwi uchyliły się bezszelestnie i pokazała się w nich ta czarnowłosa dziewczyna masywnej postury, nogi jak dwie kolumny białe w sztywne, niebieskie dżinsy, obfity biust w różowym sweterku i wymalowana, wulgarna twarz.

— Dzwonią i przypominają — oznajmiła. — O 16-ej w komitecie!

Prokurator Anioł skrzywił się z niechęcią.

— Nie ma dnia... — zaczął. Naraz klepnął się w czoło i rozjaśnił czerwoną gąbczystą twarz z dwoma brodawkami. — Powiedz im... Nie mogę, niestety! W tym samym czasie mam konferencję z przedstawicielem ministerstwa.

Masywne, kobiece ciało poruszyło się leniwie. Podeszła do biurka i z obrzydzeniem ujęła w dwa palce popielniczkę pełną niedopałków.

— Za dużo kopcisz!

Wrzuciła do kosza na śmieci.

Wracając do sekretariatu, pozostawiła uchylone drzwi. Prokurator odprowadził ją zamyślonym, nieobecny spojrzeniem. Nad czymś się zastanawiał. Ponownie sięgnął po butlę z samogonem.

Adwokat M. czym prędzej wstał i skłonił się lekko.

— Miło było mi poznać pana prokuratora. A jutro z rana pozwolę sobie...

— Mam inną propozycję — przerwał mu szef prokuratury. — Dziś po południu ja pozwolę sobie złożyć panu mecenasowi wizytę w hotelu. Kompleks prowincjonalny — dodał błazeńsko. — Wygadać i uzalić się przed światowcem z metropolii. Czy mogę?

— Ależ oczywiście — odparł uprzejmie adwokat M. — Będę bardzo rad.

Znów żelazny uścisk dłoni. Tym razem był już przygotowany i szybko wyrwał z tej obręczy swoją dłoń.

W sekretariacie urzędniczki dzieliły na stole mięso. Posiadały nawet wagę. Przy barierce stała kobieta z koszem. Typowa wiejska babina, symbolizująca w tych trudnych czasach więź aprowizacyjną miasta ze wsią.

Ta czarnowłosa, masywna (najwyraźniej sekretarka szefa) odprowadziła adwokata przeciągłym, poufającym spojrzeniem.

Dwa telefony rozdzwoniły się jednocześnie.

W hotelowej recepcji adwokat M. był świadkiem pewnego incydentu. Dochodził powoli do lady, zamierzając wziąć klucz od swego numeru. Ciemna boazeria na ścianach hallu, widoczny w głębi salki telewizyjnej kominek z kamienia i kandelabry kute w metalu utwierdziły go jeszcze bardziej w opinii o wysokiej jakości tego wnętrza.

Za ladą siedziała sympatyczna panienka. Patrzył na nią z przyjemnością. Wyglądała jak pensjonarka z dawnych fotografii. Po ciężkiej, dusznej atmosferze prokuratorskiego gabinetu wydawała mu się istotą czystą, naiwną i jeszcze nieskażoną.

Obdarzył ją życzliwym uśmiechem. Poprosił o klucz. Nagle z tyłu posłyszał mocne, energiczne kroki. Obejrzał się bezwiednie.

Barczysty, okazały generał w towarzystwie dwóch pułkowników przemierzał hall. Zbliżali się do recepcji. Jeden z pułkowników żwawo podbiegł do lady.

— Pokój dla towarzysza generała! — obwieścił uroczyście.

Panienka sięgnęła za siebie do tablicy. Zdjęła stamtąd klucz przymocowany do drewnianej gałki.

Pułkownik wyciągnął rękę. Ale ona podała ten klucz adwokatowi M.

— Poproszę o dowód — zwróciła się miłym, dzwięcznie brzmiącym głosem do oficera.

Oślupiał.

— Dowód? — powtórzył.

— Dowód pana generała — wyjaśniła.

Generał dosłyszał, o co dziewczynie chodzi. Uśmiechnął się do niej łaskawie.

— Towarzyszka ma rację — twarz miał czerstwą, gładko wygoloną i niewielki, siwawy wąsik nad wargą. Sięgnął do górnej kieszeni kurtki, nad którą widniała kolorowa wystawa baretek orderów i odznaczeń. — Wpierw należy dopełnić niezbędnych formalności.

Pułkownik przejął jego dokument i podsunął dziewczynie. Spoglądał na nią z jawną niechęcią.

Adwokat M., podążając schodami na piętro, zauważył, że z pomieszczeń biurowych, znajdujących się po drugiej stronie hallu, wybiegł grubas w czarnym garniturze i gnąc się w łansadach przed generałem, powtarzał: — Witamy, witamy! Apartament przygotowany! — Odwróciwszy się w stronę lady, wrknął krótko: — Klucz!

Zapewne był to kierownik hotelu. Adwokatowi M. zrobiło

się żał tej miłej, sympatycznej panienki z recepcji. Czekają surowa reprimenda zwierzchnika za niewłaściwe przyjęcie dostojnego gościa. Mogą nawet zwolnić z pracy.

W numerze dokonał kilku niezbędnych, odświeżających czynności: wyczyścił zęby, przemył ręce i twarz, natarł skronie wodą kolońską; zdjął garnitur, w podkoszulku i bawełnianych kalesonkach z angielskich zapasów ułożył się na tapczanie. Materac był miękki, pościel czysta i pachnąca. Lubił zapach świeżej pościeli, kojarzył mu się z wiatrem i słońcem. Włączył odbiornik radiowy o egzotycznej nazwie Sarabanda. Akurat szedł koncert w wykonaniu Izaaka Sterna. Cenił dobrą muzykę i od lat uczęszczał do filharmonii na występy krajowych i zagranicznych wirtuozów. Ten smutny, kryształowy ton skrzypiec spowodował nastrój nostalgii i rozrzewnienia. Pamięć przywołała wizerunek dawnego patrona, u którego jako młody adept palestry aplikował przez pewien czas. Był to dystygowany starszec w meloniku, podpierał się mahoniową laseczką zakończoną srebrną gałką i używał staroświeckich zwrotów w rodzaju: „Padam do nóżek! Wystaw sobie, dobrodziej!” oraz wielu innych osobliwych powiedzeń. Żył już tylko przeszłością i tak dotrwał do zgonu w nowej, zupełnie dla niego niezrozumiałej rzeczywistości, wspominając z animuszem kontuszowego rębajły sądowe boje, które niegdyś toczył. Procesy odszkodowawcze towarzystw asekuracyjnych i zbankrutowanych banków, zawikłane spory ziemiańskie o ogromne połacie lasów i bagien na Polesiu czy podolski czarnoziem, spadkowe działy w postaci szybów naftowych Borysławia i Drohobycza, kamienie i placów warszawskiego mieszczaństwa; w tych opowieściach świat stawał się otwarty, stary pan równie swobodnie poruszał się po Warszawie, Budapeszcie, Paryżu czy Wiedniu. Był znakomitym cywilistą, znawcą prawa bankowego, wekslowego i hipotecznego; jego wiedza w tych usychających gałęziach prawa stawała się powoli już tylko historyczną przeszłością.

Słuchając tych wspomnień ze świata przed potopem, radził mu nieraz, żeby zajął się pisaniem wspomnień. Stary pan machał niecierpliwie łaską, był nade wszystko gawędziarzem, odszedł nie napisawszy ani jednej stronicy.

Zastanowił się teraz, czy samemu nie zabrać się do memuarów. Jest to tak elegancka i efektowna forma literackiej wypowiedzi. Pozwala na nieskrępowaną rozprawę z rzeczywistością i może dać również satysfakcję w postaci nieśmiertelności. W Polsce posiada raczej ubogą tradycję, szczególnie jeżeli chodzi o prawniczy stan. Ale o czym tu pisać? To pytanie ostudziło

zapał. O aferach gospodarczych, polegających na fałszywej sprawozdawczości i buchalterii? O przemysłniczych machlojkach czy wykorzystywaniu stanowiska w sektorze państwowym dla osobistych korzyści? Monotonia i schematyzm tych tasiewiczowych procesów. Jałowi, pozbawieni wszelkich indywidualnych znamion oskarżeń. Żadnego z nich właściwie nie zapamiętał. Może o prymitywnych napadach rabunkowych, gdzie młotek czy siekiera są stałymi rekwizytami? O mordach dokonywanych na taksówkarzach i staruszkach? O spotkaniach z ludźmi typu tu-tejszego szefa prokuratury? Ponadto pamiętnik wiązał raczej z łagodnym, spokojnym stanem ducha i egzystencji. Spoglądanie wstecz ze stabilnej przystani teraźniejszości. Ale ta przystań kołysała się przecież na wzburzonych, sztormowych falach i przyszłość jawiła się tak niepewna.

Z dołu coraz bardziej natarczywie buchała muzyka taneczna. W restauracji hotelowej rozpoczęła się działalność rozrywkowa. Grali wrzaskliwe melodie. Ta muzyka kłóciła się z rzewnym tonem skrzypiec Izaaka Sterna. Zrezygnował z koncertu.

I czy to spowodowała zmiana muzyki, czy powód tkwił w ewokowanej z przeszłości postaci starego patrona, począł rozmyślać o sprawach, które go oczekiwały, wszystkie wydawały mu się tak nudne, a co najgorsze nie stanowiły żadnego bodźca dla intelektu, nawet nie powodowały zwykłej ciekawości wobec nieznanymi ludźmi. Ci eks-dygnitarze rozdęci od przywilejów i możliwości, teraz postawieni w stan oskarżenia! Brzydzili go również aferzyści socjalizmu, ci pomysłowi ludzie zbijający fortuny w szczelinach systemu. A przecież oni stanowili solidną podstawę jego budżetu, wszak nigdy nie żałowali pieniędzy dla swego obrońcy. Właściwie więc jedynie upodobanie do wysokiego standardu życia zmuszało go do prowadzenia tych brudnych, wręcz odrażających procesów. Podrażniony, zapalił papierosa.

Z ciekawych przypadków może tylko ten ostatni klient, oficer MSW, cyniczny spryciarz. Wykorzystując obecne trudności paszportowe, oferował szansę wyjazdu w szeroki świat za słoną łapówkę. Następnie udawał się po prostu do biura paszportowego i tam polecał wydanie paszportu, jak mówił, „naszemu człowiekowi”, który jedzie ze specjalnym, dyskretnym zadaniem.

Mecenas M. był już u niego w więzieniu. Pospolita, gładka twarz fryzjera i przebiegłe oczy. Mówił szeptem, co ważniejsze

informacje pisywał na skrawkach papieru, które zaraz palił starannie rozcierając popiół palcami.

— Szczur! — poczuł się jeszcze bardziej rozdrażniony. — Zerwał na ludzkiej potrzebie wolności.

Ta muzyka z dołu! Wyobraził sobie pary przyklepione do siebie i podrygujące w tanecznych płasach. Pijana, spocona ruja!

Mimowoli przesunął dłonią po piersiach i brzuchu. Skórę miał jeszcze gładką, mięśnie w niezłym stanie i niewiele tłuszczu, chociaż brzuch przybierał już kształt zanadto wypukły. Postanowił intensywniej grywać w tenisa.

Tej panience z recepcji mógł się jeszcze spodobać. W nie-nagannie skrojonym garniturze z miękkiej wełny szarego koloru w zielonkawy deseń jego długa postać prezentowała się efektownie i okazałe.

Pozwolił sobie na taką bezinteresowną grę wyobraźni. On i ta panienka z recepcji. To go uspokoiło. Nieoczekiwanie zapadł w błogą drzemkę.

Zbudziło go natarczywe pukanie do drzwi. Zerwał się, sięgając od razu po spodnie. Zaskoczony w niekompletnym stroju, poczuł się bezbronny i pozbawiony wobec ludzi koniecznego dystansu. Nie pamiętał również, czy zaciągnął zasuwę.

— Kto tam? — zapytał, hamując z trudem złość i niezgrabnie zapinając rozporek.

— Anioł! — padła dziarska odpowiedź.

Włożył koszulę, ale nie zdążył już zawiązać krawata. Otworzył drzwi.

Pierwszy wkroczył prokurator Anioł, dźwigając pod pachą wypchaną teczkę. Za nim te dwie urzędniczki z sekretariatu.

Prokurator zbliżył się do okna i rozsunął zasłonę.

— Więcej światła! — Gospodarskim okiem zlustrował pokój. — Komforcik — stwierdził.

Adwokat M. z niepokojem zerknął na teczkę, którą tamten rzucił na stół. Łatwo mógł sobie wyobrazić jej zawartość.

— Budowany pod koniec Gierka. Pomysłodawcą był sekretarz naszego komitetu. Rzutki, dynamiczny działacz. Nie ma go już. Ideowy, wrażliwy człowiek. Jak się zaczęła ta cała „Solidarność”, to wprost znieść nie mógł tego chaosu i anarchii. Gaś w oczach, biedaczek... — z wypchanej teczki wyciągnął dwie butelki żytniej wódki i pakunek w szarym papierze. — Dziewuchy, do roboty! Przygotować przyjęcie — uśmiechnął się serdecznie do adwokata M. — Chyba nie uczyniliśmy niepożądanego najścia, prawda?

— Skądże znowu! — zaprzeczył bez entuzjazmu adwokat M.

Prokurator klepnął siarczyście w zadek tę masywną, czarnowłosą dziewczynę. Akurat pochylała się nad stołem. Zachichotała, najwidoczniej aprobując tę końską pieśczętę.

Adwokat M. właściwie już był przygotowany. Po prostu na koszmarny wieczór. Zrozumiał, że w inny sposób nie dojdzie do jakiegokolwiek porozumienia z tym gadatliwym, agresywnym facetem. Toteż podjął tę trudną dla niego konwencję relaksu z szefem wojewódzkiej prokuratury.

— Oczywiście — wybąkał, zawiązując krawat. — Ja też miałem ochotę na kieliszek i nawet zamierzałem odwiedzić restaurację na dole.

— Nie warto — rzekł prokurator Anioł. — Dziś dancing, tłok, huk, smród... Prowincjonalny ubaw i nie więcej — wprawnie odkręcił zakrętkę butelki z wódką.

Dziewczyny zajęły się przygotowaniem zakąsek. W papierze znajdowała się kiełbasa, kaszanka i bułki. Palcami zaczęły rwać na kawałki kiełbasę i kaszankę.

— Okazyjnie — wyjaśnił prokurator Anioł. Uważnie obwąchał te rzeźnicze wyroby. — Chyba niezłe. Znam kierownika masarni. Życzliwy chłop. W razie czego liczy na moją życzliwość. Jego poprzednik dostał trzy lata. Jeszcze jako asesor miałem przyjemność oskarżać w tej sprawie.

— Antolek — odezwała się ta czarnowłosa urzędniczka; włosy jej miały granatowy, kruczy odcień, jednakże od skóry prześwitywał inny kolor, jasny raczej.

— Właśnie — przytaknął. — Ten pechowiec nazywał się Antolek.

Znów rozejrzał się po pokoju i zaraz pewnym krokiem udał się do łazienki. Wrócił stamtąd z dwoma szklankami do mycia zębów. Już zabierał się do nalewania wódki.

W akcję włączył się adwokat M. Postanowił zapanować nad anarchicznym żywiołem tej libacji.

— Chwileczkę! — powiedział stanowczo i sięgnął po telefon. Połączył się z recepcją, poprosił o restaurację. Długo to trwało, ale szczęśliwie przebrnął przez wszystkie przeszkody, pokonał opór kierownika restauracji zaaferowanego jakimś oficjalnym bankietem; aż wreszcie zdołał doprosić się o kelnera i przekazać zamówienie.

Szef prokuratury przyglądał mu się z żywym zainteresowaniem i przy kolejnych pozycjach zamówienia pomrukiwał coś niezrozumiale.

Dziewczyny udały się do łazienki.

Wnet po tym telefonie w pokoju zjawił się kelner z zastawioną tacą. Okazał się sprawnym fachowcem; błyskawicznie przykrył stół śnieżnobiałym obrusem, rozstawił talerzyki, sztucce, otworzył trzy puszki sardynek i napełnił kieliszki dobrze zamrożoną wódką z butelki okrytej serwetą i umieszczonej w metalowym kubeczku z lodem. Wykonał te czynności nader sprawnie i po otrzymaniu hojnego napiwku kłaniając się nisko tyłem wycofał się z pokoju.

— Zna się nasz mecenas na rzeczy — odezwał się zapatrzony w to wszystko prokurator Anioł. — Europejska klasa... Ja niestety działam już po najmniejszej linii oporu. Czyli po azjatycku! — splunął na podłogę i ostentacyjnie roztarł butem.

Adwokat M. zdobył się na nikły, wymuszony uśmiech. Jego gość najwyraźniej gustował w tych tanich błazeństwach.

Dziewczyny opuściły wreszcie łazienkę i zasiadły przy stole. Były umalowane, odświeżone, włosy lśniły im na skroniach zwilżone wodą, pachniały również intensywnie.

Rozpoznał nieomylnie ten zapach. Była to jego woda kolońska. Na pewno też zużyły przeznaczony dla niego zestaw ręczników.

W oknie poszarzało. Zapadał zmierzch. Prokurator Anioł charakterystycznym gestem zatarł dłonie i sięgnął po kieliszek.

— Abyśmy!

Pozostał z uniesioną ręką. Czekał. Dziewczyny trzymały swoje kieliszki delikatnie jak na damy przystało — w dwóch palcach.

Adwokat M. desperackim haustem wychylił kieliszek. Wódki nie znośli. Jego żołądek tolerował jedynie z rzadka francuski koniak, najchętniej Courvoisier, lub parę łyków whisky z lodem. Wzdrygnął się, czując w ustach wstrętny, palący smak.

— Co, źle poszło? — zainteresował się troskliwie prokurator Anioł. Podsunął mu szklaneczkę z wodą. Rozparł się wygodnie. W rozpiętej koszuli pokazały się białe fałdy brzucha. — Jeszcze raz przepraszam za tak obcesowe najście — odezwał się z teatralną pokorą. — Ale nie mogłem sobie odmówić tej przyjemności. No, nie mogłem! Nawet z ważnego posiedzenia zrezygnowałem, żeby tylko do pana!

— Cała przyjemność po mojej stronie — zrewanżował się adwokat M. i pstryknął Ronsonem, zapalając paniom papierosa.

Te jego Marlboro brały jak swoje.

Od początku siedziały milcząc, sztucznie upozowane i jak

w teatrze obserwowały na przemian swojego szefa i przybysza ze stolicy.

Stanowiły kontrastowy duet.

Jedna była rozłożystą, masywną dziewczyną; grube niby pniaki uda wciśnięte w niebieskie dżinsy, wydatny biust w równie obcisłym sweterku, dłonie grube i krótkie palce, ozdobione pierścionkami, wśród nich znajdowała się też obrączka.

Druga zaś — eteryczna i wiotka; drobna twarzyczka madonny z delikatnym deseniem niebieskich żyłek na skroniach. Złociste, naturalnego koloru włosy opadały falistymi puklami na ramiona.

Słowiańska Lorelei. Tak poetycko nazwał tę urzędniczkę adwokat M. Lubił zabawiać się w takie charakterystyki. Cwiczył lapidarność stylu.

— Kto kiełbasę, a kto sardynki? — właśnie odezwała się ta jasnowłosa i wiotka, podnosząc ze stołu półmisek z wędliną. Zagarnęła na swój talerzyk kilka kawałków kiełbasy i zauważyła — Przydałoby się coś ostrego, musztarda, grzybki...

Głos miała płaski, bezdźwięczny. Cała jej uroda zgasła. Oleisty, powolny głos spowodował tę przykrą zmianę wrażenia.

— Nie grymaś, smarkulo! — skarcił ją szef prokuratury.

Zatrzepotała wachlarzem długich rzęs na błękitnych oczach. Z upodobaniem patrzyła na swego zwierzchnika. Czar tej słowiańskiej Lorelei prysł jak bańka mydlana.

Adwokat M. z tęsknotą pomyślał o uroczej panience z recepcji. Z nią być może zdobyłby się nawet na prowincjonalny romans.

Sięgnął po kieliszek.

Prokurator Anioł przyjął ten gest głośnym aplauzem.

— To rozumiem! — ponaglił swoje urzędniczki. — Pijcie gołąbeczki!

Pocił się obficie. Śliska, oblepiająca ciało koszula była mokra pod pachami i na piersiach. Stęknął i podnosząc do góry jedną, a potem drugą nogę, zrzucił buty.

— Pozwoliłem się rozzuć — tak nazwał tę czynność. Z rozkoszą poruszał stopami. Skarpetka na lewej stopie była dziurawa, wyłaził z niej wskazujący palec. — Kamasze kupiłem na talon — wyjaśnił — z importu, rumuńskie. I cisną, cholery!

Pochylił głowę i jego wzrok spoczął na czarnych golfach adwokata M. Były to oryginalne, solidne półbuty starego fasonu. Tego fasonu bowiem przestrzegał konsekwentnie ich właściciel.

— To są kamasze — zacmokał. — Pewnie miękkie, jak maselko, nie?

Wyraźnie podpił już sobie. Ruchy miał niezdarne i gwałtowne, oczy błyszczały mu mętnym blaskiem. Zachowywał się nad wyraz swobodnie. Popiół z papierosa strząsał na talerze, sardynki wybierał palcami z puszki, plamiąc przy okazji świeży obrus. Palce też wycierał w obrus.

Nie więc dziwnego, że wkrótce ten wykwintnie zastawiony stół począł przybierać wygląd pobożowiska, tak typowego dla niechłujnych, łapczywych pijatyk.

— Jako prawnicy... — rzekł prokurator, skarciwszy uprzednio dziewczyny, które počęły nucić w takt muzyki dochodzącej z lokalu na dole — przede wszystkim musimy zamienić parę słów w kwestiach profesjonalnych. Wymiana myśli, że tak powiem... Póki czas. Przecież krew nie woda — rzucił oblesne spojrzenie na urzędniczki. Przychylił się do adwokata i dodał szeptem: — To dobre dziewczuchy.. Nie z tych, co to z piezki robią kapliczki... Co sądzi pan kolega o regulacji prawnej w okresie wychodzenia z kryzysu? Od groma tych przepisów, ustaw. Nasz parlament niezwykle pracowity, prawda?

— Otóż właśnie... — podjął żwawo adwokat M., gdyż zaświtała mu nadzieja, iż w ten sposób otwiera się droga do finału jego trudów — lawina tych dzienników, rozporządzeń, komentarzy. Bardzo ciasny gorset przepisów. Nieustannie muszę wertować, notować, zgoła uczyć się jak do egzaminów...

— Poznał pan mecenas nasze bieżące ustawodawstwo znakomicie — zauważył prokurator Anioł. Teraz sprawiał wrażenie trzeźwego i skupionego. Bez wahania wymienił procesy strajkowe z Ursusa oraz sprawę tej grupy podziemnych drukarzy i kolporterów, zresztą bezsporny sukces obrońcy, uzyskał wtedy dwa wyroki w zawieszeniu i jedno uniewinnienie.

W tym momencie adwokat M. doznał nieprzyjemnego wrażenia. Czyżby tamten specjalnie studiował jego wystąpienia przed sądem.

— Z jakiego źródła korzystał pan prokurator? — zapytał złośliwie.

— Sprawy te były szeroko komentowane na naszych narađach — odparł tamten z powagą. — Stanowiły przecież wyraźny dowód słabości koncepcji oskarżenia. Czyli w bezpośredni sposób dotyczyły przedstawicieli naszego urzędu. Być może zresztą sąd przejawiał zbytnią wyrozumiałość wobec oskarżonych. To się zdarza... Ponadto z osobistej ciekawości, drogi mecenasie! Te sukcesy są dowodem pięknej, zaangażowanej w imię

szlachetnego celu postawy. Pan podobnie jak te dawne orły, Dubois, Berenson, Duracz! Niewątpliwie przejdą do skarbnicy narodowej pamięci. Nie wszyscy obrońcy dali się spacyfikować i zastraszyć. Byli tacy, co wyżej cenili szczytne imponderabilia, niżli egoistyczny, przyziemny interes. W pańskim przypadku chyba interes szczęśliwie nie doznał szwanku. Praktyka dalej rozległa, kancelaria pełna klientów, czyż nie tak? — sztychli wyraźnie, jego oczy pełne złośliwych ogników.

Perorować potrafił płynnie i ze swadą; czuło się w nim niezłej jakości zawodowca. Tak mimochodem zanotował to spostrzeżenie adwokat M.

— *A propos...* — ciągnął tamten dalej — powiem panu zupełnie prywatnie... W miarę lat i rosnącego nacisku czynników pozaprawnych sam myślę o przejściu do adwokatury. Z wpisem na listę chyba nie będzie trudności, prawda? Wytehnąć wreszcie, być panem swego podwórka. No i finansowo się odkuć. Oczywiście nie chodzi o te grosze wpłacane do zespołu. Tuż palestry biorą nieliczne honoraria...

Adwokat M. poruszył się nerwowo na krześle. Temat był dla niego nieprzyjemny. Moralnie dwuznaczny. I śliski. Czuł na sobie świdrujące spojrzenie tamtego. Siedział rozwalony na kanapie i patrzył niczym bazyliszek.

— Pańskie umiejętności, sztuka wyszukiwania luk w materiale dowodowym i sugestywność argumentacji... To istne majstersztyki! Zazdroszczę panu! Za taką obronę w dolarach należy płacić. I karnik z kolegi tęgi i cywilista zarazem! Tylko... — jego porowata, zmienna w grymasach twarz przybrała wyraz koleżeńskiej troski — ...tylko ostatnimi czasy usztywnił pan mecenas zasadę moralną obrony. Kiedyś broniliśmy wszystkich. Aferzystów, szlachetnych bojowników oporu społecznego, skorumpowanych dygnitarzy... — ścisłym głosem wymienił nazwisko pewnego dyplomaty, którego obrońcą był niegdyś adwokat M. — Czyli formuła otwarta. Biorę się za każdego, byle tylko przedmiot sprawy posiadał dla mnie interesujące aspekty z tych czy innych powodów... Natomiast niedawno odmówił pan mecenas opieki prawnej byłemu towarzyszkowi... — równie teatralnym szeptem co poprzednio wymówił nazwisko jednego ze sterników polityki ekonomicznej usuniętej ekipy. — A to przecież mógł być interesujący pod niejednym względem *casus*. Nie mówiąc o forsie. Musiał się nieźle...

— Brzydzić mnie to zaczęło! — przerwał mu adwokat M. — Nie jestem przecież nieczułym instrumentem. — Poczul wzburzenie. Tamten dygnitarz rzeczywiście swą pychę i odra-

zającą gębą, której pełno było kiedyś w telewizji, nieraz wypro-
wadzał go z angielskiej flegmatycznej i chłodnej równowagi.
Był to szczególny przypadek awersji osobistej.

— Ach, brzydzi się pan mecenas! — wojewódzki proku-
rator pokiwał głową. — Rozumiem. Być czystym i pachnącym.
Jeżeli zapach, to koniecznie najlepszego gatunku. Dior, Yardley,
szlachetny aromat, rozkosz dla powonienia! A w fekaljach
niech się grzebią inni. Obrzydzenie. Znam to uczucie i choć
mój nos zakatarzony, jednak nie straciłem jeszcze umiejętności
odróżnienia smrodu od dobrego zapachu. Ale co robić? Trzeba
zatkać nos i brnąć w to gówno. Moim skromnym zdaniem, drogi
mecenasie, znalazł się pan w kłopotliwej sytuacji. Rączki były
zawsze czyste, sumienie też. Luksus ustawiania się w życiu. Ce-
nili, pieścili. Jedni i drudzy. Władza i opozycja. Wolność, praw-
da? — patrzył jak nieomylny w ataku kot na upatrzoną mysz.
Zachnął się adwokat M. Jakim prawem ten prowincjonalny opój
będzie odprawiał nad nim sąd, kwalifikował jego postępowanie
i pouczał! Sięgnął po papierosa. Już zapomniał o zasadzie po-
wściągliwości w paleniu.

— Może jednak przejdziemy do konkretnej... — zaczął nie-
co podniesionym głosem.

— Niestety, to się skończyło bezpowrotnie... — jego słowa
zagłuszył ochrypy, denerwujący głos tamtego. — Diabli wzięli
piękną oazę! Inna faza, socjalizm zaczął się rozpadać. Na kiep-
skim przecież stoi fundamencie. Trzeba więc ratować tę rozwa-
lającą się budowlę. Nie ma czasu. Każda zwłoka grozi ruiną tego
wspaniałego gmachu. Brutalne nastały czasy. Ja panu współ-
czuję! Pan mecenas nigdy nie gustował w kontrastach. A tu
tymczasem... SB, ZOMO, partia, co tam jeszcze... I po drugiej
stronie ci szlachetni, niepokonani, heroiczne podziemie, inte-
lektualiści, buntownicza młodzież... Gdzie by tu się umieścić?
Jak znaleźć miejsce dla siebie? Nie ma żadnego azylu. Ci albo
tameci. Pańskiemu bratu to się jedwabnie ułożyło życie! W wol-
nym świecie zakotwiczył swój okręt. Ja mu zazdroszczę. Ja,
prokurator Anioł! Nieźle mam nazwisko, co? — zaśmiał się
hałaśliwie.

Ten śmiech podjęły milczące dotąd dziewczyny.

— Aniołek — powiedziała pieszczotliwie czarnowłosa i
opiekuńczym gestem poprawiła mu wyłazającą ze spodni koszulę.

— Nazwisko często w niezamierzony sposób staje się sym-
boliczne — ciągnął prokurator. — Weź pan takie jak Komen-
dant, to prezes naszego sądu. Albo Bajer, dyrektor departa-
mentu z ministerstwa. Jeszcze może być Rusek, wiadomo kto,

generalny prokurator. Smakowite dla opozycji, nie? Ale wracając do rzeczy. Niestety ja, prokurator wojewódzki, zadanie mam jednoznaczne, żadnych niuansów. Mocniej niż dotychczas strzec muszę naszej praworządności. Już uprzedzam pańskie zastrzeżenia. Praworządność, myśli pan, to fikcja. Wcale nie! Praworządność jest tym, czego aktualnie potrzebuje władza. Zechce pan polemizować ze mną, powie pan: są pewne niepodważalne zasady. Znam, znam... Nawet pamiętam parę takich łacińskich maksym... — wyprężył się na kanapce, oczy baranio utkwili w suficie i jak uczeń wywołany do tablicy zaczął dukać ze znacznym wysiłkiem — ... Lex specialis derogat generali... Lex non agit.. In dubio pro reo... — czyli wątpliwość na korzyść oskarżonego... Albo... corpus delicti... Zapomniałem, kurwa! To dobre jedynie jako popis pamięci. Z prawem można jak z dziwką. A czym się różni sąd od prokuratury? Podział ról, pozory pojedynku, dialogu, ścieranie się racji, dochodzenie do konkluzji... Taki sobie teatr. Jeszcze tylko obrona trochę psuje tę harmonijną kompozycję. Czasem ci mecenas za bardzo stają okoniem... Chociaż już nowe pokolenie obrońców wie, czego się trzymać. Realisci. Wielu z nich to byli prokuratorzy, ludzie doświadczeni. Pańska kreacja czystej obrony wygląda już nieco anachronicznie. Tak, tak. Szanuję. Efektowne sukcesy. Pamiętam tę sprawę sprzed kilku laty. Doprowadził pan do uniewinnienia faceta, który spowodował groźny wypadek samochodowy. Stwierdził pan wadę fabryczną samochodu marki Wołga. Co na to ambasada radziecka? Tak dewaluować ich przemysł. Oni tego nie lubią. Pewno sobie zapamiętali. Ja tylko tak żartem. Reasumując, znalazłem się przecież w awangardzie brudnej roboty wraz z organami ścigania — ciężko poruszył dłonią; przewrócił kieliszek, rozlała się wódka.

Czarnowłosa spojrzała na niego z wyrzutem. Takim spojrzeniem kobiety, która żywo reaguje na zachowanie swojego mężczyzny.

Ta druga natomiast była obojętna jak kamień. Chyba nie słuchała wywodów szefa... Patrzyła w okno i ziewała. Zdrowe, białe zęby. Sięgnęła po adwokackie Marlboro. Trzymała papierosa, czekając na przypalenie.

Tym razem przybysz z Warszawy ani myślał być dżentelmem. Nie wyciągnął z kieszeni swojego Ronsona. Musiała skorzystać z zapalek.

Właśnie w tej chwili uświadomił sobie, że od dłuższego czasu spogląda na kraciatą marynarkę prokuratora, rzuconą niedbale na oparcie kanapki. Szukał tam wzrokiem w którejś kieszeni

wypukłości, tej charakterystycznej wypukłości, którą powoduje ciężki, podłużny przedmiot, wypychający kieszeń. A może broń pozostała w szufladzie biurka? Jak w ogóle jest z tymi prokuratorami. Niektórzy są zapewne w gestii MSW. Dyspozycyjni, tak się powiada w sądowych kularach. Szeptem, oczywiście.

— My chyba z jednego rocznika, prawda? — zadał mu nieoczekiwane pytanie prokurator Anioł. Wymienił datę swego urodzenia. Nie byli rówieśnikami. Tamten okazał się znacznie młodszy.

— Czyli... — skwitował jego odpowiedź prokurator — oceniając z wyglądu, przypuszczać należy, że ja więcej się uszarpałem... Może wyrzuty sumienia... Wrażliwość. Rani mą duszę złe, występne życie!

Czarnowłosa roześmiała się przy końcu tej kwestii. Patrzyła z sympatią na nalaną, gąbczastą twarz zwierzchnika. Lubiła jego żarty. Podobała się jej jego twarz. To można było odczytać z łatwością w jej oczach pełnych ciepłego blasku.

— Ja — prokurator Anioł trzepnął pięścią w stół — wybrałem i zrozumiałem! Mówią: szuja, karierowicz, łobuz, bydlę... Niech mówią. Pogodziłem się z tym i zdania swego nie zmienię. Nie!

Po tym gwałtownym wyzwaniu sprawiał wrażenie zmęczonego. Krótki, urywany oddech, czoło pokryło się potem. Wcale jednak nie miał zamiaru na dłuższą pauzę. Nalał sobie do kieliszka wódki. Wypił niby wodę.

— Powiem panu jeszcze... — zaczął.

Jego natarczywe gadulstwo rozdrażniło adwokata M. Poczutł chęć przystąpienia do szermierki. Taka nieprzeparła potrzeba zabrania głosu. Pierwsze zdanie i już sztych. Podobnie jak przed sądem, kiedy zdarzało mu się toczyć efektowne boje z przeciwnikami procesowymi. Na początku więc uściślić chaos jego wypowiedzi; wyłowić podstawowe sprzeczności, obnażyć tanią demagogię i czynownicze poddaństwo wobec władzy, brak rzetelnej wiedzy w wielu kwestiach, szczególnie ostro obnażyć jego nieuctwo w prawie; wreszcie po wykonaniu tej wiwisekcji przystąpić do ostatecznego rozgromienia przeciwnika. Już skoncentrował się i gotował pierwsze słowa. Pierwsze słowa są najważniejsze. Oto już były. Zacząłby tak: — „W pańskim przypadku jest to typowe *quaternio terminorum* czyli pomieszanie pojęć...” W ostatniej chwili jednak zdusił tę polemiczną ochotę. Nie przyjechał tu przecież w celu prowadzenia teoretycznych sporów ani tym bardziej dla szczerego wypowiadania swych poglądów.

Więc, zamiast tego powiedział „przepraszam” i udał się do

łazienki. Tam stojąc nad sedesem i wypróżniając nadmiernie przepełniony pęcherz doszedł do bardzo pesymistycznych konkluzji. Jak może dojść tutaj w tej części Europy do jakichkolwiek pozytywnych zmian, skoro takich jak ten Anioł są tysiące, dziesiątki tysięcy, może setki. Żyją jak pasożyty nie do usunięcia, są ciałem i duszą tego systemu. Na co więc można liczyć? Pod koniec zaś zaniepokoił się stanem swego pęcherza. Mocz oddawał z oporami. Czy to nie jest początek prostaty?

Kiedy wrócił do pokoju, szef wojewódzkiej prokuratury wyciągnął rękę w stronę ściennego wentylatora. Był spokojny, zyczliwie uśmiechnięty.

— U nas na prowincji chociaż pogadać można od serca — rzekł. — Bo u was podobno w niejednym telefonie czy wentylatorze siedzi czujka. Tu nie ma takiej potrzeby. Naród bardziej pokorny i skupiony jak w owczarni pod uważnym okiem swych pasterzy. Nieraz sobie tak o wszystkim gawędzimy. Towarzysze z różnych resortów i bezpartyjni. Nawet się żalimy, to i owo krytykujemy. Każdy przeżywa przecież rozterki. Każdy! Ja też jestem człowiekiem! Czy nie jestem częścią tego biednego narodu?!

— „Najgorszą” — miał już na końcu języka adwokat M., ale zmilczał rozsądnie.

— Też jestem Polakiem! Też się męczę! — prawie załkał prokurator, oczy jednak miał suche, bez łez. — Przepraszam. Wódka ma taką wredną właściwość. Człowiek jak na huśtawce. Góra! Dół!

— Za dużo pijesz — stwierdziła czarnowłosa. — I nic nie jesz. — Podsunęła mu sardynki. Z obrzydzeniem odsunął puszkę.

— O czym to ja mówiłem? — podjął zagubiony wątek. — Aha. Czasy idą złe, bardzo złe. Twardy kurs. Nie będzie żadnej zabawy w chowanego. Tak albo nie! Anachronizmem jest dawne pojmowanie dziejów. Kto wie, czy to nie jest początek trzeciej światówki? Preludium znaczy. Afganistan, kotłowanina na Bliskim Wschodzie, to szaleństwo zbrojeń, ruscy marszałkowie coraz groźniej potrząsają szabelką. I tu nagle ta mała, krnąbrna Polska! Demokracji jej się zachciało. Ten cały stan wojenny to pokazowa lekcja likwidacji oporu. Przecież my jesteśmy przedpołem. Tu musi być porządek!

— Jeżeli już tak ma być... — nie mógł powstrzymać się od tej uwagi adwokat M. — to wtedy niewątpliwa przewaga techniczna Zachodu...

— Zachód — prychnął wzgardliwie prokurator Anioł. —

Oni pierwsi nie jebną. Oni ciągle ustępują. Opinia publiczna, różnica zdań, wątpliwości, naiwność... Pragną negocjować, pertraktować, wierzą w trwałość umów. Barany! Tym sposobem Rusek im coraz bardziej wchodzi w bebechy. Oni nie mają serca do walki. Pękają, ustępują, posypiają się kredyty...

— A jeżeli jednak jebną? — wtrącił adwokat M. i zmieształ się, sam sobą zaskoczony; mimo woli bowiem skorzystał z wulgarnego słownictwa swego rozmówcy.

— Jeżeli już jebną — tamten podjął gładko — to po co się wdawać w pojedynkę gigantów. Należy siedzieć cicho i czekać. Co my możemy, marne robaki. Nie ma co podskakiwać. Solidarność sprawnie została rozłożona na łopatki, nie? Ludzie już nie demonstrują, boją się, nie? Jeszcze kościół. Ale kościół unika radykalnych posunięć. Chociaż mamy tu jednego takiego kleheć. Grzmi z ambony. Zakonnik jakiś. Nawet przystojniak, prawda dziewczuchy.

One leżały senne na tapczanie, zrzuciły ze stóp buciki na wysokich obcasach. Długie, zgrabne nogi tej jasnowłosej pokazały się w całej okazałości. Nogi modelki. Nie mógł się oprzeć szczeremu uznaniu adwokat M.

— Głupie sraki! — machnął ręką prokurator Anioł i powrócił do swego monologu. — Nastął taki czas. Trzeba słuchać, milczeć i pracować. Powie pan, istnieje opór, szeroki front odmowy. To tylko słowa, bezsilne słowa. Ludzie są zmęczeni, zwieszają łby i chowają się po norach. Boją się i nie widzą szans. Że nienawidzą? To co z tego? — emanowała z niego jakaś trująca siła. Z fizjonomii, gestów, słów.

Adwokat M. doznawał coraz większego poczucia przygnębienia.

— Wszystko pojmuję — jeszcze raz zareagował w sposób spontaniczny, tak rzadki przy jego opanowaniu; spróbował chociaż zaznaczyć odmiennność swego poglądu. — Wszystko pojmuję. Tylko wydaje mi się, że pan w ślepym podziwieniu dla władzy jednego czynnika nie bierze pod uwagę. Otóż ten społeczny gniew, nienawiść, jak sam pan powiedział, ma to do siebie, iż kumuluje się niezauważalnie, i z nagłą, w sposób trudny do przewidzenia dla władców, następuje wybuch. Tym następnym razem może to być erupcja silniejsza niż poprzednio.

— Ten proces... — prokurator Anioł uśmiechnął się po błazniwie — niekoniecznie musi się powtarzać. Władza się wycwanila i będzie czuwać. Nie na darmo mamy nowe, świetne ustawy, szerokie pełnomocnictwa dla służb specjalnych, preferencja donosów i tak dalej... W ogóle czuamy. No, jeszcze ten

kryzys. Rzeczywiście, rozpięrdoliła się gospodarka. Ale w silnym, sprawnie zorganizowanym systemie kontroli społeczeństwa taki kryzys może trwać latami. Ludzie przywykną do pustej mioty. Muszą, nie ma innej możliwości. Weź pan przykłady z Kraju Rad. Wszystko bohaterski człowiek radziecki przetrzymał. Zsyłki, procesy, kłęski głodowe... — roześmiał się paskudnie. Patrzył z wyższością człowieka wtajemniczonego w arkana sztuki rządzenia. — A wy skaczecie jak pchły, protestujecie, krzyczycie o gwałceniu praworządności, terrarze i ofiarach. W końcu gładko przekroczyliśmy ten próg, zbyt wiele ofiar nie było, nie? Co to za ofiary! Kilkanaście osób najwyżej. No, ale jak ludzi można było inaczej zmusić do posłuchu? Tacy byli rozbestwieni. My, Solidarność! Jest nas 10 milionów! We łbach im się przewróciło. Takie są fakty. A mogła się połać bratnia krew strumieniami. Ruscy by wkroczyli jak nic. Oni tu nie pozwolą na żadną tam „Solidarność”. Czy wy tego nie pojmujecie — oskarżycielski palec wycelował w pierś adwokata M.

Jemu sprawiło to nawet swoistą przyjemność. Potraktował go jako drugą stronę, przeciwnika, bojownika podziemia prawie.

— W mocnych kleszczach są ludzie. Niezawodne, stalowe kleszcze. Tak było, jest i... — prokurator Anioł urwał nagle i począł ustami jak ryba łapać powietrze. — Serce wysiada — wykrztusił.

Wypił kilka łyków wody i pozostał z otwartymi ustami. Woda spływała mu po brodzie. Dłoń przycisnął do piersi. Wsłuchiwał się pilnie w swój sfatygowany organizm.

— Podobno w Ameryce żyje jeden taki ze sztucznym sercem?

— Żył — skorygował adwokat M. — Już umarł. A ponadto podłączony był do aparatury wagi około 140 kg.

— Kto wie? — zastanowił się prokurator Anioł. — Może zmniejszą ciężar i człowiek będzie nosił podręczny silniczek w kieszonce. Kieszonkowe serce. Oni, skurwiele, mają technikę! Przyznają. Potężną! Ale gdzie Rzym, a gdzie Krym? My żyjemy w cieniu Kremla, jak to powiada wróg.

Adwokat M. potarł skronie. Dokuczliwy ucisk. Granatowa noc wypełniała okno. Zerknął na zegarek. Zbliżała się północ. Żeby wreszcie poszli sobie! Anioł ze swoją żeńską ekipą. Ale prokurator potraktował jego znużenie jako aprobatę dla swojej argumentacji.

— No, widzisz! — przeszedł bezceremonialnie na ty. — Tak trzeba na to spojrzeć. Rzeczowo, bez uniesień. Tak musi być

i będzie. Czego się wam zachciało? Kontroli władzy, zniesienia cenzury, wolnych wyborów, czego tam jeszcze... Chłopie, czyście poszaleli? A byłeś tam? — zapytał nagle i rękę wyciągnął za siebie.

Adwokat M. zaprzeczył. Właściwie przed pięcioma laty o mały włos... Orbisem na Krym i do Gruzji. Ale wyłoniła się wtedy inna, bardziej atrakcyjna wycieczka. Wyspy Morza Egejskiego.

— Ja tam byłem pięć razy — powiedział dobitnie prokurator Anioł. — Nawet w republikach azjatyckich. Dopiero byś zobaczył! Wracasz i czujesz się jak w raju. Inny *wozduch*... Za psów nas macie, zdrajców i agenciaków... A przecież ktoś musi to robić, musi! Pilnujemy, żeby naród nie przebrał miary. Ciągłe ręka na hamulcu. To nasza rola... Ja ci powiem: za bardzo chcemy być wolni. Ikary, psia mać! Do nieba nam się chce. Ja sam czasem sny miewam takie. Budzę się. Patrzę. Gdzie ja jestem? We śnie było zupełnie inaczej.

— Ja też — odezwała się czarnowłosa, osłaniała dłonią usta, dziobała zapałką w zębach. — Mam kolorowe sny. Szampańskie.

Buchało od niej zmysłowością. To duże, wybujałe ciało rozsadało ciasnotę dżinsów, sweterka.

— Wczoraj na przykład...

Szef prokuratury przerwał jej niecierpliwie.

— Im tylko chłop w głowie i zabawa.

— Pewnie! — przeciągnęła się kusząco i wszystko wyprężyło się i wypięło w swoistym oczekiwaniu. — Tak ładnie grają...

Na dole trwał dancing. Muzyka. Męski dyszkant zawodził w mikrofon. Powtarzał się liryczny refren: „I dziewczynie z podwórka podaruję pół nieba...” Melodię podjęła ta druga, jasnowłosa i smukła. Obie zaczęły nucić, kołysząc się na tapczanie.

— Dzieją się rzeczy nie na naszą miarę — prokurator Anioł wytarł spocone czoło. — Lepiej grzecznie przeczekać niż trwonić daremnie życie. Energię zachować na wypadek prawdziwej szansy. Czy ty wiesz, ile jest stąd kilometrów do granicy?

Adwokat M. nie wiedział.

— Ledwo 40 kilometrów. Tuż, tuż. I z tamtej, wschodniej strony wciąż takie potężne dmuchawy pompują na nas zatrute powietrze. Rozumiesz. Tak to wygląda!

Zartował? Użył tego jako przenośni? Przechylił się i delikatnie ujął w palce kłapę marynarki przybysza ze stolicy.

— Co to? — zapytał z ciekawością.

Wpatrzył się intensywnie w mały, kunsztownie wykonany znaczek, zdobiący tę klapę.

— Emblemata Rotary-Club — odparł nie bez dumy adwokat M., cofając się odruchowo przy tym dotyku.

Podczas ostatniego pobytu w Anglii dzięki protekcji brata został zaproszony do tego ekskluzywnego klubu i otrzymał w prezencie ów znaczek. Lokal klubowy urządzony w stylu wiktoriańskim, kominek, obrazy, kolacja przy świecach, wykwintni panowie. Miłe wspomnienia. Nie skompromitował się również swoją angielszczyzną. Konwersował zupełnie swobodnie. Pochwalili nawet wymowę. Co prawda ta satysfakcja teraz już przybladła. Mniej cieszyła ta oryginalna plakietka. Niestety.

— Przyczepiacie sobie jakieś krzyże, kotwice, orły — zauważył z przekąsem prokurator. — Bojownicy! Bóg i Ojczyzna!

Najwyraźniej Rotary-Club skojarzył mu się z krajowymi sprawami.

Znieruchomiał, rozparty na kanapie, z rozchełstanej koszuli wyłożył brzuch w fałdach, porośnięty rudawym włosem. Odpoczywał.

Muzyka na dole zacichła. Tylko za ścianą zakłębiła się jakaś libacja. Dobiegł stamtąd zwierzęcy ryk. Potem łomot.

— Męczy ludzi życie — odezwał się prokurator Anioł. — Męczy... Jak tylko mogę, to zawsze idę ludziom na rękę. Podopieczny pana mecenasu może coś o tym powiedzieć. Żona go odwiedza, wypiska, książki i prasa. Czy to nie jest humanitaryzm?

— Właśnie — podchwycił adwokat M. — Mój klient jest poważnie chory. Posiadam diagnozę lekarzy specjalistów. W swoim wniosku przedstawiłem, jak sędzę...

— O interesach, kochany, jutro — prokurator nie dał mu się wypowiedzieć do końca.

Czuł, drań, swoją przewagę. Rozpięty, nogi rozkraczone. W tym hotelowym pokoju niby u siebie w gabinecie.

I tak się rozejrzał leniwie po stole, po tych talerzach z resztkami jedzenia, kieliszkach, butelkach; wzrok zatrzymał na swoim haremie, na tych dwóch tak kontrastowo dobranych odaliskach.

— Co tu pieprzyć głupoty! — żwawo chwycił butelkę i napełnił kieliszki, nie roniąc ani kropli.

Ponieważ w tej trzeciej, ostatniej butelce wódki już pozostało niewiele, adwokat zobaczył w tym szansę rychłego zakoń-

czenia bankietu. Więc z pozorowaną ochotą podniósł swój kieliszek.

Po spełnieniu toastu prokurator Anioł przysunął się do czarnowłosej urzędniczki. Zapatrzył się w obfitość jej biustu. I zwinnie przeniósł się na tapczan do swojej bogdanki. Dłoń obsunęła mu się na kolana dziewczyny. Powędrowała po udach.

Zaczynał się lepki, pijacki erotikon. Tak ten obrazek zarejestrował adwokat M. I jak to bywa zazwyczaj w takiej fazie libacji, posypały się sprosne dowcipy. W tej specjalności również celował prokurator. Z niebywałą swadą rzucał dowcip za dowcipem, przy gorącym aplauzie swych urzędniczek.

Z tej plugawej obfitości adwokat M. zdołał zapamiętać opowieść o znamionach autentyzmu. Było to zdarzenie, którego bohaterem był pewien kryminalista, przebywający w szpitalu. Zalecał się tam do ładnej pielęgniarki, niedawno zatrudnionej i niezbyt jeszcze obytej ze specyfiką tego miejsca. Kryminalista wyrażał coraz śmielej swoje pożądanie. Posunął się do namiętych oświadczeń i chęci ożenku.

— To już wołałabym z diabłem! — zareagowała gwałtownym protestem pielęgniarka.

— A co, to diabeł ma lepszego chuja niż ja? — odparł natychmiast ten beczelny wyrokowiec.

Najbardziej zaśmiewała się ta senna madonna. Jej piękne, niebieskie oczy wezbrały od łez.

— Diabeł — powtarzała swoim płaskim, bezdźwięcznym głosem. — Tak powiedział?

A potem prokurator wojewódzki wypił jeszcze jeden kieliszek i nastąpił przełom. Są takie przełomowe kieliszki. Przestał mówić. Zajął się wyłącznie czarnowłosą dziewczyną. Bełkotał i tulił się do jej rozłożystego ciała. Sprośny cap. Tak wyglądał. Miętosił jej piersi, łapę wepchnął za pasek dżinsów. Ciężko mu szło w tej ciasnocie spodni z twardego płótna, obciskających ciało dziewczyny. Rozpinał suwak. Z głową utopioną w piersiach dziewczyny sapał i charczał.

Jeszcze raz tylko uniósł głowę i zbełtany od żądzы wzrok wlepił w adwokata M. Uczynił ręką charakterystyczny gest. W sposób oczywisty zapraszał go do zajęcia się tą drugą urzędniczką.

Dość miał adwokat M. tego odrażającego widowiska. Zaproszenie do aktywnego w nim udziału przebrało ostatecznie miarę. Gwałtownie odsunął krzesło.

— Pani zapewne bardzo znużona? — stojąc zwrócił się

uprzejmym, lodowatym głosem do tej blond madonny. — Jutro rano do pracy, prawda?

Ona bez szczególnego zainteresowania obserwowała erotyczne zapasy zwierzchnika z koleżanką.

— Jeżeli można... — dodał — to odprowadzę panią.

Chwilę patrzyła na niego tymi pięknymi oczyma bez wyrazu, jakby nie rozumiejąc, o czym mówi. Wreszcie wstała.

Tamci dwoje, zajęci już bez reszty sobą, nie zwrócili uwagi na ich wyjście.

Postój taksówek znajdował się w pobliżu hotelu. Stanęli w ciemności skąpo oświetlonej reflektorem ze strzeżonego parkingu. Adwokat M. próbował prowadzić z dziewczyną grzeczną konwersację.

— Daleko pani mieszka?

— W tych nowych blokach na Żukowie — odpowiedziała.

Nic mu ta informacja nie wyjaśniła, ale skinął głową i rzekł z powagą: — Ach, tak!

Była zupełnie bez życia. Dawała się powodować niby przedmiot. Można przypuszczać, że bezwolnie zgodziłaby się na damsko-męskie igraszki w pokoju. Z hotelu wytoczyli się jacyś pijacy. Wrzeszczeli. Dobiegły przekleństwa.

— Jasiu, gdzie twój wózek? — ktoś powtarzał. Powędrowali. Minęli postój.

Dokuczliwie bolała go głowa. Skupił się jednak, próbując znaleźć jakiś temat do rozmowy.

— Czy panią interesuje prawo?

Akurat nadjechała taksówka. Szybko otworzył tylne drzwi.

— Dziękuję za miły wieczór — pocałował ją w chłodną, lekko spoconą dłoń.

— Do Żukowa — polecił kierowcy, wręczając mu trzy setkowe banknoty.

Dostrzegł w jego oczach zaskoczenie. Na pewno przesadził z zapłatą. Energicznie zatrzęsął drzwiami, zwolniony wreszcie z tego uciążliwego obowiązku. W tym ostatnim momencie wydało mu się jeszcze, że ta śliczna dziewczyna uśmiechnęła się wzgardliwie. Wyśmiewa mężczyznę. Bóg wie co sobie o nim myśli. Dla niej taki facet to kastrat, eunuch po prostu.

Poczuł się rozdrażniony. Przez pewien czas krążył wokół hotelu. Pustka i cisza. W kilku tylko światło. Pewnie trwają tam ostatnie libacje. Może przejść się po mieście. Ale ulica prowadząca do centrum nie wyglądała zachęcająco. Ledwie kilka latarni oświetlało drogę. Ciszę rozdarła syrena. Milicja lub pogotowie. Przeszywający dźwięk. Wrócił do hotelu. Drzwi wejścio-

we zamknięte. Dopiero po natarczywym łomotaniu pokazał się zaspany portier.

— Dancing już skończony — wybełkotał, świdrując go zapitymi oczyma.

— Jestem gościem hotelowym — słowa te poparł garścią bilonu.

Wtedy został wpuszczony.

Na piętrze przed swoim pokojem zatrzymał się raptownie. Dobiegał stamtąd przeraźliwy kwik. Połyszał kobiecy głos. Rozróżniał pojedyncze, urywane słowa.

— Jezu! Jezuniu! O, tak! Tak! Dobrze! Dooobrze! Następnie kaskada nieartykułowanych dźwięków i pomruków. Przetrzęsnał kieszenie. Jednak papierosy zostawił w pokoju.

Odszedł. Przechadzał się po korytarzu. Ponownie zbliżył się do drzwi swego pokoju. Cisza. Może zasnęł? Ostrożnie nacisnął klamkę. Bezszelestnie wsunął się do miniaturowego przedpokoju. Stąd ich zobaczył. Leżeli na jego tapeczanie. Spod kołdry wystawały nogi Anioła w zsuniętych do kolan spodniach. Kruce włosy dziewczyny zasłaniały mu twarz.

Żywiółowo nie znosił takich odstępów. Godziły w jego starannie przestrzegane poczucie powściągliwości i dyskrecji w sprawach osobistych.

Tak stał w przedpokoju i był bezradny.

Ci dwoje na tapeczanie i stół z bałaganem po pijatyce: poprzewracane kieliszki, niedopałki na talerzach, puszki z resztkami sardynek. Smród tytoniu, wyziewy alkoholu i czegoś jeszcze. Nieład, ohyda.

Co uczynić z resztą nocy? Po namyśle ulokował się w łazience. Przekręcił zatrask. Napuścił do wanny wody. Wśród swoich kosmetyków znalazł płyn do kąpieli o lawendowym zapachu. Dolał obficie. Rozebrał się i zanurzył w ciepłej, pachnącej przyjemnie wodzie. Zmywał z siebie brud libacji. Długo leżał w wannie. Woda już wystygła. Sprawdził ręczniki. Jeden był nieużywany. Tym się wytarł. Ubrał się z powrotem, nie zapominając o zmianie koszuli. Usiadł na sedesie. Z pokoju dochodziło chrapanie. Chrapali na dwa głosy. Ona i on.

Łazienka była ostatnim bastionem. Opadła mu głowa.

Zadrzemał. Drzemka wydała mu się krótka jak mgnienie. Toteż zdziwił się, spojrzawszy na zegarek. W tej okropnej, ośmieszającej pozycji na pokrywie sedesu spał prawie godzinę. Gorycz w ustach. Piasek w oczach. Przemył twarz nad umywalką. Miał zmęczone, podkrążone sinizną oczy. Zarost brudno poznańczył mu policzki. Na brodzie wystąpiła siwa szczecina.

Wykrzywił się w grymasie niechęci do odbicia swojej twarzy w lustrze. Postanowił się ogolić. Wyciągnął z torebki elektryczną maszynkę typu Braun. Wtedy tamci zbudzili się gwałtownie. Dyskretnie uchylił drzwi i nadśluchiwał.

— Co? Kto? — nieprzytomny głos Anioła.

Długie ziewanie.

— Wstawaj! — to dziewczyna.

— A gdzie on? — Anioł ciągle nieprzytomnym głosem.

— Wyszedł odprowadzić Jadźkę.

— To on z nią nie? — pełne zdziwienie w głosie Anioła.

— Skąd!

— Nic sobie nie pociupciał? Co za dziwak!

Skrzyp sprężyn w tapczanie. Przeciągły jęk. Chyba wstał. Łoskot. Coś potrącił.

— A czy aby uważałeś? — pełen niepokoju głos dziewczyny. — Bo jak nie, to możemy mieć dzidziusia.

Nieokreślony pomruk Anioła.

— Uważałeś?

— Skąd mogę wiedzieć! — wybuchnął.

Adwokat M. zrezygnował z golenia. I zaraz pełen wyższości, przecież wymyty, czysto ubrany i trzeźwy, stanął w progu pokoju. Patrzył z mściwą satysfakcją. Oni siedzieli na tapczanie. Dziewczyna owinięta prześcieradłem. Prokurator wciągnął już spodnie i najwyraźniej nie wiedział co czynić dalej.

W mętym świetle rodzącego się dnia był to odpychający widok. Dwoje zdewastowanych ludzi. Kobieta i mężczyzna. Oboje odrażający w swoim obnażeniu. Wymięci i brzydey; nieświeżość wprost buchała od nich.

— Drogi panie prokuratorze... — zaczął adwokat M., odwracając od nich oczy

— Mów mi Kazik... — stęknął tamten.

Stropiony nieco tą propozycją, zapowiedział wizytę w jego urzędzie o godzinie 9-ej. Anioł pokiwał głową i znowu zajęczał. Więc jeszcze raz powtórzył, że przybędzie o 9 rano w urzędowej sprawie, dotyczącej klienta. Mówił wolno i dobitnie, pragnąc wbić te słowa w zmącony umysł prokuratora.

Czarnowłosa dziewczyna nie krępując się jego obecnością, poczęła wciągać rajstopy na swe potężne nogi. Całkiem bezwstydnie podrapała się pod pachą, porośniętą skudloną kępą włosów.

Z trudem zdobywszy się na lekki ton, nadmienił, że oczekuje na rychłe opuszczenie przez nich pokoju.

— Też pragnę skorzystać z tapczanu — dodał z przekąsem.

Wycofał się do łazienki. To pomieszczenie było przecież ostatnim jego bastionem. Tu wyczekiwał, aż oni ubiorą się i zwolnią wreszcie pokój. Zdecydowanie postanowił nie wpuszczać ich do łazienki. Nawet w najpilniejszej potrzebie. Niech korzystają z ubikacji w korytarzu.

Posłyszał kilkakrotnie wymówione przez Anioła słowo „kurwa”. W słabej, bezradnej intonacji. Brzęk szkła. Może szukał wódki?

Trzasnęły drzwi. Poszli sobie.

Wtedy wrócił do pokoju.

Kołdra leżała na podłodze i od razu zauważył mokre plamy na prześcieradle. Cofnął się od tapczanu.

— Uważał — powiedział z nienawiścią.

Nie mógł patrzeć na to splugawione wnętrze. Przypominało spelunkę najgorszego rzędu.

Z korytarza sprowadził sprzątaczkę. Była to starsza kobieta o wyglądzie matrony. Stała się podpierając się szczytką i uśmiechnęła się domyślnie. Obdarzył ją hojną zapłatą z góry i polecił staranne doprowadzenie pokoju do porządku, zaznaczając z naciskiem, by zmieniła pościel.

Wydawszy dyspozycje, zabrał się do golenia. Twarz ciągle miał wymiętą i sine podkowy pod oczyma. Natarł policzki wodą kolońską. Namaścił się kremem.

Kiedy sprząatanie zostało już ukończone, powrócił do pokoju. Siadł na tapczanie, ponownie przykrytym białą, szeleszczącą pościelą. Włączył radio. Rozmowa działaczy. Jeden reprezentował partię. Drugi nowe związki zawodowe. Odpowiadali na pytania dziennikarza. Ich język!

Partyjny mówił o jakiejś ważnej uchwale ostatniego plenum KC.

— Bardzo zadaniowa — podkreślał z naciskiem — bardzo zadaniowa...

Związkowiec zaś oświadczył: — Działamy przedmiotowo. Wiele tematów już mamy zawiązanych...

Wyłączył tych bełkociarzy. Język, którym się posługiwali zaśmiecał umysł. Dla kontrastu uczynił sobie swoiste repetytorium z przysłów i sentencji łacińskich, dotyczących prawa. Wiele jeszcze pamiętał. Niektóre rzeczywiście wspaniałe. Klarowność, zwięzłość i precyzja! Starzy obrońcy używali dawniej tych łacińskich perełek dla inkrustacji swych wystąpień przed sądem. Teraz to zdobnictwo zupełnie zanikło. Roześmiał się, wyobrażając sobie twarz tutejszego prokuratora, wysłuchującego cytatu z Cycerona.

Z wielości tych przypomnianych jedna szczególnie go zaabsorbowała. „Accusare nemo se debet” (Nikt nie musi oskarżać samego siebie). Powtórzył je kilkakrotnie półgłosem. Nie wiadomo dlaczego pomyślał o sobie.

Spać mu się już nie chciało. Udał się do hotelowej kawiarni. Był tam pierwszym gościem. Zamówił dużą czarną i dwa jajka po wiedeńsku. Jednak jeść nie mógł. Czuł niesmak w ustach i bolała go głowa. Toteż zażył tabletkę przeciwbólową, zapijając wodą mineralną.

Wodził znużonym spojrzeniem po pustej jeszcze sali, ozdobionej na ścianach jaskrawymi, abstrakcyjnymi malowidłami. Z sufitu zwisały sopłami pretensjonalne żyrandole, imitujące dawny styl.

Przybył punktualnie o 9-ej. Drzwi gabinetu były otwarte na oścież. Te dwie dziewczyny, urzędujące w sekretariacie, wymalowane i rześkie, patrzyły z ciekawością w głąb dużego pokoju. Przed sobą na stole miały szklanki z kawą, przykryte spodeczkami. Na adwokata M. nie zwróciły najmniejszej uwagi.

Prokurator Anioł właściwie leżał na biurku. Nad nim pochylał się korpulentny mężczyzna w sędziowskiej todze.

— Wstawaj! — potrząsał go energicznie za ramię. — Wstawaj!

Anioł nie reagował wcale. Wreszcie z trudem uniósł głowę i popatrzył pustymi, przekrwionymi oczyma. Zaraz opadł na biurko.

Sędzia zerknął nerwowo na zegarek. Pochylił się nad prokuratorem, zabrzęczał mu złoty łańcuch, zawieszony na piersi.

— Do jasnej cholery! — zniecierpliwił się. — Człowieku!! Masz pierwszą rozprawę z wokandy!

Na widok adwokata M. zmieszał się wyraźnie. Cofnął się o krok i poprawił łańcuch.

Prokurator Anioł dzwignął głowę. Przez chwilę nie poznawał przybysza. Coś jak cień uśmiechu wykrzywiło jego zmęczoną, zarośniętą twarz.

— Przyjacielu — powiedział i próbował wstać. Jednak zrezygnował, tylko oburącz chwycił się za głowę, obmacał ją delikatnie, jakby szukając jakichś pęknięć. — Przyjacielu... — powtórzył i wlepił błagalny wzrok w adwokata M. Trzęsącą się ręką, zimną jak u topielca, chwycił jego dłoń.

Ten wzdygnął się od tego przenikającego dotyku.

— Anioł! — wykrzyknął sędzia. — Czy zdajesz sobie sprawę? Już kwadrans po czasie!

Prokurator zamrugał oczyma. Wysiłek zmarszczył mu czoło. Pokiwał apatycznie głową.

— Musisz odroczyć... — mówił powoli, każde słowo kosztowało go sporo wysiłku. — Nie ma innej rady...

Sędzia podbiegł do okna. Od okna takim samym truchtem do biurka. Sprawiał wrażenie zupełnego bezradnego. Średniego wieku; twarz miał szeroką, pospolitą, jasne włosy zaczesane w staranny przedziałek.

— Gdzie tak zabradziażyłeś? — zapytał. — Zośka dzwoniła na pogotowie. Chciała na milicję, ale jej odradziłem.

— Nie mów mi o tej zdzirze! — wybuchnął Anioł. — Z nią już koniec! Wnoszę o rozwód!

Sędzia zatrzymał się raptownie. Obejrzał się za siebie. Patrzył do sekretariatu. Te dwie urzędniczki wyglądały teraz na bardzo zajęte pilną pracą biurową.

Ocknął się i coś pomrukując, wybiegł niby bomba z gabinetu.

— Piła — Anioł odetchnął z ulgą. — Ale niezły chłop. Odroczy.

Opadł na biurko. Tak wypoczywał dłuższy czas. W sekretariacie rozdzwonił się telefon. Zaraz stanowczy, oficjalny głos tej czarnowłosej: — Nie ma. Niestety. Musiał służbowo... — Ściszyła głos. Prokurator podniósł się ostrożnie. Stał, chwiejąc się i wspierając o biurko.

— Przyjacielu — powiedział z patosem. — Przybyłeś w samą porę.

Postąpił dwa niepewne kroki i uchwycił się ramienia adwokata.

— Masz wóz? — zapytał.

Adwokat przytaknął. Samochodem podjechał pod sąd. Poinstalował bowiem od razu wracać do Warszawy. Rano miał jeszcze zamiar przespać się w hotelu do południa. Jednak zmienił plany. Chciał jak najprędzej wyjechać stąd i z niecierpliwością myślał o odpoczynku we własnym mieszkaniu.

— To jedziemy! — rzekł Anioł z nagłą energią. Pociągnął za sobą zdezorientowanego adwokata M. W sekretariacie zatrzymał się jeszcze na chwilę.

— W razie czego, to wiesz, co masz mówić? — zwrócił się do czarnowłosej.

Przytaknęła z powagą. Doświadczona sekretarka. W lot odczytywała wszystkie intencje szefa. Była umalowana i ufrызowana starannie, fioletowy tusz na powiekach, malinowe usta, ani śladu nocy na jej twarzy; zmieniła wczorajszy różowy swe-

terek na równie jaskrawy szafir, kolumny nóg tak samo jak wczoraj obciskały dżinsy.

Natomiast tę drugą, jasnowłosą i smukłą adwokat M. starranie ominął spojrzeniem.

— A gdyby Zośka coś wypytywała... — prokurator Anioł tańczącymi palcami próbował poprawić krawat — ...to sama wiesz! — Był to osobliwy trzepot rąk. Zrezygnował z próby zawiązania krawata. Mocniej chwycił ramię adwokata i wspierając się o niego ciężko, skierował się do drzwi.

Na korytarzu skrył się za wyniosłą postacią swego towarzysza. Wyszli bocznym wyjściem. Były takie schody awaryjne i wtedy wydostali się na ulicę.

— No, — Anioł ucieszył się jak szczur, któremu udało się wydobyć z pułapki.

Odetchnął głęboko. Światło tego słonecznego dnia jeszcze bardziej obnażyło jego przybrudzoną koszulę, szarawą twarz, porośniętą rzadkim zarostem i zaczerwienione oczy. Mrugał nimi bezradnie, oślepiiony słońcem.

— Golf — zauważył wsiadając do samochodu. — Niezły wózek. Zasuwasz! — polecił niecierpliwie.

Ruszyli. Szef prokuratury rzucał krótkie wskazówki.

— Na lewo! Tędy! Tam!

Znaleźli się w okolicy, gdzie powstawało nowe osiedle jednokowych, czteropiętrowych domów. Niektóre już zamieszkałe. Inne w stanie surowym. Pochylały się nad nimi dźwigi.

— Teraz tędy — pokazał drogę Anioł.

Adwokat M. skrzył się posłusznie w drogę z wykopanymi po dwóch jej stronach rowami. Dopiero ze znacznym opóźnieniem uzmysłowił sobie, że minęli znak drogowy zamykający przejazd. Zaczął gwałtownie hamować. Chciał zawracać.

— Jedź — polecił Anioł. — Od tej chwili jesteś pojazdem służbowym i możesz włączyć syrenę! — Pogrzebał w kieszeniach. Wyciągnął legitymację w czarnej oprawie.

I tak jechali tą rozkopaną ulicą, wymijając ustawione w poprzek płoty, malowane w czerwono-białe pasy.

Po dwóch stronach na poboczu jezdni pracowali robotnicy w pomarańczowych kurtkach. Odwracali się za nimi.

— Nie bój się nic — powiedział Anioł. — Nieraz miewałem nagłe wyjazdy, wizje lokalne czy coś... Zawsze się tak jeździło.

Znaleźli się w pobliżu jakiejś fabryki czy wielkiego magazynu. Był to rozległy teren, ogrodzony płotem z wysokiej siatki na podmurówce.

Tam za siatką piętrzyły się składowiska płyt, blach, rur, zwojów drutu, hałdy żwiru i piasku, kadzie z wapnem, betonowe cylindry; wśród tego chaosu wyrastała okazała hala z prefabrykatów, pozbawiona dachu, obudowana metalowymi prętami rusztowania. Wyglądało to wszystko na zamarłą budowę. Przystanęli przed bramą, nad którą czerwieniał stary, wypłowiały transparent pozbawiony hasła, a niżej tablica z napisem — „Kablobeton”.

Adwokat M. (już zirytowany tą rolą kierowcy) zahamował dosyć gwałtownie i samochód jak rumak został osadzony efektownie w miejscu. Anioł rzucony siłą bezwładu do przodu i w tył, zajączał przeciągle; musiały się odezwać jego sfatygowane organy.

Za siatką biegał wielki, kudłaty pies, szczekając zajadłe i skacząc. Z budy po lewej stronie bramy wynurzył się stary człowiek. Zdjął czapkę i tak stał jak wieśniak witający gości przed swym obejściem. Anioł wychylił się z samochodu. Stary kopniakami wpędził wielkiego psa do ogrodzenia z desek, przypominającego klatkę. Dopiero po tym otworzył bramę. Wjechali na teren budowy.

Anioł dziarsko wyskoczył z samochodu. Stary pokłonił się jeszcze raz.

Kudłaty pies kłębił się w klatce z dziką furią. Deski ugiwały się i trzeszczały pod naporem jego cielska.

Stary otworzył drzwi swojej stróżówki i zaprosił ich szerokim gestem.

— Czym chata bogata — zabełkotał.

Pies rozszczekał się ze spotęgowaną zajadłością. Adwokat M. obejrzał się odruchowo.

— Syberyjski wilk. Dobry, ostry... — roześmiał się stary i kopnął w klatkę. Zabrzmiał stamtąd krwiożerczy bulgot. — Nie dopuści nikogo. A najbardziej to zawzięty na mundurowych. Już go pan sierżant, dzielnicowy znaczy, chciał zastrzelić... — umiejętnie dwoma palcami ścisnął nos i wysmarkał się na ziemię. — A przecież szczepiony, rejestrowany, wszystkie papiery w porządku... — Jeszcze chciał mówić. Ale Anioł przerwał mu gniewnym pomrukiem.

Drzwi do stróżówki były na niską miarę i adwokat M. wchodząc musiał pochylić głowę.

Znaleźli się w małej klitce, typowym pomieszczeniu stróża budowy. Piecyk z blaszaną rurą, żelazne wyрко, pokryte jakimś łachami i szeroka deska — ustawiona na skrzynkach, służąca jako stół. Ścianę ozdabiały dwa portrety. Podobizna mar-

szałka Piłsudskiego za szkłem w złożonych ramkach i wielki plakat z wąsatym Wałęsą, wznoszącym ręce do powitania tłumu.

Adwokat M. nie potrafił opanować zaskoczenia na widok tej osobliwej dekoracji. W tym brudnym, meliniarskim wnętrzu te dwie podobizny!

— Głupi stary — rzekł Anioł. — Tak się obwiesił. Już były na niego donosy.

— A tego marszałka — stróż patrzył z lubością na portret w złożonych ramkach — to od jednego za flaszkę. — Był zarośnięty, niechłujny, w wojskowej kurtce z zielonego sukna i gu-miakach.

— Te kace — stęknął Anioł. — Coraz gorsze... Dziadek! No! Na co czekasz?

— Tak jest, panie naczelniku — odparł stróż. Poczłapał w kącie i tam spod szmat, drzewa, papierów i węglowego miału, stosem zalegających przy piecyku, wygrzebał butelkę z resztką mętnego płynu.

Pierwsze iskry życia pojawiły się w martwych dotąd oczach Anioła. Chwycił butelkę. Pić zaczął łapczywie. Grdyka chodziła mu pracowicie.

Był to wizerunek człowieka zniewolonego. Adwokat M. odczuł swoistą satysfakcję.

Opróżnił flaszkę w szybkim tempie. Różowość wstąpiła na jego szare, bezkrwiste policzki. Wygodnie rozsiadł się na wyrku. Popatrzył badawczo na adwokata M.

— Nie myśl o mnie źle — odezwał się łagodnie.

Czyżby wyczytał z jego twarzy te wszystkie uczucia, które dosyć gwałtownie opadły go tego poranka?

— Skąd! — zaprzeczył.

— Są jeszcze gorsi ode mnie — powiedział Anioł. — Prawda, dziadek?

Stróż zamlaskał bezzębnymi dziąskami.

— Ludzie to są kurwy! — rzekł z przekonaniem.

— Kurwy — podjął Anioł. — Ilu jest takich! Ja przy nich to łagodna owieczka — poklepał starego po plecach. — Uważaj dziadek, żeby ci monopolu nie nakryli.

— Że co? — nie dosłyszał stróż. Stał w pozie pańszczyźnianego chłopca, zgięty w pół. Oczy miał świecące i chytre, jak niedźwiedź.

— No, dosyć tej gadaniny — rzekł ostro Anioł — *Ad rem!* — trącił butem pustą butelkę, poturlała się pod wyrko. — Potrzeba mi więcej!

— Dopiru zacier nastawiłem, panie naczelniku — stróż rozłożył wymownie ręce.

— Musi być flaszka — powiedział z naciskiem Anioł.

Stróż wyglądał na bezradnego. Wzdychał. I tak nie prze-
stając wzdychać, opuścił stróżówkę.

Prokurator wygrzebał z kieszeni zmiętą paczkę Ekstra-Moc-
nych. Zapalił. Od tego pierwszego dymu oczy wylazły mu z orbit,
długo charczał i rzeził.

— Dochodzę do siebie... — wykrztusił z trudem. — Zmar-
twychwstanie!

Palić jednak nie mógł. Rzucił papierosa na podłogę i roz-
deptał.

Wkrótce powrócił stróż. Zza pazuchy wyciągnął butelkę,
pełną mętnego płynu.

— Sam sobie od ust odjąłem — uśmiechnął się przebiegle.

— Wyjątkowo dla pana naczelnika.

Anioł owinał butelkę w gazetę. Umieścił ją za paskiem spod-
ni. Przykrył marynarką. Następnie wetknął w dłoń stróża kilka
setkowych banknotów.

— Co też, pan naczelnik — krygował się stary. Ale jego
powykrzywiana, reumatyczna łapa zacisnęła się na papierkach.

— Mogę przystąpić do obowiązków — Anioł spojrzał na
zegarek. Wstał z wyrka.

Ruszyli do samochodu. Stróż odprowadził ich przed bramę.
Pokłonił się w pas. Wilczur, uwięziony w klatce, rozszczękał się
na pożegnanie. Prokurator Anioł nie dygotał już i przestał poję-
kiwać. Ponadto nie ponaglał swego kierowcy do szybkiej jazdy.

Tym razem jednak adwokat M. ruszył z kopyta i przestały
go zupełnie interesować przepisy o ograniczeniu szybkości w
teren zabudowanym.

— Jestem przecież pojazdem służbowym — powiedział iro-
nicznie.

— Co mówisz? — nie dosłyszał Anioł. Pochwalił jazdę: —
Dobrze ciągnie ten Golf. Ma przyspieszenie!

Następnie kładąc przyjacielsko dłoń na kolanie adwokata,
zapytał: — Czemu nie chciałeś sobie... To bardzo przyjemna
dziewucha. Ogień pod nożem!

Jego aż zatkąło to chamskie pytanie i jedynie zdołał zabeł-
kotać w sposób nieartykułowany. Nieomal zderzyłby się z furgo-
netką, która wyłoniła się w tym samym momencie z bocznej
ulicy. Ledwo zdążył zahamować. Kierowca wychylił się z furgo-
netki i pogroził pięścią. Bluznął przekleństwami.

Adwokat M. długo jeszcze kipiał z upokorzenia i kiedy tylko

znaleźli się z powrotem w gabinecie szefa prokuratury, bez najmniejszej dyplomacji postawił to zasadnicze pytanie w kwestii zmiany środka zapobiegawczego dla swego klienta.

Spełnić swój obowiązek i uciec stąd. Tylko o tym marzył.

Na biurku położył zwięzły wniosek merytoryczny, zajmujący niespełna stronę maszynopisu. Był przygotowany na odmowę. Dołożył jeszcze odpowiednie zaświadczenia i opinie.

Anioł wysłuchiwał jego uzasadnienia spokojnie, właściwie bez żadnej reakcji. Głowę miał opuszczoną i dłonie zaplecione na brzuchu. Może w ogóle nie słuchał? Zapadło milczenie. Anioł siedział długą chwilę bez ruchu, potem wstał i dosyć żwawym krokiem udał się do sekretariatu. Stamtąd zaraz począł dochodzić energiczny stukot maszyny do pisania.

Szuflada biurka była uchylona i adwokat M. unosząc swą długą postać z krzesła, zapuścił tam sondujące spojrzenie. Pistoletu nie zobaczył. Może został przykryty aktami lub przeniesiony do metalowej szafy, która stała pod ścianą.

Skrzypnęły drzwi. Wrócił prokurator Anioł. Trzymał w dłoni papiery. Były to dwa dokumenty. Urzędowy blankiet, opatrzony pieczęciami i jego zamasztysem podpisem. Oraz drugi mniejszy papier, będący skierowaniem do naczelnika więzienia z poleceniem zwolnienia tymczasowo aresztowanego.

— Przychyliłem się do wniosku mecenasa — podsunął mu niedbale dokumenty.

Zwalił się na fotel za biurkiem. Jednak był zmęczony. Nie-równy oddech i spocone czoło. Obwisł jak pęcherz, z którego uchodzić zaczęło powietrze.

Adwokat M. ostrożnie trzymał w dłoni te prokuratorskie glejty dotyczące jego klienta. Był zaskoczony nieoczekiwanym sukcesem swych zabiegów. Anioł przyjrzał mu się z zainteresowaniem.

— Nie wierzysz? — zapytał ciepłym głosem; wstał i niezwykle szybko wybiegł zza biurka.

Postąpił krok, dwa i objął go oburącz w tak zwany „nie-dzwiedzi uścisk”. Adwokat M. po prostu osłupiał. Zaskoczony szybkością tego manewru, nie potrafił zdobyć się na żadną reakcję. Anioł zaś przychylił jego głowę do dołu mocnym szarpnięciem i pocałował go w usta.

— Polubiłem cię, chłopcze! — buchnął mu w twarz cuchnącym oddechem przetrawionej, wczorajszej wódki z domieszką dzisiejszego bimbrow i smrodem machorkowego tytoniu. — Widzisz — bełkotał — też jestem człowiekiem... Też potra-

fię iść na rękę... No, daj jeszcze dzioba! — I jeszcze raz jego mokre, gorące usta zetknęły się z ustami adwokata M.

Ten wreszcie ocknął się ze swojego stuporu. Wyrwał się gwałtownie z objąć Anioła.

— Do widzenia — wymamrotał, ciągle jeszcze oszołomiony tym pocałunkiem.

Uciekł z prokuratorskiego gabinetu.

— Jak będę w Warszawie, to przedzwonię do ciebie — dobiegł go już w sekretariacie głos Anioła.

Wybiegł na korytarz.

Ten pocałunek czuł jak truciznę. Przeniknął go do głębi i wypełnił czymś ohydnie obezwładniającym. Prześladowało go poczucie jakiejś nagle odkrytej więzi z prokuratorem. Oni razem. Tacy sami. Usta w usta. Czuł w sobie jad Anioła. Także własny jad. Te dwa jady... Jeszcze na schodach sądowego gmachu pluł i wycierał usta chusteczką. Pluł i pluł. Czym zabić ten trujący smak? Marlboro, fajka marki Dunhill wypełniona figową Amforą, wanna z wodą o zapachu lawendy lub nawet kieliszek koniaku. Rozwahał wszystkie te warianty odkażenia i naraz przyspieszył kroku i skulił się jak smagnięty biczem. Wydało mu się bowiem, że słyszy za plecami chrypliwy, triumfalny chichot Anioła.

Czym prędzej do samochodu.

ŚWIADEK

Większość sytuacji i obrazów w tym opowiadaniu należy do sfery fikcji literackiej, choć zostało ono oparte na atmosferze konkretnego procesu sądowego toczącego się w Warszawie. Mianowicie procesu b. prezesa komitetu do spraw Radia i Telewizji, Macieja Szczepańskiego. Jednak nie należy traktować tego opowiadania jako tzw. literatury faktu.

Świadek jest wolny — wypowiedział bezbarwnym, spokojnym głosem tę stereotypową formułę.

Ale ci, którzy lepiej go znali, unieśli głowy znad stołu i popatrzyli w jego stronę.

Tak uczynił ławnik, starszy, kulturalny pan, w tym samym wieku co on zapewne; zaraz dyskretnie przymknął powieki.

Również protokolantka, jasnowłosa dziewczyna, zastygła z długopisem uniesionym nad papierem.

Dwaj młodzi obrońcy, powołani z urzędu, nie mieli jeszcze możliwości zapoznać się z jego reakcjami; dalej więc poszeptowali z oskarżonym.

Prokurator, przystojny brunet o upartej twarzy, zaprzestał na chwilę kartkowania swoich notatek, nie spojrział jednak w jego stronę.

Rzeczywiście był wzburzony. Ci, którzy obcowali z nim dłużej, rozpoznali ten stan jego ducha nieomylnie. Objawiało się to przede wszystkim szczególnie bezbarwnym, martwym głosem lub charakterystycznym zaciśnięciem palców na kartkach grubych tomów materiałów dowodowych, piętrzących się przed nim na stole. Tak też teraz uczynił. Pociągnął silnie za nieco wystającą z równej całości kartę tomu XXXV i naddał jej róg. Zaraz zre-

flektował się i schował te swoje kościste dłonie, pokryte brązowymi plamami pod blat stołu. Opanował już zewnętrzne objawy wzburzenia. Znow był jak zawsze. Nieprzenikniony.

Odprowadził obojętnym spojrzeniem (skrytym zresztą za grubymi szklami okularów) wysoką, barczystą postać mężczyzny, przesłuchanego w charakterze świadka. Zatrzymał nieco dłużej wzrok na jego szerokich, może zbyt obwisłych, ale wciąż jeszcze krzepkich plecach w nienagannie skrojonym garniturze niebieskiego, delikatnego koloru. Widział jego siwe, krótko przycięte włosy i fałdy na wygolonej, czerwonej szyi.

Na sali panowała cisza, przerywana ledwo słyszalnymi szepotami. Publiczności niewiele. Kilko dziennikarzy z zawodowego obowiązku. Jest ta mała, nerwowa (wiecznie się kręci i rozgląda z natrętną ciekawością) reporterka o pomarszczonej twarzy, nie to dziecka, ni liliputa. Ona tu przychodzi od początku i pisuje sprawozdania w jednym ze stołecznych tygodników. Drażni sędziego jej wścibstwo i wysoki, zaczepny ton głosu. Podczas przerw wielokrotnie próbowała wszcząć z nim rozmowę, lecz zbywał ją uprzejmymi zdawkowymi odpowiedziami.

Jeszcze z rzadka siedzą na ławkach jacyś przypadkowi ludzie. Być może wśród nich ktoś ze służby bezpieczeństwa. W szczególnie nudnych partiach wyjaśnień oskarżonego zabawiał się nawet w rozpoznawanie przedstawiciela tego resortu właśnie. Przy drzwiach rozsiadł się w niedbałej pozie brzuchaty adwokat z togą przewieszoną przez ramię, znany mu z kilku zawodowych spotkań.

Drzwi zamknęły się z przeciągłym skrzypieniem za świadkiem.

Stary woźny wyprężył się w pogotowiu, oczekując na dalsze polecenia.

A w nim, przewodniczącym kompletu orzekającego, rośło wzburzenie. To wzburzenie przechodziło w ciemny, zawzięty gniew.

Rzucił krótkie spojrzenie w stronę oskarżonego, mężczyzny w sile wieku, o twarzy, która niewiele straciła ze swej pewności i pychy niedawnego szefa środków masowego przekazu w tym kraju.

Była to twarz przeciętna (takich twarzy setki, tysiące) o wydatnych kościach policzkowych, nadmiernie mięsistych ustach, z lekko zadartym nosem i niezbyt okazałym czołem, ozdobionym lekko falującymi, jasnymi włosami uczesanymi w przedziałek. Popatrzył na niego bez zwykłej dotąd pobłażliwości. Gniew w nim osiągnął apogeum. Nawet miał zabarwienie sadystyczne.

Wyobraził sobie bowiem oskarżonego w trakcie wysłuchiwania wyroku. Jego dotychczasowy spokój i niezachwiana pewność swoich racji, przechodzące nagle w zaskoczenie, więcej!, zwyczajny, zwierzęcy strach i bezradność zarazem. Na tę grę wyobraźni mógł sobie śmiało pozwolić. Posiadała mocny, realistyczny fundament. Mógł przecież skorzystać z górnego pułapu ustalenia kodeksowego, wymierzając po prostu najwyższy wymiar kary. Mieć taką satysfakcję! Ostatnią satysfakcję przed emeryturą. Będąc sędzią o wieloletniej praktyce, człowiekiem doświadczonym i mądrym, zdawał sobie doskonale sprawę, iż taki najwyższy wymiar kary może rozgniewać jego przełożonych, prezesa sądu, dyrektora departamentu nadzoru, jak również tych anonimowych dyspozytorów urzędujących gdzieś w gabinetach najwyższych urzędów państwa.

Wtedy przejdzie więc na wcześniejszą emeryturę ze względu na stan zdrowia. W międzyczasie może nastąpić rewizja procesu na wniosek obrony lub interwencja nadzwyczajna spowodowana przez generalnego prokuratora, zmniejszenie kary, wnet potem warunkowe uwolnienie czy zgoła rehabilitacja niesłusznie skazanego. Możliwości jest dosyć wiele.

A może znając jego obiektywizm i niezależność celowo go oddelegowano do tej sprawy? Liczą na surowy wymiar kary. Będzie to padlina rzucona społeczeństwu na ofiarę i on ma spełnić rolę pozornego czyszciciela tej stajni Augiasza. Wszystko być może. Nie zdziwi się jednak weale, kiedy niebawem zobaczy człowieka przez siebie osądzonego na wiosennym spacerze w Parku Łazienkowskim, spoglądającego w zadumie na pływające po stawie łabędzie. Albo na przykład, żeby było pikantniej, przeczyta w gazecie o nominacjach nowych ambasadorów i wśród tych nazwisk będzie to szczególnie mu bliskie nazwisko.

Ale na lata emerytury, te lata spacerów po parku w porze południowej, karmienia kolorowych rybek w akwarium i medytacji o przeszłości, pozostanie ta mała, niewzruszona satysfakcja. Tak pomyślał zaciekle. I zaraz zdusił w sobie ten wątek o moralnie dwuznacznym zabarwieniu. Nie wolno mu ulegać emocjom z niskich pobudek. Święte zasady sędziowskiego dekalogu.

Równocześnie uporczywie dźwięczał mu w uszach ten rozwlekły głos, z prostackim akcentem zaznaczający sylaby w niewłaściwym miejscu. Głos ostatniego świadka, niegdyś I Sekretarza partii czyli władzy tego kraju, w którym przyszło mu żyć i wykonywać od wielu lat odpowiedzialny zawód sędziego. Tak przynajmniej dotąd uważał i sędziowski obowiązek traktował z

całą powagą, nie ulegając naciskom jak również nie awansując, choć kilkakrotnie w kuluarach mówiło się o jego przejściu do sądu najwyższego. Znał z bliska ludzi, którzy sprawowali kierownicze funkcje w jego resorcie. Choćby tych kilku kolejnych ministrów sprawiedliwości czy partyjnych nadzorców z odpowiedniego wydziału KC. Bywał na rozmaitych naradach, słuchał ich uważnie i obserwował. Swoje zdanie wyrażał bez ogródek, mając jedynie na względzie należytą wykładnię obowiązującego prawa.

A teraz miał przed oczyma tego wielkiego, zwalistego mężczyznę, który przed chwilą opuścił salę sądową. Widział jego twarz, oczy, bruzdy wzdłuż nosa, zmarszczki na czole. Słyszał jego głos.

I był w nim zawzięty gniew. Uczucie tak szkodliwe w prawidłowej i obiektywnej ocenie okoliczności procesowych. Nie mógł tego gniewu opanować. Dłonie zimne i lekko wilgotne. Schował pod blatem stołu. Tam zacisnął na kolanach.

Świadek pytany był na okoliczność prezentów. Tak. Właśnie prezentów. Oni, ci dysponenci majątku narodowego, jego inwestycji, budżetu, pożyczek z zagranicy, podatków, w ogóle wszystkiego, obdarowywali się nawzajem prezentami. Był to hierarchiczny rytuał. Obowiązywał od dołu do góry. Płynęły rozrzutnie szafowane miliony ze skarbu państwa.

Toteż przygotował sobie pytania dotyczące marnotrawstwa publicznego mienia i tych darów w szczególności. Oskarżony budował jachty, stawiał pałace w górach i nad morzem, operował funduszem reprezentacyjnym godnym maharadży czy jakiegoś nababa. Wypytywany w tej materii, odpowiadał głosem pełnym urazy i oburzenia człowieka nie nawykłego do tego typu indagacji. Nie lubił zresztą konkretnych pytań, przechodził najchętniej do rozważań natury ogólnej. Wtedy jego twarz krzepła w poczuciu ważności omawianych problemów i pomagał sobie krótkim, mocnym gestem dłoni. Aparat środków masowego przekazu, którym kierował winien nie tylko agitować, pouczać i wypełniać ludziom wolny czas, ale jeszcze oszałamiać rozmachem i przepychem swoich możliwości. Te wszystkie jachty, pałace, baseny, hostessy nie były jego własnością prywatną, pełniły niebagatelną rolę społeczną. W podtekście jego wypowiedzi kryło się też głębokie przekonanie, że tacy jak on i jemu podobni muszą się różnić zasadniczo od zwykłych zjadaczy chleba. Wykonują przecież odpowiedzialną misję, pracują dla społeczeństwa, służą idei, ustrojowi, celom nadrzędnym. Przewodniczący kompletu orzekającego o winie i karze słuchał tych ogólniko-

wych wypowiedzi, jakby żywcem wyjętych z obrad plenum KC, i co raz ze stoickim spokojem sprowadzał oskarżonego na przyziemną płaszczyznę konkretów. Tak uczynił ostatnim razem i zadał pytanie odnośnie komfortowej willi Lido, położonej na wysokim, morskim brzegu. Był to pałac, w którym nie bywali nigdy szeregowi pracownicy komitetu, jedynie prezes i zaproszeni przez niego goście. Oskarżony zawahał się chwilę, zajrzał do swoich papierów (miał już kilka grubych brulionów i bloków zapisanych gęstym maczkiem liter) zawierających notatki do odpierania zarzutów; odpowiedział płynnie i bez zająknienia.

Willą zbudowana została dla wszystkich. Jedynie w miesiącu lipcu przebywał sam ze swoim personelem osobistym, spodziewał się bowiem odwiedzin delegacji zagranicznych.

— Zresztą... — dodał zajrzawszy ponownie do swoich brulionów — kiedy budowano Lido, zapytywałem swego pierwszego zastępcę, czy będzie ona dostępna w celach czasowych dla wszystkich. Potwierdził jej przeznaczenie na wczasy pracowników. Dlatego więc wszystkie zarzuty mają charakter gołosłownych, demagogicznych insynuacji! — zakończył porywczo.

Sędzia podziękował oskarżonemu za wyjaśnienie.

Podczas tych 270 dni procesowych wielokrotnie już wysłuchiwał wypowiedzi, które miały się z tematem zapytania lub były wybuchami oburzenia człowieka nie przywykłego do zdawania sprawy ze swojej działalności nikomu poza I Sekretarzem. Zrazu go to drażniło i przywoływał oskarżonego do porządku. Później przestał zwracać uwagę na tę swoistą dewiację i przepełniało go jedynie znudzenie; często po prostu nie słuchał oskarżonego, uśpiony tym wyszkolonym na tysiącach narad i wieców głosem. Z nudy i uśpienia budziły go niekiedy bardziej osobiste, a więc odbiegające od ogólnikowej sztampy wyznania oskarżonego. Oto kiedyś opowiedział o swoim dzieciństwie i wczesnej młodości na Śląsku, stanowiącym podczas wojny integralną część Rzeszy Niemieckiej. Było to bardzo interesujące.

Innym znów razem mówił o rozległej działalności ubocznej komitetu. O rozmaitych wytwórniach kaset i magnetofonów, wydawnictwie i innych przedsiębiorstwach, nawet o świniaрни, która zaopatrywała stołówki komitetu w mięso. Sięgnął do przygotowanych notatek i podał milionowe sumy czystego zysku, odprowadzane do skarbu państwa przez podległe mu przedsiębiorstwa. Mówił następnie o swojej aktywności w sferze świadczeń socjalnych, opiece lekarskiej, stołówkach. Tu znów sięgnął do notatek i wymienił 165 tysięcy obiadów firmowych, 117 tysięcy obiadów na talony pracownicze i 97 tysięcy obiadów *à la*

carte, wydawanych w skali miesięcznej przez stołówki komitetu w całym kraju. Na koniec tego wystąpienia oskarżony wypowiedział się o telewizji kolorowej. On to przecież ją sprowadził, budując w szybkim tempie nowe studia, miał bowiem wizję telewizji przyszłościową, tak się wyraził; myślał o nieuchronnej konfrontacji ideologicznej w kosmosie, kiedy to zachód będzie nadawał swoje programy za pomocą satelitów.

I tym razem grzecznie podziękował oskarżonemu, świetnie panując nad swoim rozbawieniem.

Oskarżony usiadł na ławie i wytarł starannie chusteczką dłonie.

Sędzia zaś zagłębił się na czas jakiś w aktach sprawy. Liczyły one 142 tomy. Opanował jednak ten materiał dokładnie i poruszał się w nim bez trudności. Z łatwością znalazł odpowiedni *passus*. Były to ujawnione w toku kontroli NIK-u sumy z budżetu komitetu, przeznaczone na uroczystości związane z imieniami i urodzinami I Sekretarza. Sumy niebagatelne.

Tak działo się w ubiegłym tygodniu. I oto dziś w poniedziałek składają wyjaśnienia wezwani świadkowie.

Pierwszy stanął przy pulpicie przeznaczonym dla świadków ten rośli, wysokiego wzrostu mężczyzna, znany przedtem sędziemu tylko z wystąpień przekazywanych przez telewizję. Prezentowany uroczystość z okazji świąt państwowych, posiedzeń sejmów czy wizyt w rozmaitych stolicach świata, od Moskwy poczynając i na Paryżu kończąc. Miał go teraz w bezpośredniej bliskości przed stołem sędziowskim, okrytym zielonym suknem. Twarz nacechowana była godnością i poczuciem własnej wartości. Takim się wydał sędziemu na pierwszy rzut oka. Nawet ocenił to pozytywnie jako wyraz męskiej odporności. Czyli przez ten długi czas trzęsienia ziemi, osobistego upadku, kilkumiesięcznego internowania, komunikatów prasowych o jego odpowiedzialności za ruinę kraju, nawet złowrogich sugestii, że będzie postawiony w stan oskarżenia przed specjalnie w tym celu powołanym trybunałem stanu, a więc czas stanowiący dla niego nieoczekiwaną Golgotę — przeszedł przynajmniej zewnętrznie nad wyraz dobrze, krzepki i okazały. Przewodniczący składu orzekającego dla skupienia i uporządkowania myśli pochylił głowę i zaczął przerzucać karty wybranego przypadkiem tomu akt. Kartkował machinalnie, pytania dla świadka już miał uprzednio przygotowane. Wreszcie rozpoczął.

I tak zanurzył się w ten osobliwy świat uroczystości, hołdów, panegiryków, dziewczynek w strojach krakowskich z buketami kwiatów, wieśniaków podających na tacy chleb i sól,

delegacji składających wiernopoddane adresy i bogate podarunki. W ten duszny, przytłaczający świat drobiazgowo opracowanego ceremoniału, pełen uniżenia, obłudy i ściśle przestrzegane rytuału nawet min i gestów.

Pytania sędziego posiadały charakter lapidarny i rzeczowy. Dotyczyły srebrnego serwisu stołowego, nabytego w Holandii przez instytucję podległą oskarżonemu i przekazanego jako prezent urodzinowy I Sekretarzowi w takim i takim dniu, takiego i takiego roku. Następnie kucyka rasy ponny (angielskie, często spotykane w wyspiarskiej literaturze koniki dla dzieci lordów), podarowanego ulubionemu wnukowi I Sekretarza.

Jeszcze wystąpiły w tym długim, wieloczołowym pytaniu owoce południowe, przywożone specjalnym samolotem z Paryża czy Londynu na rocznicę ślubu obojga małżonków.

Nastąpiła pauza wypełniona napiętą, pełną oczekiwania ciszą na sali. Ta nieliczna publiczność, obrońcy, prokurator, ławnicy, jasnowłosa protokolantka, wszyscy oni zamienili się w słuch, tak łatwym sposobem biorąc udział w intymnym życiu najwyższych dostojników państwa.

Jedynie sędzia pozostał niewzruszony, obojętny, z twarzą jak gipsowy odlew.

Świadek głos miał rozwlekły, lekko nosowy, zdania budował niezgrabnie, w jego słownictwie zaś pokutowała niby balast nie do usunięcia specjalny żargon aparatu partyjnego. Przyznał z pewnym ociąganiem, że prezenty otrzymywał. Ale od razu przekazywał na cele społeczne. A to do domu rencisty, a to do szpitala czy sierocińca. Natomiast inne dary traktował jako przedmioty wypożyczone, choćby te obrazy ze szkoły holenderskiej, ozdabiające ściany salonu.

— Wyposażenie kuchni jednak... — sędzia zawahał się, nie użył słowa — pałac — powiedział zwyczajnie — ... w domu świadka pod Warszawą.

Świadek zachnął się i poczerwieniał.

— To nie był mój dom — odparł stanowczo — to był hotel Urzędowy Rady Ministrów, przeznaczony do mojego użytku na czas kadencji w Warszawie. Ja mieszkam w Katowicach... — podał bardzo dokładnie swój adres w tym mieście.

— A kucyk? — zapytał łagodnie sędzia.

— Kucyk... — powtórzył świadek, zamrugał powiekami. Dłonie wsparte o pulpit pokryte były nabrzmiałymi żyłami. Sędzia odczytał odpowiedni fragment wyjaśnień oskarżonego.

Świadek milczał. Tam w stronę ławy oskarżonych, gdzie w asyście dwóch milicjantów siedział wieloletni jego pupil, były

przewodniczący komitetu, nie spojrzął ani razu. Nieruchomo i uparcie utkwiał wzrok ponad sędzią na ścianie, wisiało tam godło państwowe. Pochylił się i poprosił o szklankę wody.

— Jestem sercowy — wyjaśnił przyciskając prawą dłoń do piersi.

Sędzia przypominał sobie jego przemówienie sprzed lat, kiedy to bezlitosnym, gniewnym głosem gromił robotników z Radomia i Ursusa, występujących przeciw podwyżkom cen żywności.

Teraz zaś przypominał mu do złudzenia tych wielu oskarżonych i świadków, których przesłuchiwał na tym miejscu w swojej wieloletniej praktyce. Tych rozmaitych prezesów, kierowników, dyrektorów, przyłapanych na nadużyciach i trzepoczących się jak ryby wyrzucone na piach.

Prośbę świadka spełniono.

Woźny przydreptał z karafką i szklanką. Ten stary woźny sądowy, przywykły do czołobitnego szacunku wobec przełożonych, patrzył z wyraźnym zdumieniem na człowieka, który niegdyś był na niebotycznym dla niego szczycie społecznej drabiny i nagle znalazł się w tym nieoczekiwanym miejscu przed stołem sędziowskim.

Świadek upił nieco wody ze szklanki. Odetchnął i powiedział podniesionym głosem. — Wszystko to jest nieporozumienie i pomówienie!

Wtedy przewodniczący kompletu orzekającego po raz pierwszy zacisnął palce na tej wystającej karcie tomu XXXV akt śledczych.

Ale jego gestu nikt jeszcze nie zauważył. Już nie unosząc głowy znad papierów, zadał ostatnie pytanie. Dotyczyło ono sobiepańskiej, nieczym niekontrolowanej władzy oskarżonego w podległym mu resorcie środków masowego przekazu.

— Czy świadek... — tak sformułował pytanie — wiedział o tym i czy to wszystko działo się przy jego aprobachie?

Świadek pomyślał dłuższą chwilę. Potarł siwe, przyszyzione na jeża włosy.

— Ja... — odpowiedział — niczego nie rozstrzygałem sam. No, wiecie, kolektyw... Wszystkie decyzje zapadały kolegialnie na instancji. Na instancji! — podkreślił z naciskiem.

Sędzia uniósł nieco głowę. Nie mógł powstrzymać się od rzucenia krótkiego spojrzenia na świadka. Zobaczył pot na jego czole, niepokój w oczach. Poprawia węzeł krawata pod szyją.

Znów skrył się za wielopiętrowym stosem akt jak za murem.

I wtedy powiedział martwym, bezbarwnym głosem: — Świadek jest wolny.

A ci, co go znali, spostrzegli jak bardzo jest wzburzony. I zamknęły się drzwi za świadkiem. I była cisza. „Lud wszedł do śródmieścia...” — uparcie błędziły w głowie sędziego słowa głośniego niegdyś poematu. Przecież oni wszyscy byli plebejscy. I co z tego? Na okiennym parapecie pojawiły się gołębie. Chrobotą pazurkami po blasze, gruchały. Ten ptasi hałas wyrwał sędziego z zamyślenia. Podniósł głowę. Dłonie nadal miał schowane pod stołem. Powiedział tym swoim charakterystycznym, pozbawionym wszelkich intonacji głosem: — Proszę przywołać świadka... — tu wymienił nazwisko człowieka, który był wieloletnim szefem ochrony osobistej I Sekretarza. Obecnie także sprawował nad nim pieczę.

Woźny przywołał następnego świadka.

Do sali rozpraw wszedł mężczyzna równie potężny co poprzedni. O ile jednak tamten był miękki w ruchach i ociężały, co wskazywało na nieruchawy raczej tryb życia i brak dbałości o kondycję fizyczną, to ten stanowił kwintesencję sprawności, siły i kociej sprężystości. Kroczył lekko i posuwicie, mimo wagi swego ciała. Zajął miejsce za pulpitem. Wysoki, w jasnym, luźnym garniturze, białej koszuli z wykładanym kołnierzem, głowę miał okrągłą i rzadkie, też krótkie włosy z rozległymi zazdami od czoła, a kwadratowa broda i wydatne szczęki znamiłowały upór i brutalność.

Stał na szeroko rozstawionych nogach, duże, owłosione dłonie splótł na brzuchu. Był spokojny i rozluźniony. Od razu rzucił okiem w stronę tej posępnej ławy po przeciwnej stronie, gdzie siedział oskarżony w asyście dwóch milicjantów. Coś niby życzliwy uśmiech pojawiło się na jego twarzy.

Musieli się znać zapewne.

Sędzia rozpoczął zadawanie wstępnych, rutynowych pytań. Nazwisko, wiek, zawód, uprzedził o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań, itp. Świadek od początku ery poprzedniego I Sekretarza był szefem jego ochrony osobistej. Wtedy kapitan, obecnie pułkownik. Lat liczył sobie pięćdziesiąt i ta odpowiedzialna opieka nad bezpieczeństwem najwyższych dostojników stanowiła jego zawód.

Odpowiadał na pytania donośnym głosem w rytmie przypominającym skandowanie wojskowych meldunków. Był to światowiec. Już przed wieloma laty jako młody porucznik w ekipie ochrony dawnego premiera zjeździł wiele stolic Europy i innych

kontynentów. Wszystkich, z wyjątkiem Australii, wyjaśnił rzeczowo.

Również później, będąc szefem ochrony osobistej I Sekretarza, wojaże stanowiły dla niego zwykłą delegację służbową. Fachowiec bez kompleksów. Na pewno pozbawiony był wątpliwości. Nie zastanawiał się nigdy nad sensem czy bezsensem rzeczywistości, w której przyszło mu żyć i pracować. Jego zajęcia zresztą nie pozwalały na głębsze refleksje. Żył czynnie niby zawodowy sportowiec, nie zaprzatając sobie głowy żadnym balastem. Ta świadomość biła z jego oczu. Ze spokojem i zarazem szacunkiem wytrzymywał spojrzenia sędziego. Odpowiedzi starał się dawać ściśle i wyczerpujące.

Toteż wkrótce sędzia począł penetrować szczególnie go interesującą materię prezentów i szafowanie mieniem społecznym dla celów osobistych.

Można było zauważyć pewne ożywienie na ławie po prawej stronie stołu sędziowskiego. Oskarżony podparł głowę łokciami i pilnie słuchał wyjaśnień świadka. Również dwaj podrzemujący milicjanci (jeden z czapką zsuniętą na oczy, drugi z głową wtuloną w ramiona) ocknęli się czujnie. Bogactwo i przepych możliwych tego świata ożywiły ich natychmiast. Tak już od początku procesu niby czułe sejsmografy reagowali na tę sferę życia.

Świadek też wiele podróżował po kraju.

Wybierali się w teren (tak powiedzieli) z okazji dożyneków, święta górnika czy hutnika, spustu surówki z pieca jakiejś tam huty czy oddania do użytku wielkiej hali sportowej. Mówiąc poruszał w takt słów prawą ręką i wtedy podzwaniała srebrna bransoleta na przegubie dłoni.

I tak niezauważalnie, nawet bez udziału sterujących pytań sędziego, wkroczył dziarsko w ten specyficzny obszar obowiązującego obyczaju, jakby żywcem wziętego z odległych czasów feudalizmu. Może nawet bawiły go te obyczaje. Na przykład kiedy byli w B. na plenum komitetu wojewódzkiego... Tu poczynił małą dygresję uzupełniającą: I Sekretarz darzył szczególną sympatią tamtejszego szefa partii, młodego, energicznego towarzysza, zresztą swego krajana. Toteż w B. podjęto ich uroczystiej niż gdzie indziej. I Sekretarz otrzymał komplet kryształowych pucharów z tamtejszej huty szkła, pięknych w kształcie i efektownie załamujących światło. Wdał się w drobiazgowy opis tych pucharów. Przewodniczący kompletu orzekającego upomniał go łagodnie, żeby nie odbiegał od *meritum* tematu. Świadek przeprosił i dodał jeszcze, iż sam otrzymał w podarunku wspaniale

inkrustowany srebrem kordelas myśliwski. Poluje. A tamtejszy sekretarz również był zamiłowanym myśliwym.

— Wspólnota zainteresowań! — oznajmił lekkim głosem, niby podczas towarzyskiej pogawędki.

Oczywiście był także jakiś gustowny upominek dla małżonki I Sekretarza. Niestety. Nie pamięta. Zafrasował się wyraźnie.

Przestępował z nogi na nogę, marszcząc czoło w wysiłku pamięci.

Przewodniczący kompletu orzekającego pocieszył go po ojcowsku. Może sobie śmiało ten szczegółów darować. Czuł szczerość w odpowiedziach tego świadka. Miał przecież wieloletnie doświadczenie w tym zakresie. Ta niewymuszona szczerość zaskonaowała go najbardziej. A świadek znów podziękował i sam (jeszcze nie zapytany przecież) przeszedł do następnej krajowej podróży. Chyba lubił ruch, podróże. Odpowiadała mu taka forma pracy. Tak mu głos żywo pulsował, kiedy zaczynał od słowa: — Pojechaliśmy... Tak! Właśnie używał liczby mnogiej. On i I Sekretarz. Tym razem pojechali na Śląsk. To było wielkie wydarzenie. Tam przecież przez wiele lat stał na czele komitetu wojewódzkiego I Sekretarz. Znów posypały się dary. I Sekretarz to, on tamto.

Sędzia słuchał nieuważnie. Ten ciąg podróży, hołdów i darów. Monotonnie powtarzający się motyw. Patrzył na świadka. Barczysty, sprawny fizycznie mężczyzna. Okaz. Musi dbać o tężyznę. Podnosi ciężary, biega i ćwiczy strzelanie do celu. Na pewno pod tą jasną, luźną marynarką nosi pistolet w otwartej kaburze na szelkach. Twarz ma prymitywną, ale sympatyczną.

Porównał go z poprzednim świadkiem. Kontrast wypadł niekorzystnie dla tamtego. Bo choć tamten był równie imponującej postawy mężczyzną, przybrał w oczach sędziego amorficzną, odrażającą postać, która pełźnie, wiję się i trzepocze.

Popatrzył na oskarżonego. Też wydał mu się antypatyczny. Te wydatne mięsiste usta człowieka lubiącego zmysłowe rozkosze... Na powrót skierował wzrok na stojącego przed stołem świadka.

Jego myśli poczęły krążyć po obrzeżach sprawy. O czym rozmawiał z I Sekretarzem u schyłku dnia po oficjalnych, sympatycznych przyjęciach? Jakie poznał słabości swego podopiecznego? Co o nim sądził zupełnie prywatnie? Przy kieliszku w gronie swoich kolegów też fachowców z branży? Co sądzi teraz? Takie błahostki zaprzętały mu głowę. Jakby *meritum* tej sprawy stawało się coraz mniej istotne. Dlaczego? Nagle zadał sobie to pytanie. Którędy biegnie droga do prawdy materialnej tego

procesu? Dlaczego nagle pojawiło się tyle krętych jak w labiryncie ścieżek? Jakby sedno zanikło. Jakby go wcale nie było. Skupił się z niemałym trudem i zadał pytanie. Dotyczyło podarunków, które otrzymywał I Sekretarz od oskarżonego. Szef ochrony osobistej przytaknął bez wahania. Były takie podarunki. A jakże. Musiały być. Nieraz dyżurując w pałacu pod Warszawą otrzymywał telefonogram z informacją, że nadjedzie wóz z komitetu. Ostatnim razem sam prezes komitetu przyjechał w dniu imienin małżonki I Sekretarza. Coś przywiózł. Coś bardzo ładnego. Tylko nie pamięta co to było. Tyle tego było.

— Ostatnim razem! — podkreślił świadek i uśmiechnął się wymownie.

Czyli zdarzenie to miało miejsce tuż przed upadkiem I Sekretarza.

Oskarżony poruszył się nerwowo i pociągnął jednego ze swych obrońców za rękaw. Zaszeptał z nim. Adwokat młody, smagły, z czarną bródką, płonące oczy. Wyglądał na fanatyka rewolucji islamskiej. Skąd to skojarzenie? Musiał widzieć w prasie czy telewizji podobną twarz. Jak nazywają się ci fanatycy? Aha, muhadżedini! Jego myśli ciągle rozpraszały się. Nie było już w nim koncentracji. Nieoczekiwanie poczuł zadowolenie, że ten proces-tasiemiec jemu przypadł w udziale. Zanurzony od prawie dwóch lat w lawinie zeznań i wyjaśnień, przynajmniej nie został zmuszony do tych dramatycznych rozterek moralnych, jakie przeżywali jego koledzy, ferując wyroki w sprawach działaczy Solidarności, strajkujących robotników, kolporterów i drukarzy podziemnych gazetek, wydawnictw itp. Bardzo dobrze się stało! Odetchnął z ulgą i zaraz zerknął na tę otyłą ławniczkę, słomianą blondynkę, zasiadającą po jego lewicy. Ale ona podrzemywała najwyraźniej. Przymknięte oczy i leciutki poświsł przez nos. Uspokojony, zainteresował się półbutami świadka. Czarne, z plecionej skóry. Pewnie bardzo miękkie. Poruszył palcami stóp w twardej niby pancerz skórze swych butów.

Świadek lekko uderzył dłonią w pulpit. Jego otwarta, ogorzała twarz poznańczyła się swoistym namysłem.

— Proszę Wysokiego Sądu... — powiedział — chciałbym jeszcze coś dodać w formie uzupełnienia. Czy mogę?

Przewodniczący kompletu orzekającego skinął głową. Wtedy świadek szybkim ruchem podciągnął lewy rękaw marynarki i zręcznie wyłuskał z przegubu dłoni gruby zegarek na rozciąganej, metalowej taśmie.

— Złoty — wyjaśnił — otrzymałem podczas wizyty przyjaźni w Pradze od towarzysza Husaka.

Równie szybko ściągnął bransoletę srebrnego koloru z przegubu prawej dłoni. Była ona z płytką, na której widniały wygrawerowane jakieś cyfry czy symbole.

— To moja grupa krwi — potrząsnął tym przedmiotem przed oczyma ludzi, siedzących za sędziowskim stołem. — W razie jakiegś nagłej awarii może być przydatna. Otrzymałem od szefa ochrony osobistej towarzysza Żiwkowa. Wtedy oni byli u nas.

W następnej kolejności wydobyl z kieszeni marynarki pokątną papierosnicę ze złota o czerwonym połysku..

— A to z Moskwy... — zakomunikował. — Cwierć kilograma wagi — oświadczył nie bez dumy... — Prezenty były zawsze i wszędzie! — uśmiechnął się, pokazując żółtawe, mocne uzębienie.

Sędziemu wydało się w tej chwili, że popatrzył na niego z pobłażliwą, wyrozumiałą życzliwością. Takim wzrokiem dorosli obdarzają zwykle naiwne i niezmordowane w swej ciekawości dzieci.

Sędzia poprawił łańcuch, który nagle zaciążył mu na piersi.

— Dosyc — powiedział. — Dziękuję.

Świadek zamilkł posłusznie. Ciagle tak stał lekko i czujnie, nieco pochylony jak zapaśnik, na szeroko rozstawionych nogach, uprzejmie czekał na dalsze pytania.

Sędzia był człowiekiem niskiej postury i słabego zdrowia (od lat cierpiał na nieznane krążenia) — więc w jakiś sposób przytłoczył go ten potężny mężczyzna o okrągłej niby piłce głowie, osadzonej na szerokich ramionach; zwarta bryła mięsa i kości funkcjonalnie podporządkowanych jednemu celowi; patrzący z góry na niego i dwoje ławników z kompletu orzekającego.

I nie wiadomo czemu sędzia wydał się sobie Don Kichotem walczącym z wiatrakami. Jeszcze raz przesunął dłonią po śliskim metalu łańcucha, opadającym na piersi. Sędziowskie insygnia. Zmobilizował się resztkami wygasającej w nim inwencji i zadał ostatnie pytanie.

Odpowiedź padła równie szybko jak wszystkie poprzednie. Otóż I Sekretarz posiadał wielki kredyt zaufania wobec przewodniczącego komitetu. Oceniał pozytywnie skuteczność wychowawczo-ideową działania środków masowego przekazu, kierowanych przez oskarżonego.

Świadek uczynił pauzę. Pragnie jeszcze pozwolić sobie na osobistą dygresję, uzupełniającą jego wypowiedź.

— Czy można? — zapytał.

Sędzia pozwolił mu wypowiedzieć się dodatkowo. Tak prawie machinalnie dał to pozwolenie. Właśnie zastanawiał się, ile wieczorów zajmie mu pisanie uzasadnienia wyroku. Miał w tym przedmiocie niemałą biegłość, lecz widział przed sobą wiele możliwych wieczorów, poświęconych temu zajęciu. Świadek wyprostował się i zsunął stopy do postawy zasadniczej. Zaczął mówić.

Tak więc podróżując po świecie, oglądał mnóstwo programów rozmaitych telewizji i porównując, doszedł do wniosku iż nasze *mass media* w czasie prezesury oskarżonego osiągnęły przyzwoity europejski poziom, szczególnie w dziedzinie rozrywki i teatru. Oskarżony poruszył się gwałtownie i spojrzał na świadka. Musiał być w tej chwili wdzięczny za pochwałę ze strony dla niego najzupełniej nieoczekiwanej. Fachowiec z dalekiej branży wyciągał do niego pomocną dłoń, wspierał go w opadach.

Tak to spojrzenie odczytał sędzia i poczuł swoisty szacunek dla świadka.

W pewien sposób również zgadzał się z tą opinią. Niewątpliwie oskarżony starał się po swojemu uczynić podległy mu aparat propagandy i rozrywki bronią pełną rozmachu i dynamizmu. Musiał w ogóle bardzo wysoko mierzyć. Być może śniły mu się najwyższe dostojęstwa, udział w Biurze Politycznym, nawet wybór na I Sekretarza. Kto to wie?...

I popatrzył na oskarżonego. Już wyszarzał po aresztancku przez te przeszło dwa lata więziennego pobytu. Garnitur odprasowany, ale jakiś nieświeży. To charakterystyczne ziemiste zabarwienie cery, pozbawionej powietrza i słońca. W oczach czujne skupienie człowieka zapędzonego w potrzask. Mozolnie walczy z zarzutami. Liczy na szczęśliwą odmianę losu, to znów popada w skrajny pesymizm. Te jego więzienne wieczory i noce, prawdopodobnie pełne takich rozmyślań. Nawet mu współczuł. Zobaczył osobliwy świat ludzi pogrążonych w fikcyjnej działalności, gubiących po drodze swoje dzieciństwo, młodość, dawną wiarę i uczciwość. Ludzi podlegających nieuchronnym prawom wynaturzenia. Przesunął dłonią po zwalistych tomach akt śledczych. Wydały mu się tysiącami stron daremnej, częściej pisaniny.

Potem nastąpiły pytania prokuratora i obrońców. Nie słuchał ich wcale, pogrążony w swoich rozmyślaniach. Jednak umysł miał zawodowo czujny i kiedy strony zaspokoiły swoją ciekawość, uniósł nieco głowę i powiedział cichym, uprzejmym głosem: — Dziękuję świadkowi.

Świadek ukłonił się i obdarzył go lekkim uśmiechem. Od-

wrócił się do tyłu, wykonując energiczny obrót przez lewe ramię. Równy rytm jego kroków. Masywne łydki odznaczają się przez spódnie.

Ochodził szef ochrony osobistej byłego I Sekretarza. Zamknęły się za nim drzwi.

I ten gniew, który ciemną falą wypełniał myśli przewodniczącego kompletu orzekającego wobec tych dwóch ludzi — oskarżonego i poprzedniego świadka — wygasł równie nagle jak się narodził. Pozostało tylko znużenie. Najbardziej zaś dokuczała mu świadomość daremności jego działań w tym procesie.

Zrozumiał bowiem ostatecznie, że tamci dwaj są jak trybiki wkręcone w gigantyczną, niezmiennie się toczącą maszynę i ich usunięcie wcale nie zmienia pracy tego mechanizmu.

Po tym przewodniczącym komitetu (teraz unosi się z ławki, rzuca spojrzenie na kogoś w głębi sali) i I Sekretarzu, oto są już ich następcy. Nieprzerwany ciąg. Niezakłócona rotacja. Jedni będą lubili kosztowne prezenty, inni zaś surowi i nieprzekupni, zechcą karać w majestacie prawa wszystkich niepokornych i wolnomyślnych. Jeszcze inni mogą połączyć surowość wobec poddanych z rozpasaniem i pławieniem się w zbytku. A mogą też przydarzyć się tacy, co lwią część budżetu państwa przeznaczą na hodowlę tygrysów bengalskich.

Tak na koniec pomyślał sędzia z gorzkim uśmiechem, który jak cień przemknął po jego twarzy.

Z trzaskiem zamknął przygotowany na okoliczność dzisiejszego przesłuchania świadków tom 105 akt śledczych. Ogłosił przerwę i zapowiedział wznowienie procesu następnego dnia o godzinie 9-tej.

WIDZENIE

Nieprawdą jest, jakoby adwokaci obojętnie reagowali na atmosferę więzienia. Mylne to mniemanie wynika może z przekonania, że uprawianie zawodu, w którym wolność człowieka stanowi często treść ich zabiegów oraz wielokrotne wizyty u aresztowanych klientów muszą działać znieczulająco.

Niewątpliwie przekraczają ten próg między wolnością a niewolą, otwiera się przecież więzienna brama, ściślej mówiąc: umieszczona w niej furtka, znajdują się więc już za murem. Dla młodego obrońcy, adepta tego zawodu, ów pierwszy raz jest bez wątpienia silnym przeżyciem. W grę wchodzi oczywiście stopień wrażliwości. Z czasem jednak rzeczywiście oswaja się ze specyfiką widzeń. Metaforyczny próg powszednieje w jego wyobraźni. Przypominać zaczyna progi innych urzędów — sądów, prokuratury, biur notarialnych, komend milicyjnych — które w ciągu swojej pracy wielokroć przekracza, wcale o nich nie myśląc.

Pamiętać jednak należy, że odwiedzając swych podopiecznych, adwokaci poznają tylko przedsionek zakładu zamkniętego.

Przekroczwszy zatem próg symbolizujący radykalną zmianę w zakresie ludzkiej swobody i możliwości decydowania o swoim losie, obrońca znajduje się w biurze przepustek, gdzie okazuje swoje zezwolenie na kontakt z uwięzionym klientem. Tam staje od razu przed kratą, która otwiera się po otrzymaniu przez niego przepustki. Następnie przemierza niewielką przestrzeń otwartą i dostaje się do budynku administracji. Wtedy widzi gruby, ceglasty mur, za którym się znalazł. Mur ten najeżony jest kolczastym drutem i opatrzony w pewnych odstępach wieżyczkami strażniczymi. W dali, w oknach pawilonów, kraty i blachy. Po gwarze i ruchu miasta cisza i porządek, jakie tu pa-

nują, wydają się zwielokrotnione. Jednakże i w budynku administracji wciąż jeszcze mieszają się elementy wolności i niewoli. Znowu kontrast zostaje nieco zatarty. Wielu funkcjonariuszy służby więziennej nosi cywilne ubrania. Poza tym pojawiają się tu ludzie z zewnątrz — prokuratorzy, oficerowie dochodzeniowi itp. Z pokoiów biurowych dochodzą sygnały telefonów, a nawet muzyka radiowa. W niektórych działach administracji, takich jak magazyn, księgowość czy ewidencja, zatrudnieni są już więźniowie, niemniej ich status różni się zasadniczo od statusu pozostałych, przebywających w głębi więziennego obszaru. Ci funkcyjni są swoistą arystokracją. Mają znaczną swobodę poruszania się: przemierzają korytarz, przechodzą z pokoju do pokoju, dosyć poufale rozmawiają z funkcjonariuszami więziennictwa, palą papierosy, parzą sobie herbatę używając do tego celu maszyny elektrycznych lub grzałek. Również strój tych uprzywilejowanych więźniów ma rozmaite akcenty wolnościowe. A to koszula o delikatnym, prążkowym desenie, a to kokieteryjna apaszka pod szyją, sweter, wygodne, miękkie buty. Odmienność ta w stosunku do obowiązującej tu szarej unifikacji rzuca się w oczy nawet nieuważnemu obserwatorowi. A więc w budynku administracji obrońca, posiadając przepustkę, wydaną na podstawie odpowiedniego dokumentu z prokuratury lub sądu, uzyskuje widzenie ze swoim klientem. Zwraca się w tej sprawie do pracowników służby więziennej zatrudnionych w dziale czy referacie (obojętne, jak to nazwać) tak zwanego „rozmieszczenia”. Pracownicy tego referatu wydają bowiem dyspozycje celem doprowadzenia wymienionego w pozwoleniu więźnia. Trwa to pewien czas. Adwokat może go spędzić na gawędzie z pracownikami działu rozmieszczenia. Zależy to oczywiście od chęci obu stron na taką rozmowę. Może również w milczeniu obserwować tych funkcjonariuszy lub przeglądać swoje notatki związane ze sprawą. Wreszcie, skierowany przez funkcjonariusza w mundurze, udaje się do jednego z pokoiów przeznaczonych na rozmowy adwokatów z klientami. Tu należy nadmienić, iż rodziny osób uwięzionych odwiedzają swoich bliskich w zupełnie odmiennych warunkach: oddzieleni jedni od drugich szklaną taflą, mogą porozumiewać się tylko za pomocą słuchawek, w dodatku pod czujną kontrolą dyżurującego „klawisza”, jak zwykło się potocznie nazywać strażnika, i określoną ilość minut. Takie widzenie często kończy się bolesnym grymasem na twarzach rozmawiających lub płaczem. Zaiste, bardzo to przykra forma obcowania człowieka z człowiekiem! Natomiast obrońcy na podstawie szczegółowych regulacji prawnych przysługuje o

wiele swobodniejsza forma rozmowy ze swoim podopiecznym. Rozmowa toczy się w cztery oczy bez udziału osoby postronnej i może trwać przez kilka godzin. W tych pokojach widzeń adwokackich panuje na ogół atmosfera w miarę swobodna. Niepisana, lecz tolerowana przez władze więzienia regułą jest zwyczaj częstowania więźniów. Obrońcy przynoszą termosy z kawą i wiktuały niedostępne w więziennej kantynie. Więźniowie jedzą na zapas i na zapas też rozmawiają ze swoimi rzecznikami z wolnego świata. Tę swobodę ogranicza nieco konieczność utrzymywania tej konwersacji w ściśle określonych granicach. Mówiąc prościej: nie należy mówić wszystkiego. Więźniowie i adwokaci w szczególnie istotnych dla sprawy kwestiach porozumiewają się za pomocą papieru i ołówka. Mniej doświadczonych adwokatów doświadczeni więźniowie ostrzegają wymownym gestem, pokazując ściany i sufit. Oswoivszy się z tym wstępnym warunkiem, można traktować rozmowę w pokoju widzeń jako półwolnościową formę kontaktu człowieka z człowiekiem. Nierzadko w tych pokoikach usytuowanych w dość ciemnym korytarzu dochodzi gwar rozmów i śmiech jak z kawiarni czy domowego przyjęcia w ścisłym, przyjacielskim gronie.

W każdej chwili wszystko to może jednak ulec radykalnej zmianie, a wtedy zakres doświadczenia adwokata poszerza się znacznie i pogłębia.

Tak zdarzyło się w tym przypadku, który, w miarę możliwości piszącego, przedstawiony zostanie jak najdokładniej.

Tego zaskakującego, nieznanego jeszcze doznania doświadczyła właśnie kobieta w średnim wieku, od wielu lat sprawująca zaszczytny zawód obrońcy.

Początek był banalny i nie zapowiadał niczego nieprzewidzianego. Dzień wstał pogodny, słoneczny (to akurat było zaskoczeniem w tę szarą, dżdżystą i wynaturzoną zimę) i ulice o tej porannej porze pełne były ludzi podążających w różnych kierunkach. W jasnym, słonecznym świetle, pod niebieskim niebem, ludzie ci wydali się jej jacyś weselsi, bardziej kolorowi niż zwykle. Zauważyła wycieczkę harcerzy z prowincji, przechodzących jezdnię w pobliżu więzienia. Młodzieńki drużynowy, przejęty swoją rolą, wykrzykiwał coś kogucim, załamującym się z powodu mutacji głosem. Szli wzdłuż więziennego muru. Zapewne nie wiedzieli, co jest poza nim. Ona już stała przy bramie.

Polubiła te widzenia, choć brzmi to paradoksalnie i niedorzecznie. Ale często, właśnie kiedy dzień zaczynał się jej nie-

dobrze, bolała głowa lub dokuczało przykre uczucie smutku i beznadziejności, to dopiero w więzieniu, rozmawiając ze swoim podopiecznym, poprawiało się jej samopoczucie, dochodziła do lepszej formy.

Zawsze myślała o nim z podziwem. Był to trzydziestokilkuletni mężczyzna, który przebywał w więzieniu już trzeci raz. Ten trzeci pobyt trwał ponad dwa lata. Jednakże mimo tak długiego czasu spędzonego w ścisłym odosobnieniu, człowieka tego cechowała niespożyta siła i pogoda ducha. To on ją pocieszał, a nie ona jego. Swe optymistyczne prognozy wywodził niezwykle sugestywnie, argumentów dostarczała mu postna lektura tygodników i dzienników, umiał stamtąd wydobywać ukryte między wierszami treści. Jego chłonny, dociekliwy umysł pracował nieprzerwanie. Opowiadał jej wrażenia ze swych lektur czerpanych z ubogiej biblioteki więziennej, ożywiając na nowo dawno przebrzmiałe dla niej dzieła klasyków, „starych nudziarzy”, jak ich sobie nazywała na swój prywatny użytek. Równie ciekawie relacjonował postępy w swej pracy doktorskiej z historii najnowszej (po długich staraniach pozwolono mu na kontynuowanie pisania tej rozprawy); tak samo zajmując i lekko charakteryzował wreszcie, w dosadnych skrótach i obrazkach, swoje areztanckie życie. Wiedziała przecież doskonale, jak ciężko i monotonna musi ono wyglądać na co dzień. Nigdy jednak nie pozwalał sobie w jej obecności na więzienną beznadzieję, wyszukując zdarzenia jak rodzyнки — błahe a efektowne. Toteż właśnie często on ją podtrzymywał na duchu, a nie ona jego, jak powinno by się zdawać.

Tytułem dygresji należy dodać, że człowiek ten był jednym z owych kilkunastu najważniejszych więźniów politycznych w kraju. Ciskano na nich gromy najcięższego kalibru i oskarżano o czyny najgroźniejsze, takie jak spisek i chęć obalenia przemocą istniejącego w państwie ustroju. Jednak z powodu wątpliwej jakości materiału dowodowego proces nie rozpoczął się dotąd; władza prawie jawnie sterująca w tym wypadku prokuraturą i sądem wyraźnie odwlekała ten moment. Jednocześnie ani myślała o wypuszczeniu ich na wolność. — Klincz! — mawiał jej podopieczny na określenie tej sytuacji. — Jesteśmy w zwarcu i sędzia ringowy nie wydaje żadnego polecenia. — Śmiał się przy tym kpiąco, mrużąc jasne, wyzywające oczy. Te oczy wciąż były młodzińcze, niepokorne.

Tego ranka pomyślała o tym wszystkim parząc dla niego kawę i przelewając ją do okazałego termosu. Następnie starannie przygotowała kanapki.

Po okazaniu dokumentu uprawniającego do wizyty w więzieniu otrzymała przepustkę i stanęła przed graniczną kratą. Wnet rozległ się charakterystyczny brzęczyk i krata otworzyła się gościnnie. Wkrótce już podążała korytarzem budynku administracji. Znalazła się w odpowiednim pokoju za drewnianą ladą przypominającą do złudzenia dawne lady w sklepach i szynkach, po swojsku starą i wypolerowaną od wieloletniego użytku. Zawiadujący tzw. „rozmieszczeniem” mundurowy funkcjonariusz służby więziennej, niemłody już mężczyzna pochylony nadmiernie wskutek choroby kręgosłupa, nie był dziś usposobiony towarzysko. Małomówny i bardzo oficjalny. Potraktowała to jako wyraz wzmożonych dolegliwości jego układu kostnego i nic więcej. Zazwyczaj gwarzył z nią dosyć chętnie, prezentując swoisty, posępny humor typowy dla wysłużonego pracownika więziennictwa. Chyba darzył ją pewną sympatią. W jego bezbarwnych oczach zapalały się często kpiarskie iskierki. Tym razem nie uniósł nawet głowy znad papierów, ledwie odhąknawszy na jej życzliwe powitanie. Przywołał drugiego funkcjonariusza i ten wskazał jej w ciemnym, ponurym korytarzu pomieszczenie przeznaczone na widzenie z więźniem. Pokonując tę drogę polecił jej bezosobowo i z naciskiem, by nie dawano więźniowi żadnego pożywienia ani napoju. Wypowiedział tę kwestię odwrócony do niej plecami. Odechodził już; zatrzymał się jednak i dorzucił, że niewykonanie polecenia spowoduje przerwanie rozmowy.

Pozostała sama w niewielkim pokoju bez okna, ze stołem pośrodku, trzema krzesłami, metalową popielniczką na wysokiej nóżce i wieszakiem pod ścianą. Wnętrze oświetlone było mdłym światłem podłużnych jarzeńówek przymocowanych do ścian. Dosyć zdziwiona surowym upomnieniem funkcjonariusza. Przychodziła tu przecież już wielokrotnie i zawsze częstowała klienta obfitym posiłkiem i kawą. Na odchodnym zaś nieraz zdarzało się jej podarować mu paczkę papierosów przy milczącej aprobachie więziennej straży. Postępowała w ten sposób od początku swych wizyt; tak samo zresztą czynili wszyscy obrońcy więźniów politycznych.

W tym miejscu należy zrobić dygresję dotyczącą więźniów politycznych w naszym kraju. Potencjalnie więźniami politycznymi jest jakieś 80 procent wszystkich obywateli. Ci zaś, którzy siedzą w więzieniu, po prostu aktywnie wyrażają przekonania wyżej wymienionych osiemdziesięciu procent swoich rodaków i próbują skłonić panujących do rozmaitych ustępstw oraz do wprowadzenia pewnych reform mogących zagwarantować

minimum demokracji, wolności, czy jak nazwać tę potrzebę posiadania naturalnych, przyrodzonych człowiekowi praw. Za to właśnie władza zamyka ich w więzieniu, obarczając zarzutem zbrodni najcięższych i pomawiając z niezmiennym upodobaniem o służbę dla wrogich wywiadów i agentur.

Powiesiła swój płaszcz na wieszaku, siadła na twardym, skrzypiącym krzeselku i zapaliła papierosa. Nadal zastanawiała się nad surowym i oficjalnym poleceniem funkcjonariusza służby więziennej. Może zaszły jakieś nieprzewidziane wydarzenia? Coś zakłócało tym ściśle uregulowanym życiem? Wdarła się jakaś anarchia, zakłócenie porządku? Głódówka czy inny rodzaj zbiorowego protestu i w związku z tym zaostrożono rygory? Tak zdarza się czasem w tym hermetycznym świecie więźniów i ich nadzorców. Chyba nie bunt jednak. Bunt więzienne w tej części Europy zdarzają się raczej rzadko. Tak więc nie brała tych przypuszczeń zbyt poważnie. Takie zaostrożenia mogą być po prostu wynikiem zmian w zarządzie więzienia. Poza tym występują często bez powodu. To znaczy bez powodu zrozumiałego dla ludzi z zewnątrz. W tym specyficznym, szczelnie izolowanym królestwie reakcje zarówno jednej, jak i drugiej strony powodowane są często niepojętymi impulsami. „Szajba im odbiła!” — skorzystała z tego popularnego powiedzenia, używanego powszechnie na wolności. Słowa te wyrażają nasz stosunek do wielu dziwnych, niekiedy absurdalnych poczynań ludzi i urzędów, z jakimi stykamy się w tym osobliwym naszym świecie. Rychło w ogóle zaprzestała analizowania przyczyn sztywnego początku dzisiejszej wizyty i zapatrzyła się bezmyślnie w przeciwległą ścianę z łuszczącą się farbą u góry.

Nie wiadomo dlaczego przypomniała sobie bardzo dawne odwiedziny w innym więzieniu, gdzieś na prowincji. Prowadziła wtedy sprawę, która zakończyła się bezwzględnym sukcesem w postaci efektownego uniewinnienia aresztowanego klienta. Z odpowiednim dokumentem udała się do naczelnika tamtego więzienia. Nie czynił żadnych przeszkód, więc już cieszyła się na myśl o nagłym pojawieniu się jej klienta, na pewno wyszarzałego i po aresztanku zmarniałego, a jednocześnie szczęśliwego z odzyskania utraconej od sześciu miesięcy wolności. Tymczasem w administracji funkcjonariusz w mundurze podoficera od razu oblał ją zimną wodą. Był to chudy mężczyzna o wyglądzie żołędźkowca; stary, zrutyinizowany „klawisz” po prostu. Obejrzał nakaz zwolnienia, niedbale odłożył na stół i oświadczył: — Nie wiem, czy dziś da radę zdążyć. Teraz przyjmuję „wolność”. — W jego żargonie znaczyło to tyle, iż w pierwszej

kolejności będzie odbierał z transportu ludzi skierowanych do więzienia. Później dopiero nastąpi czynność zwalniania aresztowanych. Nie miał najmniejszego zamiaru odstępować od tego porządku.

Zapamiętała stamtąd żółte, piaskowego koloru mury i krzyk jakiegoś więźnia przylepionego do krat okna na pierwszym piętrze.

— „Wolność” — powtórzyła półgłosem.

Spojrzała na zegarek. Już przeszło pół godziny trwało oczekiwanie.

W tym momencie drzwi uchyliły się i w progu ukazał się nieznany jej dotąd funkcjonariusz służby więziennej.

— Proszę za mną — powiedział urzędowym głosem. — Widzenie odbędzie się gdzie indziej.

— Dlaczego? — zdziwiła się.

— Nie wiem — odparł oficjalnie i chyba szczerze. — Takie otrzymałem polecenie.

Był najwyraźniej z innej służby, nie z tej urzędującej w budynku administracji. Skupiony i sprężysty. Tamci są bardziej rozluźnieni i niedbali, bliżsi cywilnemu życiu.

Podążyła za nim. Zdążyła jeszcze przytomnie zapytać, czy będą musieli opuścić ten budynek i udać się na zewnątrz. Była trochę przeziębiona. Potwierdził. Włożyła płaszcz.

Powędrowali korytarzem do wyjścia na więzienny podwórzec. Stamtąd do kilkupiętrowego, szarego bloku zamykającego widok naprzeciw. Zauważyła rzędy okienek przesłoniętych blachą. Wyglądały jak oczy zasłane bielmem. Pod stopami zgrzytał żwir. Po przejściu niewielu kroków znalazła się we wnętrzu tego kilkupiętrowego bloku.

Ogarnęła ją inna niż dotąd atmosfera. Kraty zamykające korytarze. Pokryte siatką ochronną galeryjki i schody. Zgrzyt rozsuwanych krat. Posuwali się ciągle w głąb. Następnie z dołu do góry : z parteru na piętro. Stukot kroków po gładkiej, pokrytej ciemną wykładziną podłodze. Jakby donośniejszy. Bure ściany. Mętna szarość sztucznego światła. Ta droga przypominała obrazy z filmu *Przesłuchanie*, który tutaj właśnie kręcono. Czuła mocno, wręcz fizycznie oddalanie się od tej pierwszej, jakże prostej, strefy świata więziennego i usilnie pragnęła zapamiętać tę drogę w nieznane. Był to instynktowny odruch, by zapewnić sobie możliwość odwrotu. Labiryntem bowiem zaczęło się jej wydawać to wszystko i coraz natęczywiej powtarzała się myśl o powrocie. Szybko jednak zgubiła się w tej topografii, kolejność skrętów w lewo i w prawo całkowicie się pomieszała. Spostrzegła równo-

cześnie, że jej pojawienie się tutaj wywoływało pewne zaskoczenie kluczników czuwających przy kratkach. Niby w milczeniu i całkiem mechanicznie otwierali przed nią i jej przewodnikiem te wierzaje złożone ze stalowych prętów, a następnie równie rutynowo zamykali je za nią, a jednak gdy tylko przeszła kilka kroków, odwracali za nią głowy i odprowadzali ją długim spojrzeniem swych pustych, nieruchomych oczu.

Skręciwszy po raz nie wiadomo już który, natknęli się nagle na więźnia ze szczotką wykonującego czynności porządkowe. Ubrany był w szary strój, włosy miał krótko ostrzyżone. Ten nawet nie krył swego zdumienia. Choć podążał w przeciwną stronę, zatrzymał się raptownie i intensywnie zapatrzył się na przechodzących. W jego wzroku czuło się przede wszystkim zainteresowanie kobietą — kimś rzadkim w jego tutejszym życiu. Po chwili otrząsnął się wreszcie z zaskoczenia i ruszył w swoją stronę. Był to na pewno więzień uprzywilejowany. Mógł przecież swobodnie poruszać się po korytarzu.

Znów stało się pusto i cicho. Gdzieś daleko tylko zgrzyt i chrzęst rozsuwanych lub zasuwanych krat.

Jego przewodnik cały czas milczał i tylko uprzejmym gestem wskazywał drogę. Był barczysty, średniego wzrostu. Jego mundurówką kurtkę obcisnął błyszczący pas.

Stanęli przed jeszcze jedną kratą. Klucznik, wymieniwszy krótkie spojrzenie z jej opiekunem, wpuścił ich na następny oddział. Znów rząd identycznych drzwi obitych blachą, opatrzonych żelaznymi ryglami i judaszami. Mętne światło rozpełzające się po ścianach i podłodze. Nad głową miała siatkę ochronną, a przez nią widok na podobny korytarz piętro wyżej. Dawno już zagubiła się w tej wędrówce przez więzienny gmach. O odtworzeniu w pamięci drogi powrotnej nie było mowy. Zapamiętała jedynie ilość przekraczanych krat. Tylko tyle.

Odniosła wrażenie, że w tych trzewiach więziennego świata absolutnie nie ma życia. Całość skonstruowana jak precyzyjna maszyna, wyzuta z wszelkich naturalnych odruchów. Doskonale naoliwiona, pracująca w ciszy. Stale, pieczołowicie konserwowana. Taką wydała się jej kosmologia więzienia. I nagle poczuła, że tryby tej maszyny niezauważalnie zaczynają ją wciągać. „Dokąd mnie prowadzą?” — zadała sobie pytanie i wtedy właśnie, wyszedłszy z najbliższych drzwi, wyrósł przed nią wysoki mężczyzna w cywilnym ubraniu.

— Dalej ja panią mecenas poprowadzę — powiedział cichym, grzecznie brzmiącym głosem. Na jej poprzedniego cerbera nawet nie spojrzał.

Tamten zaraz zawrócił.

Przyjrzała się dokładnie cywilowi. Szczupły blondyn w szarym garniturze. Twarz miał pociągłą, gładkie, zaczesane w przedziałek włosy i niebieskie, jasne oczy. Przystojny. W oczach tych jednak nie było żadnego wyrazu.

— Proszę za mną — skłonił się lekko.

Ruszyli. Tym razem ledwie kilkanaście kroków. Zatrzymali się przy niegłębokiej, ściennej niszy. Tu znajdowały się drzwi. Otworzył. Mała ciasna winda. Stanęli naprzeciw siebie i już nie było miejsca. Patrzył ponad jej głowę na ścianę. Ona w klapę jego szarej marynarki. Nie pytała już o nic. Tak postanowiła. Starła się trzymać w ryzach swą twarz. Niech będzie naturalna, obojętna. W tej windzie (przypominała ona raczej klatkę) tylko jeden guzik. Żadnych oznaczeń pięter, nic. Cywil przycisnął guzik. Pojechali. Krótką chwilę. Zatrzymali się. Otworzył drzwi. Przepuścił ją pierwszą.

Korytarz tego oddziału był kontrastowo odmienny od poprzednich. Jasnoseledynowe ściany, drzwi także jasne, z metalowymi gałkami zamiast klamek. Żadnych judaszy i rygli. Nie widziała też krat. Było to trzęcie piętro. Okna wychodziły na podwórze. Docierało więc światło dzienne. Pogodny, czysty korytarz. Równie dobrze mógł być korytarzem nowoczesnego szpitala lub sanatorium. Przez okno zobaczyła następny pawilon, oddzielony od tego budynku niewielką przestrzenią, otoczoną wysokim betonowym murem. Zapewne miejsce spacerów.

Mężczyzna w cywilnym garniturze wskazał jej dalszą drogę. Jedne drzwi, drugie. Zatrzymali się przy trzecich. Zwyczajne drzwi. Wolnościowe. Tak pomyślała. Takie jak widuje się w rozmaitych urzędach i biurach.

— Proszę — powiedział cywil. — Tu odbędzie się widzenie. — Cicho zamknął za nią drzwi.

Znalazła się w obszernym, przyjemnym pokoju. W oknie firanka. Kraty za nią jakby mniej wyraźne. Stół z jasnego drzewa, wygodne krzesła. Nad stołem żarówka umieszczona pod sufitem. Świeżo i czysto. Znacznie lepszy pokój od tych brudnawych, pozbawionych okien pomieszczeń przeznaczonych na widzenia adwokackie w budynku administracji. Tak lustrując to wnętrze dostrzegła z zaskoczeniem podłogę z jasnych drewnianych klepek. Parkiet!

Nie zdążyła jeszcze ochłonać i uporządkować swoich wrażeń, gdy do tego wytwornego pokoju wprowadzony został jej podopieczny. Też był podniecony. Od kilku dni w jego celi odbywają się nieustające „kipisze”, odbierają mu i przeglądają sta-

rannie wszelkie notatki, numerują i dziurkują papiery. Dziś zaś, przed widzeniem, poddany został skrupulatnej rewizji osobistej. Tak dokładnej, że aż humorystycznej.

— Nie będę mówił o intymnych doznaniach — oświadczył.

Następnie doświadczonym okiem rozejrzał się po pokoju. Zatrzymał wzrok na żarówce w kloszu umocowanej w suficie nad stołem. Ostrożnie siadł z samego brzegu stołu. Ona przysunęła się do niego. W ten sposób znaleźli się poza kręgiem widzenia lampy.

Więzień mrugnął do niej figlarnie i patrząc do góry, tak oświadczył dobitnym głosem:

— Tu, w pokojach służących zazwyczaj do przesłuchań, zamontowane są podsłuchy, dowiedziałem się o tym od osób doskonale zorientowanych; narusza to w sposób zasadniczy moje prawo do obrony. Dlatego też nie będziemy dziś rozmawiać na temat sprawy, bo może to być wykorzystane przez stronę przeciwną... Mówmy o czymś innym, neutralnym dla sprawy. — Wypowiedziawszy tę kwestię, zaczerpnął powietrza i od razu począł opowiadać ze swadą o swoim spotkaniu przed laty z kardynałem Wyszyńskim w Rzymie. Spotkanie wyznaczone zostało na siódmą rano w kaplicy rzymskiej rezydencji Prymasa. Przybył tam na czczo, wysłuchał mszy, a potem w kolejce mężczyzn i kobiet czekał na kardynała, który majestatycznie przesuwiał się przed nimi. Kolejno całowano go w pierścień i odbywała się krótka, oficjalna rozmowa. On nie pocałował eminencji w kardynalski pierścień. Kardynał spojrzał na niego, ale nie powiedział.

Prawie bez pauzy przeszedł do swoich ostatnich lektur historii. Wpadło mu do głowy kilka pomysłów interpretacyjnych związanych z dwudziestowieciem międzywojennym. Mogą być kluczem do pewnych skomplikowanych wydarzeń tamtego czasu. Nosi się także z zamiarem napisania w przyszłości szkicu o polskiej poezji romantycznej. Zaczął z zapałem recytować fragmenty poematu Słowackiego o Beniowskim. Niektóre partie pełne są wciąż aktualnych znaczeń.

— Ile tu urody, prawda?

Przytaknęła, lecz nie słuchała wcale poezji wieszczą. Rozmyślała trybem przyziemnym. Ciągłe o tym zakłóconym porządku widzeń. Pełna obaw. Mimo zakazu tak surowo wypowiedzianego w budynku administracji, chciała go poczęstować przygotowanymi rano kanapkami z węgierskim salami. Pokręcił przecząco głową. Nie chciał jeść. Tylko wypił łączywie dwa kubki kawy, którą przyniosła w termosie. I palił nieustająco.

Twarz miał szarawą — ten dwuletni brak powietrza i słońca wycisnął jednak już na niej charakterystyczne pignto.

Wzięła się w garść i chcąc utrzymać się w lekkiej konwencji tej towarzyskiej konwersacji opowiedziała autentyczną historię o młodym kamerzyscie z telewizji. Zwolniony z tej instytucji ze względu na aktywną przynależność do „Solidarności”, postanowił emigrować do RFN, powołując się na niemieckie pochodzenie matki. Otrzymał odmowę. Nie zrezygnował jednak i teraz zakłada Towarzystwo Kulturalne Niemców w Polsce, licząc, że w ten sposób rozwścieczy władze i zechcą się go pozbyć ostatecznie.

Zaniepokoiła się nagle. Czy on nie odbierze tego zbyt osobiście? Jako sugestii skłaniającej go również do emigracji? Przecież niedawno była o tym mowa na konferencji prasowej rzecznika rządu. Zechcą emigrować, proszę bardzo! Spowodujemy umorzenie postępowania karnego i damy im paszporty. W tym duchu mówił Urban. A jego odpowiedź zawierała jedno twarde „nie!”.

Nie odebrał tego jednak jako aluzji do siebie. Wybuchnął śmiechem.

— Nieźle — uznał.

Ona zaś nie wiedziała, o czym mówić dalej. Zapanowało kłopotliwe milczenie.

Jego żywy, chłonny umysł nie znośił takiej martwoty i bezczynności. Po chwili więc streszczał jej już treść wywiadu udzielonego przez pewnego profesora nauk humanistycznych w tym jedynym niezależnym tygodniku katolickim, którego prawo prenumeraty uzyskał po długich zabiegach. Pamięć miał niezwykłą i zacytował jej fragment wypowiedzi profesora dotyczący dramatycznego zerwania więzi generacji starców z młodym i średnim pokoleniem. Donośnie brzmiał jego głos z tym charakterystycznym zacinaniem się dodającym jeszcze werwy jego słowom:

— „Lepiej niż gdziekolwiek widać to w środowisku inteligencji twórczej, gdzie ostatnio mamy do czynienia z czymś w rodzaju starczej kontrrewolucji. Nader sceptycznie oceniana jest mądrość ludzi sędziwych o znanych nieraz nazwiskach, którzy dają dowody kompletnego niezrozumienia sytuacji, w jakiej się znajdują. Doświadczenie, które mają do przekazania, jeśli jest pouczające, to przede wszystkim negatywne — jako przestroga dla następców. Cóż zaś z wiedzy, która nie daje oparcia myśleniu przyszłościowemu, zatrzaśnięta w rutynie świata nie

chcianego.” W dosłownym brzmieniu — zakończył nie bez dumy.

Przez chwilę wydał się jej odpychająco nieludzki. Te jego oczy niebieskie, intensywne. Śmieje się tak zaraźliwie, sympatycznie, a oczy pozostają poważne — z tym lodowatym odbłaskiem w głębi. Niezłomny w swoim oporze. Czyżby to pycha? Jeśli tak, to przecież największym kosztem. Tyle wyrzeczeń, straconego życia. W tych wątpliwościach sama sobie wydała się małoduszna. Zdławiła je w zarodku. Patrzyła z podziwem na swego klienta, pełnego ekspresji w gestach i mimice. Spróbowała policzyć ilość lat spędzonych przez niego w więzieniu. Zaczął termin jako osiemnastoletni chłopak.

Mówi teraz o towarzyszu niedoli z celi, jakimś facecie oskarżonym o przestępstwa gospodarcze.

— Ciągłe płacze. Kilka razy na dzień!

Spróbowała się uśmiechnąć. Ale myślała o czymś zupełnie nieśmiesznym. Co będzie z tym przygotowywanym przeszło rok procesem? Te tomiska akt zawierające setki stron wypisów z artykułów, przemówień i wywiadów oskarżonych. Proces po raz któryś utknął w martwym miejscu. Mówi się o rozmowach episkopatu z rządem. Właśnie na temat tych jedenastu więźniów politycznych. O treści tych rozmów nie ma żadnych oficjalnych wiadomości. Jeszcze raz zmobilizowała się i zapytała go o postępy w pisaniu pracy doktorskiej.

— Niestety, nie ma żadnych — odparł. Prezes sądu wojkowego odmówił pozwolenia, którego uprzednio udzielił prokurator zajmujący się przygotowaniem procesu.

Poradziła, żeby w tej sprawie wystosować odwołanie. Zgodził się.

Jest chyba jednak zdenerwowany. Zna już dosyć dobrze jego reakcje. Oto zapala łąpczywie kolejnego papierosa. Pociera dłonią czoło. Po chwili skręca i wicherzy swoje krótkie włosy.

Nagle wyprostował się i patrząc tam w żarówkę pod sufitem, jeszcze raz wypowiedział swoje stanowisko:

— Nie mam najmniejszego zamiaru dać się stąd wyrzucić! Nawet jeśli do wyboru będzie drakoński wyrok lub wyjazd do wolnego kraju. Choćby na Riviérę, jak to łaskawie proponował pan minister spraw wewnętrznych, generał Kiszczak. — Jego oczy błyszczały całkiem stalowo. — Chyba starczy na dziś — zdecydował.

Skwapliwie kiwnęła głową. Nie była w najlepszej formie.

Więzień przycisnął guzik umieszczony w ścianie obok drzwi. Drzwi uchyliły się zaraz i pojawił się ten przystojny, niemy

blondyn w szarym garniturze. Więzień pożegnał się serdecznie ze swoim adwokatem. Całkiem spontanicznie pocałował ją w oba policzki. Cywil patrzył na tę poufałość obojętnym wzrokiem bez wyrazu.

— Zaraz wrócę po panią mecenas — rzekł. — Tylko odprowadzę — nieznacznym ruchem brody wskazał więźnia.

Drzwi zamknęły się bezszelestnie.

Pozostała sama. Znajdowała się w głębi więzienia. Nawet ten pokój był zamknięty. Jakiś znak o sobie dać mogła jedynie za pomocą przycisku. A może ukryte gdzieś oko kamery patrzy na nią nieustająco. Odbyła pouczającą wycieczkę przez kraty i korytarze w asyście grzecznych, milezących funkcjonariuszy. Ta wyprawa uprzytomniła jej, jak łatwo i niezauważalnie można zostać więźniem. Oto nagle i wskutek nieznanych jej okoliczności znalazła się w samym brzuchu tego zamkniętego obszaru. Poddana niespodziewanej presji, musiała posłusznie wędrować przez piętra, oddziały, korytarze. Powróciły z męczącą wyrazistością obrazy z filmu Bugajskiego. Młoda, ładna kobieta prosto z wesołej hulanki zostaje przewieziona do więzienia. Nieświadoma miejsca swego pobytu. Nie popełniwszy żadnego przestępstwa. Przesłuchanie w takim jak ten pokoju. Może właśnie w tym. Dwóch cywilów. Grożą, obiecują. Podczas tej swoistej projekcji filmu coraz bardziej utożsamiała się z bohaterką, graną przez aktorkę Jandę. Odczuwała jej strach, wyczerpanie i heroiczny upór. Równolegle z obrazami filmowymi wychynęły z pamięci strzępy *Rozmów z katem*, szczególnie powroty narratora z przesłuchań. Jego list do obrońców i opisy kilkudziesięciu rodzajów maltretacji psychicznej i fizycznej. Jednego z tych obrońców, wiekową panią Anielę, zna osobiście. W pobudzonej pamięci pojawiali się także ludzie, których niegdyś znała, rozmawiała z nimi, żartowała, tańczyła. A oni przebywali właśnie tutaj. Ten starszy pan z wąsikiem, o wyglądzie naczelnika prowincjonalnej poczty — 6 lat. Ten drugi, młodszy — 5 lat. Pierwszy z wyrokiem śmierci, drugi skazany na piętnaście lat. Doszła naraz do przekonania, że w tym okratowanym świecie za grubymi murami wszystko może się nagle zmienić i powrócić tamten czas. Najzwyczajniej przyjdzie polecenie z góry i cała ta machina: naczelnik, strażnicy, oficerowie śledczy zaczną z gorliwością służbistów spełniać owe polecenie.

Gdyby więc została zatrzymana; co ma robić? Jak się bronić? Tylko wypróbowanymi sposobami doświadczonych więźniów. Odmówić przyjmowania pokarmów. Próbować wysyłać grypsy. Zaczną się przesłuchania. Od czego by zaczęli w jej przy-

padku? Zastanowiła się, czy jest to strach. Raczej poczucie zupełnej bezsilności wobec nieoczekiwanej zmiany swego losu. Będzie krzyczeć, protestować! Takie krzyki giną bez echa w tych murach. Postanowiła zaprzestać tej posępnej wędrówki w wyimaginowaną przyszłość. Zajął się więc swoim wyglądem. Wyjęła z torebki kosmetyki, przypudrowała twarz, starannie wymalowała usta, uczesała włosy.

Spojrzała w stronę drzwi. Z tego przycisku nie chciała skorzystać. Odczytaliby ten sygnał jednoznacznie. Jako dowód jej strachu, zdenerwowania. Usiadła wygodniej na krześle, założyła nogę na nogę. Czas dłużył się nieznośnie. Kontur krat za firanką. Jasny seledyn ścian. Sufit. Jak może być zamontowany podsłuch lub to wszędobylskie oko pod kloszem żarówki?

Kiedy drzwi uchyliły się bez szmeru, lekko drgnęła. Ten sam blondyn po cywilnemu w progu. Pewnie zauważył jej nerwowo odruch. Mógł mieć satysfakcję. Poczula się upokorzona.

— Dlaczego musiałam czekać tak długo? — zapytała nie naturalnie ostrym głosem.

— Odprowadzałem więźnia na oddział — odpowiedział.

Rozpoczęła się powrotna wędrówka przez kraty, korytarze, piętra. W pewnym miejscu, przy kolejnej kracie (nie mogła się jednak zorientować, czy wracając tą samą drogą) opiekun w cywilnym ubraniu przekazał ją funkcjonariuszowi w mundurze, również milczącemu i uprzejmemu. Szli i szli. Czyżby więc dłuższą drogą? Wreszcie — w znajomym budynku administracji. Od razu poczuła się różnie. Już ten ciemnawy korytarz, skąd drogę do wyjścia doskonale zna. Wnet biuro przepustek, brama i koniec tej przykrej wycieczki.

— Trafie już sama — oświadczyła.

Funkcjonariusz zgodnie pokiwał głową.

— Ja panią mecenas odprowadzę.

Nie oponowała.

Poszli jednak gdzie indziej. Znowu zaskoczenie. Schodami na pierwsze piętro. Mimo to o nic już nie pytała.

Korytarz na pierwszym piętrze miał charakter zwyczajnego biurowego korytarza jak na wolności. Jasny i czysty. Można powiedzieć, podobny do tamtego na trzecim piętrze w pawilonie. Funkcjonariusz otworzył drzwi. Wprowadził ją do pokoju przypominającego sekretariat. Siedziała tu za stołem młoda kobieta; pisała na maszynie. Na ścianie kalendarz z kolorowym, kobiecym aktem. Funkcjonariusz zapukał delikatnie do następnych drzwi, obitych poduszkową skórą. Wszedł tam i zaraz wrócił.

— Towarzysz naczelnik pragnie porozmawiać z panią mece-

nas — oświadczył i usunął się z progu, przepuszczając ją do gabinetu.

Za biurka wstał rosty, smolistej urody mężczyzna w mundurze z dystynkcjami majora. Był to naczelnik tego największego w stolicy więzienia. Uprzejmie wskazał jej krzesło wyłożone miękką poduszką. Siadła wygodnie; przede wszystkim starała się być spokojna i niczym nie zaskoczona.

— Pragnę poinformować panią mecenas — naczelnik zasiadł z powrotem za biurkiem — że widzenia z osadzonym odbywać się będą odtąd w sposób obostrzony. Tak jak dzisiaj. Decyzję tę wydałem z powodu śledztwa, które wszczęła prokuratura w związku z paszkwilami pisanymi przez osadzonego. Paszkwile te przenikają poza mury i są rozpowszechniane przez dywersyjne rozgłośnie radiowe. — Wygłosił tę kwestię spokojnym, równym głosem, akcentując jedynie z naciskiem słowa „z powodu śledztwa, które wszczęła prokuratura”. Patrzył ciemnymi, uważnymi oczyma na kobietę siedzącą po drugiej stronie biurka.

Wytrzymała jego spojrzenie i nie odezwała się.

Naczelnik po dłuższej przerwie (jakby czekał jednak na jej reakcję) począł mówić dalej:

— Zaostrożenie rygoru widzeń polega głównie na przeniesieniu miejsca widzenia do specjalnie wybranego w tym celu pomieszczenia w pawilonie. Mielśmy z tym nawet trochę kłopotów: należało odmalować ściany, wstawić meble, po prostu przygotować należycie wnętrze. — Zdania budował starannie, z wyraźną dbałością o formę. — Droga do poprzedniego miejsca widzeń była, jak zauważyła zapewne pani mecenas, dosyć długa i osadzony mógł się stykać z rozmaitymi osobami. Starając się wykluczyć ewentualność jego niepożądanych kontaktów z otoczeniem, to znaczy uniemożliwić przenikanie paszkwilankich pism poza mury ośrodka odosobnienia, skróciliśmy właśnie tę drogę do minimum. — Naczelnik ponownie uczynił wymowną pauzę. Najwyraźniej czekał na jej reakcję, ruch rąk, zmianę wyrazu twarzy czy jakąś wypowiedź.

Nie podjęła jednak dialogu. Milczała. W myślach obracała słowo „osadzony”, na które zwróciła uwagę. Naczelnik postugiwał się nim z wyraźnym upodobaniem. Skojarzyło się jej to słowo z dawną karą wbijania na pal. „Osadzony na palu”. Tak to brzmiało.

Milczenie przedłużało się. Naczelnik wygładził stos zadrukowanych arkuszy papieru. Umieścił na nich metalowy przycisk.

— Czy wyrażam się zrozumiale? — zapytał.

Wtedy odezwała się po raz pierwszy:

— Zrozumiałam pana naczelnika — odpowiedziała krótko kwitując jego wywody. — Niemniej pozostaje jeszcze jedna sprawa. Dosyć dla mnie istotna. Otóż w „roz mieszczeniu” zabroniono mi nagle częstować mego klienta jedzeniem i napojem. Dotychczas nie czyniono w tym względzie żadnych trudności, dziwię się więc...

Naczelnik poruszył się niecierpliwie.

— Pani mecenas wybaczy — przerwał jej niedokończone zdanie gładząc pieśczołtliwie przycisk na biurku — jednakże praktyka podawania posiłków osadzonym nie wynika bynajmniej z regulaminu. Była powodowana naszą... moją — poprawił się — dobrą wolą. Tolerowałem ten zwyczaj jako swoistą ulgę, pewien rodzaj złagodzenia obowiązującego reżimu. Ale obecnie nie widzę powodu, żeby dalej utrzymywać to odstępstwo od regulaminu, skoro pewne osoby tutaj przebywające i korzystające z tych udogodnień obrzucają mnie obelgami i kłamliwymi zarzutami w swoich oświadczeniach przemycanych na zewnątrz. Tak, nie widzę, wobec powyższego, sensu przyznawania im szczególnych względów i ulg. Dlatego proszę — jego głos stężał nieprzyjemnie — o niepodawanie osądzonemu żadnych posiłków i napojów.

Poszperała w torebce i wyciągnęła papierosa. Naczelnik pospieszył uprzejmie ze swoją zapalniczką. Zaciągając się chciwie dymem czuła na sobie jego ciężki wzrok. Powiedziała tak:

— Ta nowa sytuacja o tyle jest dla mnie niezręczna i kłopotliwa, że, jak panu wiadomo, spędzając tu dużo czasu sama odczuwam głód i pragnienie. Jakże więc jeść i pić — nie częstując więźnia?

Rozłożył szeroko ręce. Dłonie miał silne, owłosione, z bardzo starannie obciętymi paznokciami.

— Radzę po prostu zjeść obfite śniadanie przed samym widzeniem. Ja osobiście — dodał — zjadam pierwszy posiłek około siódmej rano, a drugi dopiero w późnych godzinach popołudniowych.

— Lecz tak długie wyczekiwanie... — spojrzała na zegarek. — Dziś straciłam na przykład około godziny, nim doszło do widzenia. Poza tym czekałam jeszcze po widzeniu. W dodatku ta wyprawa przez całe więzienie.

Naczelnik uśmiechnął się lekko.

— To tylko część więziennego kompleksu. — Śniada cera, czarne włosy i czarne oczy. Typ mołojca, kozaka. Takim jej się wydał. — A jeśli chodzi o stratę czasu — ciągnął dalej — tak, doskonale panią mecenas rozumiem. Straciła pani wiele czasu.

Niestety, ta przedłużona procedura spowodowana jest szczególnymi okolicznościami. Osadzony musi być obecnie dokładnie przeszukany przed doprowadzeniem do pokoju widzeń. Czy czegoś... — nie dokończył zdania. Patrzył na nią ciemnymi oczyma. — Ale... — uniósł się na krześle przypalając jej z uprzejmością następnego papierosa. Była jednak zdenerwowana. Ten idiotyczny nawyk sięgania po papierosa. Żłudna nadzieja dymnej zasłony, za którą znajdzie spokój. — Ale — powtórzył — widzę następujące rozwiązanie: dzień przed widzeniem zechce pani zadzwonić do dyżurnego w „rozmieszczeniu” i uprzedzić o swojej wizycie. Wtedy postaram się przygotować osadzonego zawnazasu i skrócić do minimum stratę czasu pani mecenas — uśmiechnął się ze swoistą życzliwością. Wymienił numer telefonu.

Zapisała w notesie.

Cały czas patrzył na nią uprzejmym, lecz przenikliwym wzrokiem. Miała wrażenie, że wciąż oczekuje czegoś więcej z jej strony. Jakieś wypowiedzi dotyczące oceny jego decyzji, czy opinii o wszczęciu dochodzenia w związku z przemycaniem przez więźnia swych wypowiedzi, listów i oświadczeń na wolność. „Osadzonego” poprawiła się w myśli i uśmiechnęła się blade.

Naczelnik zauważył jej uśmiech. Popatrzył z wyczekującym zainteresowaniem.

— Zastosuję się do rady pana naczelnika — oświadczyła rzeczowo. — O każdym widzeniu będę uprzedzała dzień wcześniej, telefonując pod podany numer.

— Doskonale — przesunął dłonią po ciemnym, gładko wygolonym policzku.

— Dziękuję — powiedziała wstając.

Też wstał i na pożegnanie pocałował ją szarmancko w rękę.

— Pozwoli pani przepustkę. — Podpisał się zamasyście i oddał jej karteczkę.

— A do kogo mam zwrócić się o pieczętkę?

— Pani mecenas! — uśmiechnął się naprawdę wesoło, ubawiony jej naiwnością. Mój podpis wystarczy! Znają go tutaj wszyscy. — Nacisnął zielony guzik na tablicy swoistej centrali telefonicznej, którą miał przy biurku. Rzucił przyciszonym głosem jedno niezrozumiałe słowo. Co mogło znaczyć? „Nie zatrzymywać”? „Wyprowadzić”? „Odprowadzić”?

Zakończyło się to widzenie bardzo sprawnie i szybko. Niedługa droga korytarzem budynku administracji. Przestrzeń do bramy. Biuro przepustek. Funkcjonariusz odbiera karteczkę z

podpisem naczelnika. Rytualny brzęczyk i ta ostatnia krata otwiera się natychmiast. Energicznie pchnęła drzwi.

Znalazła się na ulicy. Odetchnęła głęboko. Dzień nie był już wcale pogodny. Szary, z niskim i brudnym niebem. Auta wzbijają bryzgi wody z jezdni. Przechodnie uskakują od krawężników klnąc i złorzecząc. Twarze mają posępne i przygnębione. Zapędzeni w tym czasie powrotów z pracy i gorączkowych zakupów w marnie zaopatrzonych sklepach. Obejrzała się i patrzyła na ten wysoki, solidny mur.

PIWNICA

Pociąg ruszył. Pisarz N.N. wyrzął jeszcze z okna, ale nie zauważył nic szczególnego. Kilka osób na peronie. Machają rękami. Ktoś biegnie. Zapamiętał w drodze wzdłuż pociągu twarz Azjaty. Siedział taki w oknie rosyjskiego wagonu sypialnego. Nieruchoma, płaska twarz. Kwintesencja przysłowiowej tajemnicy wschodu. Choć ten Azjata wyglądał na przedstawiciela narodu raczej prymitywnego, chyba wywodził się z pustynnych nomadów. Mongoł po prostu. A jednak też nieprzenikniony, tajemniczy niby Budda z ilustracji. Pisarz N.N. rozsiadł się wygodnie. Miejsce zajął przy drzwiach. Najlepsze. W razie duchoty można wpuszczać chłodne powietrze z korytarza. Wyjął z torby kupioną w dworcowym kiosku *Odrę*, jeden z nielicznych, jeszcze strawnych miesięczników literackich, wydawanych w oficjalnym obiegu. Przekartkował, zatrzymał wzrok na felietonie T. Różewicza; wydał mu się interesujący. Postanowił w pierwszym rzędzie zająć się lekturą tego tekstu.

Pisarz N.N. od dwóch już lat wydawał swoje utwory w krajowym obiegu podziemnym i wydawnictwach emigracyjnych. Status jego uległ więc zasadniczej zmianie. Nie był oczywiście członkiem nowopowstałego ZLP, poddańczej organizacji wyrosłej na gruzach dawnego stowarzyszenia pisarzy. Tak że władze bezpieczeństwa miały na niego surowe oko. Objawiło się to dotąd wizytą cywilnych funkcjonariuszy resortu, którzy ostrzegali go po ojcowsku konsekwencjami jego postępowania, następnie rewizją i stałym podsłuchem telefonicznym. Na podsłuch miał niezbitą dowód, bowiem jego znajomy z powodu niewyparzonego języka, przez telefon właśnie, stracił pracę iznaczony został piętnem kontaktów z opozycją polityczną. Czasem również dziwni, jakby nie przypadkowi ludzie snuli się za pisarzem i równie nieprzypadkowe samochody towarzyszyły jego poru-

szaniu się po mieście. Został ostatecznie uznany za wroga, wręcz sługusa obcej dywersji. Te kalumnie rozpoczęły się od awangardowego *Żołnierza Wolności*, później rozlały się po całej prasie, ostatnio zaś w *Argumentach*, jednym z bardziej „zaangażowanych” tygodników, dawny wydawca pisarza N.N. skazał go na banicję, zaliczając do grona dyspozycyjnych opozycjonistów, czyli takich co służą za brudne pieniądze obcym mocodawcom.

Pisarz N.N. bez oburzenia czy gniewu przeczytał ten ciężko napisany (wyżej niegdyś oceniał to pióro) tasiemcowy artykuł w tygodniku wydawanym na bardzo marnym papierze, zaczerpionym mało czytelnym drukiem. Po jakimś czasie przeglądając codzienną prasę odkrył, że ten wydawca (facet cierpiący od dawna na ciężkie przypadłości zdrowotne) otrzymał nagrodę za robotę w awangardzie. Wybrany został na plenum KC partii zastępcą członka, które to stanowisko stracił po sierpniu 80 r. w czasach burzy i naporu; odzyskał więc dawny szczybel nomenklatury.

Mimo tych ostrzeżeń i oskarżeń, pisarz N.N. nie stracił animuszu. Sytuacja ta stała się jasna również dla innych. I tak od dłuższego już czasu pisarz N.N. i znany pisarz reżymowy W.W. podczas przypadkowych spotkań na ulicy czy gdzieś w kawiarni jednocześnie odwracali na swój widok głowy.

Dziś, tego pogodnego, zimowego popołudnia pisarz N.N. wsiadł do wagonu II klasy pociągu Moskwa-Paryż, jadąc do Poznania. Wybierał się tam na spotkanie autorskie w kościele Dominikanów i Duszpasterstwie Akademickim. Tematy podał następujące: „Fikcja i rzeczywistość” — oraz — „Pisarz jako kronikarz współczesności”. Terminy spotkań uzgodniono z nim telefonicznie.

W przedziale siedzieli już czterej mężczyźni, którzy od razu otworzyli butelkę wódki Bałtyk i zaczęli popijać, korzystając z jednego plastikowego kubka. Mieli również przygotowaną smaczną zakąskę w postaci domowej, wędzonej szynki. Byli to kontraktowi pracownicy zatrudnieni w NRD, wracali z kilkudniowego urlopu w kraju.

Pisarz N.N. czytał *Odrę* nieuważnie, przysłuchując się raczej rozmowie rodaków. Wyrażali zadowolenie z siły nabywczej marki i towarów, które stamtąd przywozili, sprzedając je po korzystnej, często kilkakrotnie wyższej cenie. Jeden z nich wzbudził nawet jego sympatię. Otyły mężczyzna o niebieskich, dobroniusznych oczach i ślamazarnym głosie. Pozostali traktowali go z wyraźnym szacunkiem. Sprawiał wrażenie najbardziej doświadczonego. Zarazem był dowcipny i tym oleistym głosem

opowiadał śmieszne historyjki. Ponadto wódkę pił jak wodę, nie krzywił się ani nie otrząsał, i powolnie zabierał się do domowej szynki. Umiął podróżować i kiedy tylko pociąg ruszył, ściągnął buty nakładając bambosze.

Między kolejnym kubeczkiem i zakąską odchrząknął i powiedział tak:

— Wiecie, mój dzieciak różne nieprzyzwoite wierszyki przynosi ze szkoły. Wczoraj wrócił i recytuje — Wolę Pershinga w ogrodzie niż sąsiada na wschodzie!

Jego towarzysze wybuchnęli śmiechem.

Pisarz N.N. też skrył uśmiech za parawanem miesięcznika *Odra*.

Podróż zapowiadała się przyjemnie i kto wie, czy wkrótce nie weźmie udziału w rozmowie.

Pogoda dopisywała i z okna przedziału mazowieckie pola wyglądały naprawdę zimowo, pokryte warstwą śniegu, co ładnie harmonizowało z niebieskim, słonecznym niebem.

Pisarz N.N. lubił te wyprawy w Polskę, gdyż pozwalały zorientować się w nastrojach panujących w społeczeństwie. Ciekaw był też recepcji swoich opowiadań; w jakim stopniu docierają do ludzi i jak są odczytywane. Spодiewał się więc po tych spotkaniach w kościołach interesujących dla siebie wrażeń. Zapalił papierosa. Pierwszego w podróży. Wciągając dym wyobraził sobie tłum ludzi, pytania świadczące o rozeznaniu w jego twórczości, kolejkę czytelników z książkami, oczekujących na dedykację od swego ulubionego autora; aż w końcu zasłużony posiłek w refektarzu przy stole z sympatycznymi zakonnikami i nocleg w klasztornej celi.

Znów dobiegły go strzępy rozmowy współtowarzyszy podróży.

— No, a ile on bierze?

— Zależy od kogo — odparł ten sympatyczny grubas o niebieskich oczach.

— Żeby nie tak jak tamten, wziął tyle marek, przechrzął i nic.

— Chłać nauczył się przy nas — odezwał się gruby.

Dalsze jego słowa zagłuszył wzmożony łoskot.

Po drugim torze pędził w przeciwną stronę towarowy pociąg. Ledwie ten łoskot oddalił się nieco i zaciął, drzwi przedziału otworzyły się nagle i dwaj mężczyźni stanęli w progu. Niski i wysoki. Pokazali nieduże legitymacje w granatowych okładkach.

— Kontrola dokumentów — powiedział niski z długim

wąsem. Kontraktowi pracownicy spoważnieli natychmiast. Oczy mieli pełne niepokoju i wykazywali nadmierną usługowość w pokazywaniu paszportów. Pewnie obawiali się rewizji bagażu. Musieli wieść coś na handlową wymianę do bratniego kraju.

Pisarz N.N. wręczając swój wysłużony, sklejoný skoczem dowód, miał niewzruszone przekonanie, że chodzi wyłącznie o niego. Taka pewność jak ołśnienie.

Tamci dwaj paszporty sprawdzali nieuważnie, tylko rzuciwszy pobieżnie okiem zaraz oddawali, jego dowód zaś zatrzymali.

I stało się tak jak przewidział.

— Pan pozwoli z nami — zwrócił się do niego ten niższy z długimi wąsami.

Kontraktowi pracownicy odetchnęli z wyraźną ulgą.

Sympatyczny grubas z braterskim współczuciem popatrzył na pisarza N.N. Próbował nawet podarować mu swoje papierosy.

— To pana — powiedział z ciepłem w głosie, sięgając po paczkę Ekstra-Mocnych ze stolika przy oknie. Ale pisarz N.N. miał w swojej torbie podróźnej wystarczający zapas papierosów, toteż podziękował mówiąc: — Pomyłka.

Wyszedł na korytarz. Ci dwaj, wyższy i niższy, stanęli z dwóch stron. Wyglądali nieprzyjemnie. Wysoki mężczyzna o jasnej cerze i równie jasnych, rudawych włosach, sprawiał wrażenie fachowca od siłowych numerów. Drugi, niski, chudy i czerniawy, jakiś był gryzoniowaty, szczurzy. Poprowadzili go na pomost. Tam sobie stanęli. Wysoki wspierał się ręką o drzwi, jakby blokując drogę ucieczki. Przegub dłoni był gruby, mocny, porośnięty jasnymi włoskami.

Pisarz N.N. zastanawiał się nad dalszym biegiem wydarzeń.

Zatrzymają go. Na ile czasu? Czy będą przesłuchiwać? Co zrobią potem?

Pożałował także, że nie przygotował sobie zawczasu karteczki ze swoim nazwiskiem i numerem telefonu. Mógłby taką karteczkę zostawić niezauważalnie w przedziale. Na stacji granicznej Kunowice pociąg stoi dosyć długo i sympatyczny grubas mógłby zadzwonić do jego żony. Ale było to myślenie jałowe. Nie zostawił kartki. Grubas nie zadzwonił.

Pociąg wjechał między perony, zatrzymał się i pisarz N.N. zauważył tablicę z nazwą miejscowości. Kutno.

— Wysiadamy — powiedział niski, wąsaty gryzoń i ujął pisarza N.N. pod łokieć.

— Proszę mnie nie dotykać! — zachnął się pisarz N.N., wyrывая swój łokieć z uścisku tajniaka.

— Niech pan nie robi sceny — naparł z tyłu ten wielki o wyglądzie zapaśnika.

W tym momencie przypomniał mu dawnego kolegę, pisarza Brychta, który przed laty opuścił ojczyznę.

— Nie mam zamiaru robić żadnych scen — odparł pisarz N.N. — Tylko proszę mnie nie dotykać.

Niski już nie ponowił próby ujęcia go pod łokieć.

Pisarz N.N. zachowawszy te skromne pozory swobody, zbiegł po trzech stopniach na peron. Tu już czekali na niego mundurowi. Dwaj sierżanci i chorąży. Milicjanci, siwawi i rośli, reprezentowali dosyć popularną urodę kmieciów zamieszkujących tę nizinę mazowiecką. Z takim impetem i zdecydowaniem chwycili pisarza N.N. pod pachy, iż postanowił nie wyrażać żadnego protestu. Dał się więc powodować jak manekin. Prawie unieśli go w górę. Na czele kroczył chorąży. Cywile gdzieś znikli. Prowadzili go wzdłuż pociągu. Z okna jego niedawnego przedziału wychylają się ci kontraktowi pracownicy. Za kogo go mają? Za groźnego przestępcę poszukiwanego listem gończym. Ukrywającego się działacza „Solidarności”. Seksualnego mordercę czyli wampira. Nie wiadomo. Liczył na środkowo-europejską mądrość zmagazynowaną w niebieskich oczach grubasa z przedziału.

Jeszcze w oknie rosyjskiego wagonu sypialnego zauważył twarz Mongoła. Odprowadził go spojrzeniem bez wyrazu.

Z tyłu pociągu na przejeździe czekała Nysa. Silnik był zapalony. Wsiadli i od razu ruszyli pełnym gazem.

W komendzie wprowadzono go do pokoju przypominającego poczekalnię lub świetlicę. Na ścianie wisiała tablica z hasłami i fotosami z powodu jakiegoś święta państwowego. Rozpoczęła się dokładna rewizja, dokonywana przez chorążego w asyście tych samych wypasionych sierżantów. Chorąży niewątpliwie był służbistą. Surowa mina, ostre oczy i zamaszyste ruchy. Po wyłożeniu przez pisarza N.N. z kieszeni rozmaitych przedmiotów osobistego użytku takich jak portfel, papierosy, zapalniczka, długopisy, chorąży przystąpił do osobistego przeszukania jego kieszeni, obmacał też podszewkę marynarki i nogawki spodni. Po czym zajął się bagażem. Wyrzucił zawartość torby podróźnej na stół. Dłużej zatrzymał wzrok na bibułce do papierosów. Obmacał z zastanowieniem. Zrezygnował z dalszego sprawdzania, kiedy okazało się, że paczuszka bibułek jest opieczętowana fabrycznie. Papiery i książki odłożył na osobny stos. Fazą ostatnią tych czynności stało się sporządzenie spisu ujawnionych przedmiotów. Dotyczyły wyłącznie książek i papierów.

Uwzględniono w nim książkę pisarza N.N. wydaną w 1982 roku w Instytucie Literackim w Paryżu, tę samą książkę w przekładzie niemieckim, maszynopisy dwóch jego nowych opowiadań, karteczkę z trzema adresami, listę 14 nazwisk, obok których figurowały liczby 100 — i 50, kartkę z adresem jego kolegi pisarza z Poznania, broszurę pt. „Przemówienia do pisarzy” wydaną przez Niezależną Oficynę Wydawniczą „Nowa” oraz dwa czyste arkusze papieru formatu B-4. Te karty w szczególny sposób zainteresowały funkcjonariusza MO. Był to japoński papier zielonkawego koloru, służący do kaligrafowania tego dziwnego dla nas pisma. Oglądali papier w skupieniu, nawet brali pod światło. Tak więc japoński papier ukoronował i zamknął tę listę. Resztę jego rzeczy takich jak papierosy, przybory do golenia, mydło, pastę do zębów, pidżamę i gruby sweter włożono z powrotem do torby. Z tą torbą pisarz N.N. prowadzony przez jednego z sierżantów, tego który patrząc na jego książkę w przekładzie niemieckim, zapytał: — To pan też pisze po niemiecku — udał się przez pomieszczenie oficera dyżurnego na dół do aresztu śledczego. Ostatni już widok krwawo zachodzącego słońca w oknie dyżurki i zaraz znaleźli się w piwnicy oświetlonej mętnym światłem elektrycznym. Tu pisarza N.N. przyjął klucznik, pękaty mężczyzna o czarnych, zapalczywych oczach. Zajął się ponownie przeszukaniem jego ubrania. Nakazał mu zdjąć buty i kucnąć, przesunął dłonią po pośladkach i grzbiecie, zbadał, dokładniej niż chorąży na górze, nogawki spodni, obmacał chwytnymi, krótkimi palcami stopy w skarpetach. Stosując się do jego polecenia pisarz N.N. wyciągnął sznurowadła z butów, rozwiązał krawat i wyłoniła się jeszcze kwestia gumki w kałesonach. Miał ją wyciągnąć, ale zaprotestował, uzasadniając swój sprzeciw wątplą jakością tej gumki, cieniutkiej i bardzo wysłużonej. Klucznik żądania nie ponowił i tak pisarzowi pozostała w kałesonach gumka.

Z piwnicznego korytarza, oddzielonego kratą od pokoiku klucznika dobiegły jakieś wrzaski i łoskot. Klucznik jednak nie zwrócił najmniejszej uwagi na oznaki gwałtownego życia w swoim Hadesie. Wpisywał do urzędowego formularza depozyt pisarza N.N., poczynając od zegarka i portfela, kończąc na zapasowych kałesonach. Papierosy również dołączył do tego spisu. Wszystkie te rzeczy umieścił w szarym worku i przyklepił doń karteczkę z nazwiskiem aresztanta. Wtedy zaniepokojony pisarz N.N. zapytał o prawo regulujące palenie w areszcie.

— Tu się nie pali — oświadczył opryskliwie klucznik; po chwili dodał: — Rozporządzenie naczelnika.

Pisarz N.N., korzystając być może z ostatniej szansy, wyciągnął z pudełka papierosa i zaciągnął się chciwie kilka razy. Niestety, był namiętym palaczem. Na koniec tych czynności zdał jeszcze swój kozuch i czapkę.

Wkrótce po przekroczeniu kraty znalazł się w piwnicznym korytarzu, gdzie mieściły się aresztanckie cele. Klucznik otworzył masywnym kluczem drzwi obite blachą i pisarz N.N. znalazł się w swoim nowym miejscu pobytu. Cella była podłużna z wąskim przejściem między dwoma narami, służącymi do spania. Od drzwi rzucała światło goła żarówka, po drugiej zaś stronie okratowane okienko, którego górna połowa wychodziła ponad poziom podziemnego pomieszczenia przepuszczało ciemniejsze już światło dnia. Był sam. Ściany miały kolor stalowy, rzec można milicyjnego munduru. U góry brudnawa biel sufitu. Zgrzyt klucza od zewnętrznej strony, oddalające się kroki, łoskot zasuwanej kraty i cisza. Ta cisza nie trwała zbyt długo. Wkrótce rozpoczął się wieczorny koncert w piwnicy. Przybywali pijacy i awanturnicy. Łoskot, przekleństwa, nieartykułowane wrzaski. Sądząc po różnicach odgłosów, pisarz N.N. potrafił szybko rozróżnić, kiedy doprowadzani delikwenci opierają się, a kiedy są potulni, jak owieczki. Nad wrzaskiem i bełkotem pijaków panował głos klucznika. Operował dosadnym słownictwem znakomicie dostosowanym do specyfiki tego miejsca.

Pisarz N.N. rozpoczął spacer między narami. Siedem kroków od drzwi do okna i z powrotem. Spacer był nie tylko sposobem na spędzenie czasu, miał również funkcję zdrowotną. W celi panował chłód. Pod oknem było najcieplej. Tu za siatką znajdowały się żeberka kaloryfera. Jednak w miarę upływu czasu z tych żeberek rozchodziło się coraz mniej ciepła. Spacerował więc gorliwie i co dwieście kroków zatrzymywał się pod oknem, „przy kominku”, jak nazwał to miejsce.

Z pobliskiej celi wybuchł nagle starczy, zdarty głos.

— Ja chcę do klozetu!... do kibla!... Do sracza!...

Tymi trzema coraz intensywniejszymi słowami określał swoją rosnącą potrzebę. Powtarzał wiele razy.

— Kurwy!! — zawył na ostatek.

Potem kaskada uderzeń w drzwi. Obok, albo naprzeciw. Pisarz N.N. zbliżył się do drzwi i nadstuchiwał pilnie. Nie zdążył jednak uporać się z umiejscowieniem głosu, naraz bowiem uniosła się klapka judasza w drzwiach i zazgrzytał klucz. Odskoczył. Ten pękaty profos o zapalczywych oczach wywołał go na korytarz. W dyżurce czekał jeden ze znajomych sierżantów. Zaprowadził pisarza N.N. na pierwsze piętro do gabinetu na-

czelnika Urzędu Spraw Wewnętrznych. Naczelnik był szczupłym mężczyzną średniego wieku w cywilnym garniturze. Grzeczny, z ujmującym uśmiechem. Wstał zza biurka i powitał pisarza dźwięcznie brzmiącym głosem: — Dobry wieczór panu.

Wskazał miękki fotel. Sam usiadł za biurkiem. Poinformował pisarza N.N., że część jego rzeczy, a mianowicie wyszczególnione w spisie książki, maszynopisy i notatki wraz z tym japońskim papierem formatu B-4, będą przesłane do MSW w Warszawie. Pozostałe przedmioty jego osobistego użytku, złożone w tutejszym depozycie otrzyma z powrotem po opuszczeniu aresztu. Pisarz N.N. raz jeszcze sprawdził i podpisał listę zarekwirowanych książek i papierów. Następnie naczelnik zapytał go, czy nie zgłasza zastrzeżeń co do trybu zatrzymania go i przeszukania.

Pisarz N.N. nie zgłosił.

— Aha, oczywiście z wyjątkiem tego, że zostałem porwany z pociągu i wyprowadzony jako przestępca na peron w Kutnie.

— Niestety, ta sprawa nie leży w mojej kompetencji — wyjaśnił naczelnik. — Ja tylko odpowiadam za pana losy od momentu doprowadzenia do tutejszego urzędu.

Pisarz N.N. nic więcej nie miał do powiedzenia. Już wychodząc, zgłosił jedynie prośbę o możliwość otrzymywania papierosów na dole.

— Wydam odpowiednie polecenie — zgodził się życzliwie naczelnik.

Ponownie został odprowadzony na dół, do swojej celi. Po drodze, w dyżurce otrzymał papierosa od klucznika. Usiadł na norze pod oknem i palił chciwie. Areszt już był wypełniony. Zewsząd dochodziły głosy, kroki, wrzaski. Okienko piwnicznej celi wypełniała ciemność. Z dala pobłyskiwało światło. Wdrapał się na narę i ustalił pochodzenie tego światła. Dochodziło ono z przylegającego do dziedzińca komendy gospodarstwa. W pobliżu czekał pies. Biegł wzdłuż ściany budynku. Na razie tyle poczynił spostrzeżeń z życia zewnętrznego. Jego uwagę znów zdominowało życie wewnętrzne.

Rozległ się potężny łoskot i tumult, dobiegający ze schodów prowadzących do piwnicy. Prowadzono kolejnych aresztantów. Stawiali opór. Klucznik złorzeczył. Oni złorzeczyli. Taki był początek pobytu. Poczul dokuczliwe ciśnienie na pęcherz. Nie chcąc narazić się na odmowę czy jakieś upokorzenie ze strony profosa, wstrzymywał się z coraz większym trudem. Spacerował bardzo szybkim krokiem między narami lub siadał,

ściskając nogami wzbierający pęcherz. I tak dotrwał szczęśliwie do nocnej zmiany dyżurnego. Dotychczasowego klucznika zastąpił stateczny, powolny sierżant o niskim, melodyjnym barytonie. Otworzył drzwi i sam zapytał: — Czy życzyście sobie wyjść do ubikacji? — Pisarz N.N. skwapliwie skorzystał i ruszył tam pędem. Duża ulga. Noc zaczynała się o 10-ej i wtedy wystawił na korytarz pod swoje drzwi „kostkę”, to jest buty, spodnie i kurtkę. Został w kalesonach, skarpetkach, koszuli i swetrze; otrzymał dwa koce i cienki, gumowany materac wojskowego koloru. Całą noc całą oświetlała żółta żarówka, umocowana w otworze nad drzwiami. Chłód ciągnął ze wszystkich stron. Sen przychodził z trudnością. Okrył głowę kocem i starał się ukołysać wspomnieniem czegoś przyjemnego i spokojnego; zapadł wreszcie w płytką drzemkę. Kilka razy budziło go dokuczliwe zimno. Podkulał wtedy nogi i owijał się szczelniej kocami. Chyba coś snił. Jakiś kolega, gdzieś idą, jakby góry, raczej przyjemnie. Jednak po przebudzeniu nie mógł już tego zrekonstruować.

Dzień rozpoczął się o 6-ej rano oddaniem koców z materacem i wniesieniem „kostki”. Ten ranek ciągle jeszcze przy świetle żarówki i ciemności za oknem, domagał się rozruszania zziębniętego ciała. Pisarz N.N. zajął się intensywną gimnastyką. Przypominał sobie rozmaite ćwiczenia z harcerskich jeszcze obozów i wiele skorzystał z obserwacji treningów swego przyjaciela Jurka S., fanatyka tężyzny fizycznej. Tak zaczął dzień. Z odgłosów dochodzących z piwniczego korytarza wywnioskował, że znaczna ilość zatrzymanych opuściła areszt. Jedni może na wolność, inni na przesłuchania, czy gdzie indziej. W tej kwestii nie mógł mieć żadnej pewności. Sąsiednie cele były na pewno puste.

Śniadanie otrzymał o godzinie ósmej. Składało się ono z kubka kawy zbożowej i dwóch pająd chleba omaszczonych margaryną. Jeżeli chodzi o palenie, to tego ranka nastąpiły trudności. Kolejny klucznik, młody milicjant odmówił mu katagorycznie papierosa. Nie wiedział nic o pozwoleniu, które pisarz N.N. otrzymał od naczelnika. Bez palenia było znacznie gorzej. Rozdrażnienie i bardziej dłużył się czas. Spacerował między narami, później dla uezmaicenia zdjął buty i w skarpetkach spacerował po narze. Z okienka dosyć dobrze widział sąsiedzkie gospodarstwo. Dom mieszkalny pokryty dachem z eternitu. Na próg wyszła kobieta i wylała wodę z kubła.

Problem palenia rozstrzygnął się na jego korzyść w godzinach południowych. Czas obliczył w przybliżeniu po słońcu,

które usytuowało się nad sąsiedzkim gospodarstwem. Młody milicjant pojawił się w drzwiach jego celi i poczęstował go papierosem z depozytu, wyjaśniając iż dopiero teraz dowiedział się o pozwoleniu naczelnika. Dla pisarza N.N. była to rozkosz, którą przedłużał aż do parzącego palce niedopałka. Ten dzień od południa pod względem palenia stał się bardzo udany. Młody milicjant co pewien czas, mniej więcej co godzinę, otwierał drzwi celi i podtykał mu pudełko papierosów, częstując go zupełnie tak jak to bywa podczas towarzyskiego spotkania dwóch dobrych znajomych. Wiele czasu spędził na obserwacji niewysokiego budyńeczku, znajdującego się naprzeciw jego okienka. Składał się z czterech pomieszczeń, opatrzonych drzwiami z gęstej, stalowej siatki. W tych pomieszczeniach siedziały psy policyjne, wielkie owczarki alzackie. Jeden z nich został wypuszczony na podwórze. Biegał wzdłuż piwnicznych okienek poszczekując i warcząc.

Pisarz N.N. zobaczył również opiekuna psów, plutonowego z wąsikiem. Karcił psy ochłapami mięsa i kośćmi. One bez jego pozwolenia nie ośmieliły się nawet dotknąć tych kuszących przysmaków. Snuły się wokół poszczekując cienko i dopiero na głos plutonowego rzuciły się łapczywie na mięso. Po otrzymaniu pożywienia na powrót zostały zamknięte w swoich celach, oprócz jednego, tego wielkiego, hałaśliwego wilczura. Miał on prawo swobodnego hasania po dziedzińcu. Przyjemną przerwą w obserwacji psów policyjnych stał się gorący posiłek, który pisarz N.N. rozpoznał po brzęku kotła i metalowych misek, dobiegającym z siedziby klucznika. Zupełnie wlewał do misek któryś z areztantów (starszy facet o co najmniej tygodniowej brodzie, tyle więc czasu musiał tutaj spędzić) i po kolei fasował do cel gorący posiłek. Zupa była gęsta, smaczna i pisarz N.N. na ostatek wyczyścił miskę chlebem. Apetyt mu dopisywał i był to dobry objaw, świadczący o dostosowaniu się organizmu do nowych warunków. Z pełnym brzuchem na powrót oddał się leniwej obserwacji psów, zamkniętych w ciasnych boksach za gęstą siatką. Też im było źle i nudno. Często czekały bez powodu lub wspinały się na siatkę, skomląc lub pojękując. Zazdrościły psu, który biegał swobodnie i często zbliżał się do pawilonu, jakby naigrywając się z ich losu.

Taką samą uprzywilejowaną sytuację miał pewien areztant który, jak położył pisarz N.N., poruszał się swobodnie po korytarzu, szorując podłogę i czyszcząc blaszane miski po posiłku. Dyżurny milicjant gwarzył z nim całkiem po wolnościowemu.

Pisarz N.N. przyłożywszy ucho do drzwi łowił strzępy ich

rozmowy. Dotyczyła kogoś imieniem Janek. Był to człowiek porwyczy i narobił sobie niemało biedy.

— Taki charakter — postyszał głos milicjanta.

— Strasznie zawzięty — to aresztant.

— I głupi — dodał milicjant.

Oddalili się i nie już więcej nie usłyszeli. Zapewne musieli się znać ze świata poza piwnicą. Powrócił do okienka. Przyglądał się gospodarstwu za ogrodzeniem. Widział krowę, traktor wyładowany drzewem i mężczyznę przy studni. Ubrany był w waciak i czapkę-uszanke. Kręcił korbą.

Zapadał zmrok. Zabłyśła żółta żarówka nad drzwiami. Usiadł przy „kominku” czyli przy żeberkach kaloryfera. Przesunął dłonią po policzkach. Rosła mu broda. Tak, pół drzemiąc przesiedział długi czas. Poczuł się zmarznięty i rozgrzał się za pomocą intensywnych ćwiczeń, zwanych „pompkami”.

Od kolacji do apelu zleciało nawet bardzo szybko. Przypominał sobie bitwy, które stoczył Napoleon i nazwiska jego marszałków. Po doświadczeniach pierwszej nocy nie złożył do „kostki” spodni i korzystając z nieuwagi dyżurnego milicjanta pobrał trzy koce zamiast przepisowych dwóch. W ten sposób zabezpieczył się przed zimnem. Tylko spał gorzej. Przyczyną był wzmożony ruch w areszcie. Przy akompaniamencie wrzasków i przekleństw zniesiono na dół człowieka z rozbitą głową. Mimo tej kontuzji głos miał potężny i ryczał jak lew.

Po człowieka z rozbitą głową przyjechała wkrótce karetka pogotowia. Pisarz N.N. słyszał dialog lekarki z klucznikiem, tym pękatym niskim sierżantem o wściekłych oczach. Odnosił się on sceptycznie do obrażenia cielesnego aresztanta.

— Nic mu nie będzie.

Ale lekarka zdecydowała się zabrać go do szpitala.

— Wstrząśnienie mózgu! — powtórzył profos jej słowa. — Jakie tam wstrząśnienie! Wytrzeźwieje i znów będzie chciał chlać!

Później przyprowadzono młodego poborowego, który jadąc pociągiem wywołał bijatykę i zupełnie jak pisarz N.N. został siłą wysadzony na stacji w Kutnie.

— Dostaniesz artykuł i zgnijesz w ciurmie! — krzyczał do niego profos.

Od wieczora już był w złym humorze. Złorzeczył wymyślnie na aresztantów. Przeważnie prosili oni o możliwość skorzystania z ubikacji.

— Zapchane! — odpowiadał profos.

A kiedy wreszcie wypuścił jednego z potrzebujących — tak

oto potraktował natarczywość następnego: „przecież nie będziesz mu srał na głowę”.

Płytki sen w który zapadł pisarz N.N. nie przyniósł żadnych przyjemnych omamów. Przez cienką warstewkę tego snu przebijały się co raz głosy z korytarza i sąsiednich cel.

Po pobudce nie udało mu się zdobyć od klucznika papierosa.

— Muszę wpięrować służbę — odburknął klucznik i wręczył mu miotłę do posprzątania celi. Początkowo pisarz N.N. chciał odmówić wykonania tego polecenia. Ale przypuszczając, że tym sposobem może stracić szansę zdobycia papierosa, pozamiatął swoją celę. Jednak nie otrzymał papierosa. Zaraz po powrocie z ubikacji poczuł narastającą chęć na ponowne wypróżnienie pęcherza. Potrzebę tę zaspokoił przy śniadaniu, kiedy wypuszczono go na korytarz po kubek kawy zbożowej i dwie kromki chleba ze smalcem.

Od śniadania nastąpiła zmiana dyżuru w piwnicy i kolejnym profosem był teraz niski, młody milicjant o wąskich ustach. Te usta miały wyraz odpychający, wręcz sadystyczny. Poproszony przez pisarza o papierosa, odmówił opryskliwie. Nic nie słyszał o pozwoleniu naczelnika.

— Tu się w ogóle nie pali — rzekł na koniec i zatrzasnął drzwi.

Wtedy pisarz N.N. zabębnił w obite blachą drzwi. Czynił to z rosnącą furią. Profos pojawił się znów.

— Proszę o wykonanie polecenia naczelnika — powiedział podniesionym głosem pisarz N.N.

Obaj patrzyli na siebie wrogo. Tamten oddalił się w milczeniu.

Pisarz N.N. rozpoczął nerwowy spacer między narami.

Postanowił po przemierzeniu 120 kroków zacząć od nowa bębnić w drzwi.

W połowie ustalonej normy zgrzytnął klucz w drzwiach i ukazał się profos z paczką papierosów w dłoni. Odmówił mu jednak palenia w celi. Wskazał na otwór wentylacyjny przebity do sąsiedniej celi. Tam siedzą aresztanci oczekujący na transport do więzienia. Oni palą bardzo rzadko i tytoniowy dym może działać na nich drażniaco. Uzasadnił więc odmowę względami humanitarnymi. Palarnią stał się klozet na końcu korytarza. Pisarz N.N. wypalił tam na zapas dwa papierosy i pokrzepiony wrócił do celi. Dopiero teraz na ścianie po lewej stronie od wejścia zauważył napis uczyniony ołówkiem. Odczytał z trudem: „Kocham wolność i huj w dupę tym kurwom co mnie

zapakowali!”. Napisał te słowa jakiś poprzedni mieszkaniec celi. Daty swego pobytu nie podał. Natomiast pod okienkiem ktoś wyrzył czymś ostrym w tynku: 5.VI.1983 — i podpisał — J.K.

Pisarz N.N. zastanowił się nad tym, czy po wyjściu na wolność opisać swoje wrażenia z pobytu w piwnicy. Jeszcze nie wiedział. Najbardziej podziślały na jego wyobraźnię widoki wschodzącego słońca nad gospodarstwem w sąsiedztwie aresztu i pawilon z policyjnymi psami.

Właśnie teraz zbliża się tam karmiciel, ten plutonowy z kubłem pełnym krwawych ochłapów. Dzień był równie słoneczny jak poprzedni. Więc co z tym opisaniem wrażeń?

Dawno temu opisywał rozmaite areszty i więzienia. Poznał te miejsca we wczesnej młodości. Ale wtedy nie był jeszcze pisarzem. Obecnie rzecz cała widziana jest z innej perspektywy. Rozważał tę sprawę dosyć długo. Nie dał sobie żadnej wiążącej odpowiedzi. Zbliżać się musiała godzina obiadu, gdyż odczuwać zaczął rosnący głód.

Do piwnicy powrócił nocny, wrzaskliwy klucznik. Pisarz N.N. zmartwił się, rokując dla siebie wraz z jego powrotem zmniejszoną częstotliwość otrzymywania papierosów. Ten nocny profos zdecydowanie nie znosił papierosowego dymu. Chyba sam nie palił. Może przestał palić niedawno i zapach dymu przypomina mu o porzuconym nałogu. Wywołał z pobliskiej celi jakiegoś aresztanta.

— Za co? — zapytał.

— Za wódkę.

— A byłeś już u śledzia na przesłuchaniu?

— Jeszcze nie.

— To wyjdiesz po 48-u — zdecydował profos.

Coś jeszcze mówił. Ale ciszej. Śmiech. Śmieje się aresztant. Całkiem życzliwa pogaduszka. Nieoczekiwana w przypadku tego kipiącego wściekłą złością milicjanta.

Może to jego znajomy z wolności i mimo zmiany sytuacji nadal utrzymuje z nim poprawne stosunki. Wczorajszy dyżurny także miał swego faworyta wśród aresztowanych. W dyżurce zadzwieczał telefon. Potem cisza. Żadnych głosów z korytarza, ani z cel. Pies nie czekał. Słońce chowało się za dom w sąsiedztwie. Obiadu nie słyszał. Spóźniał się obiad. Pisarz N.N. zapadł w drzemkę, przywierając do siatki, za którą był umieszczony kaloryfer. Z drzemki wyrwał go zgrzyt klucza w drzwiach. Profos zaprowadził go do swojego pomieszczenia. Wyłożył jego rzeczy z szarego worka na stół. Polecił mu sprawdzić depozyt.

Od kożucha oderwał przyklejoną karteczkę z jego nazwiskiem. Pisarz N.N. mając już własną zapalniczkę z rozkoszą zapalił papierosa. Profos podsunął mu do podpisania odpowiedni dokument o odebraniu zatrzymanych przedmiotów. Z aresztu dobiegło bębnienie w drzwi. Profos zaklął.

— Co pan w takim złym humorze? — zagadnął go pisarz N.N., zawiązując krawat.

— Serce mi nawala — odparł tamten.

— Do widzenia — powiedział pisarz N.N. i zaciągnął suwak swojej torby podróżnej.

Profos otworzył kratę i wskazał mu drogę. Już sam poszedł na górę. W pokoju przedzielonym barierką, siedzący za stołem sierżant przycisnął guzik i drzwi otworzyły się automatycznie. Przed drzwiami czekali na pisarza N.N. dwaj znajomi tajniacy z pociągu.

— Pojedzie pan z nami — oświadczył niski z długimi wąsami.

Wyszedł w ich asyście na podwórze Rejonowego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Tam stał szafirowy Fiat z warszawską rejestracją. Pojechali wąskimi uliczkami tego miasta. Stara, czynszowa zabudowa. Bramy na przestrzał. Rynsztoki i brukowane kocimi łbami podwórza. W Kutnie pod koniec tamtego wieku urodził się znany pisarz żydowski Szalom Asz. Może jeszcze zachowały się domy z tamtego czasu.

Pogoda nadal była słoneczna. Niewielki mróz i piękne niebo. Wyjechali z miasta. Mazowieckie pola i wioski.

Dochodziła godzina 14-a.

Potem po powrocie do Warszawy była jeszcze w mieszkaniu pisarza N.N. długa rewizja, krótkie przesłuchanie, następnego dnia długie przesłuchanie, wolny czas w sobotę i niedzielę, w poniedziałek bardzo krótkie przesłuchanie.

Dla pisarza N.N. najważniejsza była jednak krótka jazda pociągiem i długi pobyt w piwnicy.

Marzec 1984 r.

SPIS RZECZY

Jeden dzień w Europie	7
Dwa dni z Aniołem	58
Świadek	100
Widzenie	115
Piwnica	133



**ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 28 SEPTEMBRE 1984
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).**

Dépôt légal : 3^e trim. 1984.

N° d'imprimeur 6627.

THE
LIBRARY OF THE
MUSEUM OF
ART AND HISTORY
OF THE
CITY OF BOSTON

100 NORTH ST.
BOSTON, MASS.





